

Danuta
Bieńkowska
DANIEL NA SAHARZE

ROZDZIAŁ 1

W kierunku lotniska posuwała się rzeka samochodów, w której raz po raz tworzyły się zatory, bo kierowcy nie przestrzegali zasad jazdy, wciskali się na siłę pomiędzy inne auta, wymuszali pierwszeństwo klaksonując gwałtownie, jakby to pięć kolumn sanitarnych pędziło dla udzielenia pomocy. Wiele wozów nosiło stare ślady zderzeń, czym nikt się widać nie przejmował, bo zgniecenia i pęknięcia karoserii pozostały nie naprawione, rdzewiały na krawędziach i być może stanowiły nawet powód do chluby — jak niegdyś blizny z pojedynków. Mimo zrywów, pisku hamulców, jazgotu klaksonów i głośnych połajanek posuwano się wolno, zatrzymywano w miejscach nie przewidzianych sygnalizacją świetlną.

Szymon spojrzął na zegarek. Licząc się z korkami na drodze wyjechał dość wcześnie, żeby zdążyć na przylot samolotu z Warszawy, teraz jednak zaczynał się niepokoić i parł do przodu nie bacząc na konsekwencje.

Zdażył wprawdzie na czas, ale gdy wysiadł na lotnisku, czuł znużenie we wszystkich mięśniach i zamęt w głowie jak po nie dospanej nocy.. Wszedł do pełnej Arabów poczekalni nie patrząc na nikogo i przystanął koło drzwi wiodących do odprawy celnej, by spokojnie wypalić papierosa. Właśnie powiadomiono przez głośnik, że wylądował samolot Polskich Linii Lotniczych.

— Witam pana, profesorze 1 — odezwał się za plecami Szymona radca polskiej ambasady. — Kogo pan dziś odbiera? Pewno jakąś przystojną koleżankę, bo taki pan rozmarzony, że nie dostrzega przyjaciół.

— Przyjechałem po brata — odparł Szymon. — A roztargnienie wynika ze zmęczenia. Wciąż nie mogę przywyknąć do tutejszego stylu jazdy. Po godzinie jestem wykończony.

— Za to klimat mamy cudowny. W Polsce ziąb i plucha, tu~~~ taj ciepło i słonecznie. Dzisiaj mieliśmy dwadzieścia dwa stopnie w cieniu. Całkiem nieźle jak na połowę grudnia.

Szymon puścił to stwierdzenie mimo uszu, ale radca uważał za swój obowiązek prowadzenie towarzyskiej konwersacji. Jasnowłosey, pulchny, krępy i rumiany, w nienagannie skrojonym garniturze z tropiku promieniował programowym optymizmem i chętnie nim każdego obdzielał.

— Brat jest młodszy od pana czy starszy? — spytał z udanym zainteresowaniem.

— Ma szesnaście lat. Nie wiem nawet, jak wygląda. Ostatni raz widziałem go przed jego wyjazdem do Anglii. Pięć lat temu. Był jeszcze dzieckiem. Teraz to już prawie mężczyzna.

— Długo był w Anglii?

— Pojechał na rok, został trzy. Wie pan, ze względu na szkołę. Tymczasem ja przyjechałem tutaj.

— Rozumiem. — Radca pilnie rozglądał się po sali szukając znajomych w tłumie Arabów. — Można mu pozazdrościć. Trzy lata w Anglii...

— Właściwie w Szkocji. W Edynburgu.

— Musiał perfektnie opanować język...

— Podobno nabawił się reumatyzmu. Przyjeżdża tutaj na leczenie. Załatwiłem mu pobyt w sanatorium.

— Ach, to świetnie! Przepraszam, muszę się jeszcze przywitać z panem... — nazwisko nie dotarło do uszu Szymona. — Niech pan do mnie zadzwoni któregoś dnia. Musimy umówić się na drinka.

Potoczył się radośnie w kierunku trojga rodaków stojących na środku poczekalni. Już ich dopadł, kłaniał się, uśmiechał, ścisnął serdecznie dłonie. Razem ruszyli ku drzwiom, zza których mieli wyjść pasażerowie LOT-u. 6 Jednym z pierwszych był wysoki, szczupły chłopak. „Czyż-

by Daniel?” — pomyślał profesor i odruchowo wyszedł na spotkanie. Chłopak stanął, rozglądał się. Na widok Szymona twarz mu pojaśniała.

— Cześć, stary! — powiedział, jakby rozstali się wczoraj.

— Cześć!

Właściwie powinien był objąć brata i ucałować go w oba policzki, ale czuł się dziwnie skrępowany. Na czułości przyjdzie czas później.

— Daj walizkę. Zaniosem do samochodu.

— Nie trzeba. Dam radę sam. Lekka. Jeśli chcesz, weź moją kurtkę, bo tu u was rozkosznie ciepło.

Miał przyjemny, niski głos, całkiem niepodobny do tego, jakim mówił w dzieciństwie. Zachowywał się swobodnie, uśmiechał promiennie, lecz mimo to był trochę spięty, jakby dla odparcia nieznanego niebezpieczeństwa.

— Cieszę się, żeś przyjechał — powiedział Szymon otwierając drzwi samochodu. — Siadaj. Walizkę wrzucę do bagażnika.

Przez tylną szybę spostrzegł, że Daniel obserwuje go w lusterku. Śmieszne. I trochę irytujące. Choć niby dlaczego? Jasne, że ciekaw jest starszego brata.

— Pojedziemy dobrą godzinę. To wprawdzie niedaleko, ale patrz, co się dzieje na - jezdni.

— Nie szkodzi. Bardzo tutaj ładnie.

— Ładnie? — zdziwił się Szymon. — Brud, smród i ubóstwo.

— Ale słońce, morze, palmy... Jaskrawość barw... I te zabudowania na górze...

— Kasba. Stara dzielnica Algieru. Powiedz, co słysząc w domu.

— Radość z wyjazdu syna marnotrawnego.

— To znaczy ciebie?

— Jasne. Ty zawsze byłeś wzorem wszystkich cnót.

— Nie przesadzaj.

— W każdym razie zawsze mi ciebie stawiano za przykład.

— Psiakość! Mogłeś mnie zniechęcić.

— Raczej ich.

— Kogo?

— Rodziców.

— Nie mówisz tego serio.

— Jak najbardziej.

— Znowu była jakaś draka?

— Nic ci nie pisali?

— Owszem. Że jesteś chory, że byłoby dobrze...

— Pozbyć się mnie z domu. Wypróbowana metoda. Już trzeci raz. Ledwo trochę przywyknę po powrocie, ledwo zapuszczę korzenie, trach! Już mnie wysyłają w świat.

— Większość twoich kolegów marzy o takim życiu.

— Bo go nie zna. Nie wie, jak parszywie być obcym. Zawsze obcym. I w kraju, i za granicą.

Powiedział to porywczo, z zapiekłą urazą. Zmrużył przy tym trochę oczy, zacisnął dłoń spoczywającą na kolanie.

— Tutaj będziesz krótko... — westchnął Szymon. — Rodzice chcieli jak najlepiej.

— Chcieli się mnie pozbyć! — powtórzył Daniel. — Myślą, że te sześć tygodni coś zmieni.

— W czym?

— We mnie. W moich uczuciach. W stosunku do tej dziewczyny.

Szymon uśmiechnął się mimo woli, tak bardzo szczeniackie wydało mu się oburzenie brata. Daniel spostrzegł ten uśmiech i nagle stracił chęć do rozmowy, po której tyle sobie obiecywał. Głupi był przypuszczając, że brat okaże mu zrozumienie. Jest taki sam jak wszyscy dorośli. Pewien własnych racji, zadufany, nieprzemakalny na odczucia innych.

Wydostali się z głównej ulicy i zakosami jechali w górę ku dzielnicy willowej.

Pomiędzy budynkami raz po raz jawiło się morze, spokojne i bardzo błękitne, a na nim statki ozłoczone słońcem.

— Ładnie? — zagadnął Szymon przekonany, że w tej części miasta już przystoi się nim zachwycać.

— Poczłótkowe — stwierdził Daniel na złość bratu, wbrew sobie samemu, bo był oczarowany widokiem; za nic w świecie nie przyznałby się jednak do tego i kto wie, czy nie wróciłby do Warszawy pierwszym samolotem, gdyby to wchodziło w rachubę. 8 Na bielonych murach wokół ogrodów kwitła bujnie fioleto-
wa bugewilla. Szkarłatne kwiaty hibiskusów sięgały osłoniętych żaluzjami okien pierwszego piętra.

— Mieszkam tutaj. Na parterze. Górę zajmuje mój kolega z żoną. Mają syna w twoim wieku. Możecie jutro razem zwiedzić miasto. Do sanatorium pojedziemy dopiero w piątek, bo to dzień świąteczny u mahometan. Droga cudowna. Przez góry i pustynię.

— Kto ci prowadzi gospodarstwo?

— Arabka. Ściślej mówiąc Kabyłka.

— Młoda i piękna?

— Stara i brzydka. No, wysiadaj. Masz klucz, wejdź do mieszkania. Ja tymczasem wstawię wóz do garażu.

Daniel wszedł po białych, marmurowych schodkach. Obrócił klucz w zamku.

Wnętrze powitało go chłodem i zapachem nieznaných kwiatów. Na wprost wejścia okno gabinetu ukazywało rozległy szmat morza. W przylegającej do pokoju kuchni

stół był nakryty na dwie osoby. Ładnie nakryty. Przy białych talerzach stały ciężkie, ciemnozielone kieliszki.

— Dziwisz się? — zażartował Szymon. — Nie wiedziałem, co ty właściwie pijesz. Wino, piwo, sok owocowy? A może whisky z wodą?

— Jak myślisz?

— Myślę, że jesteś już prawie dorosły. W każdym razie tak chciałbym cię traktować. Nie jak szczeniaka.

— Okey.

— No więc, czego ci nalać?

— Białego wina, jeśli masz, oczywiście.

— Stoi w lodówce. Idź się trochę odświeżyć. Łazienka obok. Niebieskie ręczniki są dla ciebie.

Starął się być koleżeński, swobodny, choć czuł diabelne « zmęczenie po całym tygodniu pracy i dzisiejszej wyprawie na lotnisko. Spotkanie z Danielem nie tyle go rozczarowało, ile ujawniło problemy, których nie przewidział, o których musiał myśleć, to zaś wymagało dodatkowego wysiłku. Cieszył się szczerze na przyjazd brata, przygotował wszystko, żeby pierwszy wieczór spędzić w miłym, beztróskim nastroju, lecz nie miał ochoty wysłuchiwać zwierzeń i prowadzić rozmowy w cierpkim tonie. Usiłował sobie przypomnieć, jaki był sam 9

w wieku Daniela, czy także przeżywał konflikty z rodzicami, tyle jednak lat minęło od tamtych czasów, że wspomnienia ucukrowały się i wygładziły. Może naprawdę miał łatwiejszy charakter, unikał zatargów z otoczeniem, może dość wcześnie opancerzył się pewną dozą obłudy tak bardzo ułatwiającej życie?

Ściemniało się na dworze, więc zapalił wiszącą nad stołem lampkę. Odkorkował butelkę, nalał do pełna kieliszki. Zapachniało lekko muszkatelem.

— Jak tu miło! — stwierdził Daniel wchodząc. — Swojsko.

— Raczej egzotycznie — Szymon wskazał koszyk pełen świeżych mandarynek i kiści daktyli.

Tym razem Daniel uśmiechnął się bez słowa. Teraz, kiedy się wykapał i ochłoniął z pierwszego wrażenia, odzyskał panowanie nad sobą i nie czuł dręczącej potrzeby mówienia rzeczy przykrych, choć prawdziwych. Najwyraźniej Szymon go nie rozumiał, dostrzegał tylko zewnętrzną stronę zjawisk, pojmował najbanalniejsze znaczenie wyrazów. Swojskość nie musi przecież być przeciwieństwem egzotyki. Można się czuć swojsko w sercu dżungli, o ile się ją akceptuje i jest się akceptowanym przez jej mieszkańców.

— Twoje zdrowie! — Szymon podniósł zielony kieliszek. — Oby ci było tutaj jak najlepiej.

— Już mi jest dobrze — odparł Daniel. Cisza, mrok za oknem i rześkość płynącego z ogrodu powietrza wprawiły go w dobry nastrój. — A tobie? Masz tu jakąś kobietę? Szymon nie spodziewał się takiego pytania. Wsunął do ust kawałek turbota w majonezie i żuł długo namyślając się nad odpowiedzią.

— W każdym razie... nic stałego.

— Więc jak? Przelotne znajomości? Od przypadku do przypadku?

— Mhm. Jestem tak zapracowany na uniwersytecie... Jutro znowu sprawdzian. Tym trudniejszy i dla studentów, i dla mnie, że po francusku... Muszę być sprawiedliwy,

ocenić, które błędy wynikają z niedokładnej znajomości języka, które zaś z racji nieopanowania materiału.

10 Daniel przypatrywał mu się z kpiącym uśmiechem.

— Masz już siwe włosy na skroniach.

— Skończyłem trzydziestkę.

— Dlaczego dotąd się nie ożeniłeś?

— Tak jakoś...

— Wbrew zapowiedziom nie chcesz ze mną rozmawiać jak równy z równym.

— Nie, Danielu. Tylko że to przecież nasza pierwsza w życiu męska rozmowa.

Różnica wieku między nami sprawiła...

— Że właściwie nie istnieliśmy dla siebie. Nieraz o tym myślałem, jak względny pojęciem jest rodzeństwo. Było nas troje, a każde żyje osobno. Nic nas właściwie nie łączy.

— Przecież się kochamy.

— Przyjmujemy narzucone nam konwencje. Zwłaszcza ty, Szymku. Ze zgrozą patrzę, że wszystko, co robisz, jest takie zgodne z tym, czego się po tobie spodziewają.

— Kto?

— Rodzice, przełożeni. Wszyscy, z którymi masz do czynienia.

— To chyba dobrze.

— Świetnie, mój Niezawodny. Zastanawiałem się również, po co nas rodzice spłodzili. Dla kogo? Jeśli dla siebie, to porzucili nas jak zabawki, których ma się dosyć. Wszystko było później ważniejsze niż my: praca, obowiązki społeczne, stosunki towarzyskie. Nigdy dla nas nie mieli czasu. Ty nie sprawiałeś im kłopotu, stawiali cię za przykład. Ja nie pasowałem do szablonu, nie umieli poradzić sobie ze mną. Wyrosłem na raroga, jak mówi mama. Słuchaj, co to jest raróg?

— Jakiś ptak, jeśli się nie mylę. Rzadki, oczywiście.

— I pewno taki, co kala własne gniazdo. Czyli zły.

— Nadal lubisz przysłowia.

— Lgną do pamięci. Mnóstwo innych rzeczy też. Pomyśl, że w ciągu sześciu lat mego świadomego życia zmieniłem kilka szkół, mieszkałem w kilku krajach, wszędzie urabiano mnie po swojemu na obraz i podobieństwo miejscowych Niezawodnych. Wbrew temu, co się mówi o wspólności kultury europejskiej czy śródziemnomorskiej, albo o uniwersalizmie chrześcijańskim, różnice etyczne, obyczajowe i towarzyskie są tak wielkie, że robi się z tego mętlik w głowie i wszystko wydaje się

nad wyraz względne. Poczawszy od konieczności całowania pań w rękę, a skończywszy na mówieniu prawdy.

— To chyba nie podlega dyskusji.

— Ejże, nie bujaj. Widzę przecież, jak się zzymasz, kiedy ci rąbię prawdę w oczy. Może i nie chciałbyś, żebym łgał głupio a niepotrzebnie, wystarczy, żebym co przykrzejsze rzeczy pokrywał milczeniem. Żebym udawał. Na przykład, że uwielbiam rodziców i nie mogłem żyć bez ciebie.

— Nie zgrywaj się.

— Ani myślę. To nie w moim stylu.

- A propos stylu. Mimo tyloletniego pobytu za granicą mówisz bardzo ładnie po polsku. Masz bogaty słownik.
- Zmieniamy temat? Świetnie. Owszem, mam bogaty słownik, bo przez ostatni rok nie robiłem nic innego, tylko czytałem i czytałem, żeby nadrobić zaległości. Nie przypuszczałem, że literatura polska jest taka wspaniała.
- Znowu przesadzasz.
- Tym razem nie. Może zresztą mój osąd jest subiektywny. Po prostu pasuje do mnie jak but do nogi. Wygodnie mi w niej.
- Swojsko...
- Żebyś wiedział.
- A stopnie z innych przedmiotów?
- Dwój nie miałem.
- Myślałeś już o wyborze zawodu, o kierunku studiów?
- Owszem, ale bez skutku. Nie wiem, kim mam być, co gorsza, nie wiem, jak sobie ułożyć życie. Wiem tylko, czego nie chcę.
- Ko?
- Być podobnym do was. Do rodziców, do ciebie.
- Nie sądzisz, że za mało nas znasz, aby tak myśleć?
- Przecież ja was nie oceniam. Mówię o swoich własnych odczuciach, może nawet niesłusznych.
- Typowe problemy wieku dojrzewania.
- Przyklepienie etykiety dobre jest tylko w aptece.
- Pogadamy jeszcze o tym, Danielu. Ale nie dzisiaj.
- Wiem: już późno, jesteś zmęczony, masz przed sobą jutro 12 ciężki dzień...
- Sama mądrość przez ciebie przemawia. Chodźmy spać. Oddaję ci mój gabinet.
- Ten z widokiem na morze? Dzięki I
- Jutro wyjdę wcześniej. Zrób sobie sam śniadanie. Oto twój klucz. Możesz wyjść i wrócić, kiedy zechcesz. Masz tu trochę forsy. Spotkamy się dopiero wieczorem.
- Nie udzielisz mi żadnych ostróg, wskazań, napomnień?
- Tym razem zawiodę twoje oczekiwania.
- Jesteś fajniejszy, niż myślałem. Albo po prostu dajesz za wygraną i nie chcesz mnie wychowywać od początku.
- W ogóle nie chcę ciebie wychowywać. Życie obtoczy cię jak kamyk w strumieniu. Ani się obejrzysz, kiedy stracisz kanty, staniesz się krąglutki, gładziutki, do rany przyłoż...
- Przenigdy!
- Porozmawiamy za dziesięć lat. A tymczasem dobranoc.

ROZDZIAŁ 2

Mimo zmęczenia i lekkiego szmerku w głowie po paru kieliszkach wina Daniel długo nie mógł zasnąć i jak zwykle w takich wypadkach myślał o Maryli, która została w Warszawie. Pragnął jej tak nieznośnie, tęsknił za nią tak dojmująco, że paliło go płócienne prześcieradło, nie znajdował sobie miejsca na tapczanie, przewracał się z boku na bok daremnie szukając ukojenia.

Sny miał później niespokojne, jawiły mu się w nich obce kobiety, budzące zarazem pożądanie i wstręt; nigdy ich nie mógł osiągnąć w nocnych majakach, umykały

gdzieś, rozplýwały się, były jednocześnie sobą i czymś innym, na przykład wodą, głęboką wodą jeziora. Trudno to wyrazić, a nawet pojąć, tylko we śnie czuje się wyraźnie taką jednoistość. Wody jeziora obejmowały go, zanurzał się w nich w rozkoszą nie lękając się zatonięcia, przeciwnie, zdawało mu się, że dopiero w głębi, na samym dnie odetchnie pełną piersią i pozna tajemnicę życia.

Nad ranem zasnął mocno. Zbudziło go gruchanie gołębi. Podbiegł do okna, wychylił się za parapet i chłonał chciwie światło, barwy, zapachy i odgłosy dochodzące z ogrodu.

Morze jakby się oddaliło w różowej mgiełce, lekki wiaterek poruszał wachlarzami palm. Ściany domów, murki obrośnięte pnączami, żagle na "błękitnych wodach — wszystko poróżowiało o poranku, jakby opiewana przez poetów greckich jutrzienka różanopalca przesunęła tu swoją dłoń.

Nagle ktoś niecierpliwie zastukał do drzwi. Daniel — wciąż jeszcze w piżamie — poszedł je otworzyć. Za progiem stał jasnowłosy chłopak o śniadej cerze.

— Dzień dobry. Przyszedłem z góry — wskazał mieszkanie na piętrze. —

Pójdziemy razem do miasta? 14 — Chętnie. Zaraz się ubiorę. Wejdz na chwilę.

— Nie musisz się spieszyć. Zaczekam. Pewno jeszcze nie jadłeś śniadania.

— Głupstwo!

— Zjedz coś koniecznie. Mamy czas.

— Nie idziesz dziś do szkoły?

— Zwolniłem się, żeby ciebie oprowadzić po Algierze. U nas mają dla takich spraw zrozumienie.

— U nas: to znaczy gdzie?

— W szkole arabskiej.

— Jak to? — Daniel na moment znieruchomiał. — Chodzisz do szkoły algierskiej?

— Co w tym dziwnego?

— I mówisz po arabsku?

— Od dziecka. Miałem osiem lat, kiedyśmy tu przyjechali. Mama jest lekarką. Ściślej mówiąc pediatrą. Musi się pogadać z matkami swoich pacjentów. Więc uczyliśmy się razem, ja w szkole, ona brała domowe lekcje. Polacy trochę wydziwiali, że rodzice nie posyłają mnie do polskiej szkoły. Ale to ja się dziwię tym, co nie korzystają z okazji poznania języka, którym mówi tyle milionów ludzi.

— Twój ojciec wyklada na tym samym wydziale co Szymon?

— Nie. Jest socjologiem.

— Jak ci na imię?

— Romek. Dla wszystkich łatwe do wymówienia.

— Możemy iść. Powiedz, Rom, czy ta twoja szkoła bardzo różni się od europejskiej?

— Pod jakim względem?

— No, programu...

— Programy mamy jak w szkołach francuskich, oczywiście z szerszym uwzględnieniem przedmiotów ojczystych: historii, języka, literatury... Jest z tym trochę kłopotu. Władze dążą do całkowitego zastąpienia francuszczyzny językiem arabskim. W prasie, na szyldach sklepowych, nawet na drogowskazach. Zęby zatrzeć wszystkie ślady kolonializmu.

— To będzie duże utrudnienie dla cudzoziemców.

— Najważniejsi są obywatele tego kraju. Ich świadomość narodowa.

Daniel zamknął drzwi i schował klucz do kieszeni.

— Wspaniały ranek! — stwierdził. Zawsze w kłopotliwych mementach uciekał się do uwag o pogodzie. — Dokąd idziemy?

— Do Kasby. To najstarsza część miasta, która zachowała swój dawny charakter. Pierwszy raz jesteś w Afryce?

— Tak. Trzy lata spędziłem w Edynburgu.

— Nielichy kontrast I

— No!

— Ja już od trzech lat nie byłem w Polsce. Rodzice spędzali urlop we Włoszech, w Hiszpanii... Brali mnie ze sobą.

— Nie masz rodzeństwa?

— Nie. Tutaj wszyscy się tym gorszą. W każdej rodzinie jest kilkoro, czasem kilkanaścioro dzieci. Zresztą spójrz: pełno ich na ulicy. Jedne pilnują drugich.

/

— Raczej nikt nikogo... Przynajmniej w naszym rozumieniu.

— Naszym: to znaczy czyim? — zażartował Romek.

— Masz punkt przewagi nade mną! A wiesz? Myślałem, że spotkamy tu jedynie Arabów w tradycyjnych dżelabach i turbanach, a tylu mężczyzn chodzi już w ubraniach europejskich.

— Bo taniej i wygodniej. Zresztą i kobiety coraz częściej rezygnuje) z białych zawojów i haików, zwłaszcza te pracujące zawodo wo,, Naturalnie w dużych miastach. Na Saharze jest inaczej. Zresztą sam się przekonasz. To cudowny kraj!

— Chciałbyś tutaj zostać na zawsze?

— Trudno mi wyobrazić sobie życie gdziekolwiek indziej. Widzisz, Francuzi, którzy musieli opuścić Algier i wrócić do ojczyzny, bardzo tęsknią...

— Skąd wiesz?

— Rozmawiałem z wieloma we Francji. Po to nas właściwie odwiedzali, żeby powspominać Algier.

— Ale ty przecież czujesz się Polakiem?

— Jasne. Co to ma do rzeczy? Można mieszkać poza krajem i mimo to pracować dla niego.

— Tak się tylko mówi...

Stromą uliczką wspięli się na krawędź wysokiego wzgórza. Na jego spadającym ku morzu zbocz — jak we wnętrzu trójkątnej muszli — widniało miasto. Dominowała nad nim dawna twierdza, od której wzięła nazwę stara dzielnica, kasba, naj-16 bielsza, najbardziej stłoczona część metropolii. Z góry widać

i

było płaskie dachy domów, tarasy uzupełniające skąpą powierzchnię mieszkaniową. Tu i ówdzie suszyła się na nich bielizna. Kobiety siedzące na podłodze rozcierały w dłoniach kaszę i sypały ją do glinianych mis, żeby przeschła.

— To kus-kus, codzienna potrawa z kaszy i oleju — wyjaśnił Romek. — Jada się ją z różnymi dodatkami, z mięsem, z marchwią, na co kogo stać.

— Smaczna?

i

— Mnie smakuje. Przywykłem do niej jak ty do ziemniaków, a Chińczycy do ryżu.

W Afryce ziemniaki są drogie.

Przystanęli na placyku, skąd widać było port i morze nieco bledsze tam, gdzie stykało się z niebem.

— Wspaniale jest tutaj! — stwierdził Daniel.

— Rozumiesz, że nie chcę stąd wyjeżdżać? Tyle przestrzeni! Tyle swobody! Taki cudowny klimat! No i ludzie!

— Masz przyjaciół?

— I to jakich! Widzisz, ten kraj dopiero się rozwija, ten naród odnajduje własną tożsamość, poznaje swoją historię, tworzy nową kulturę. Bo Francuzi, nie dość że ciągnęli stąd korzyści przez półtora wieku, to jeszcze wmawiali miejscowej ludności, że jest gorsza, dzika, nieokrzesa...

— A nie jest?

— No wiesz! Ma starszą kulturę niż my! Tylko odmienną. Trzeba tym ludziom zapewnić godziwe warunki życia, pracę, wykształcenie, to dopiero pokażą, co potrafią... Trzeba zatrzeć w ich pamięci te straszne wydarzenia, jakie się tutaj rozegrały w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku, kiedy Francuzi wymordowali prawie pięćdziesiąt tysięcy Algierczyków. Mówiono mi, że krew płynęła ulicą jak woda po ulewie. Nic dziwnego, że chcą się odciąć od wszystkiego, co francuskie. Tutaj, w Kasbie, kryli się algierscy partyzanci. Jeszcze teraz Francuzi boją się zapuszczać w ten labirynt uliczek, zwłaszcza nocą...

— Ty się nie boisz?

— Ja tu jestem u siebie! Chodź, pokażę ci...

— Zabytki?

— Sam się przekonasz. Zejdźmy niżej.

Catanłeielnica jest właściwie zabytkiem, chociaż powstała nie niej rfi^Urzysta lat temu. Wprawdzie za czasów rzymskich /J? Filio %\

DailieAia SaWze

17

istniała tu niewielka osada, lecz mało co z niej zostało. Od połowy siedemnastego wieku władali Algierem dejowie, będący wasalami Turcji. Ich zbójcekie okręty polowały na Morzu Śródziemnym, przepływały przez Cieśninę Gibraltarską, szukały ofiar na Oceanie, zapuszczały się nawet do wybrzeży Anglii. Szwecja i Dania płaciły im daninę w zamian za bezpieczeństwo swoich flot. Korsarstwo stało się niejako przedsiębiorstwem państwowym.

Miasto było coraz bogatsze. Powstały wspaniałe meczety, pałace, wille podmiejskie, rozbudowano port.

Bielone domy o nieregularnych kształtach przypominały jaskółcze gniazda przylepione do zbocza góry wznoszącej się o sto metrów nad szafirowym morzem. Wykusze zwężyły jeszcze przestrzeń nad głowami. Tu i ówdzie uliczka wciskała się pod sklepienia bram lub mostków łączących domostwa. Nieliczne małe okna zasłonięte były żaluzjami, okiennicami czy też wykutą z żelaza plecionką tak gęstą, iż wzrok przechodnia nie sięgał do wnętrza izby.

Spragnieni cienia i chłodu ludzie zaszywali się w mrocznych lochach, wilgotnych klitkach. Tkacze pracowali niemal po omacku, koszykarze wyplatali torby, koszyki i przetaki w ciemnych, zagraconych warsztatach. Właściciele maleńkich sklepików

siedzieli bez ruchu w głębi izby pilnując skromnego towaru: naczyń kuchennych, kapci, kolorowych litografii, muzułmańskich dewocjonałów, ziół leczniczych i amuletów, aromatycznych przypraw.

Romek ożywił się i rozgadał, pragnąc wszystko naraz pokazać Danielowi i objaśnić. Zwracał uwagę na malownicze zakątki, mówił o fatalnych warunkach sanitarnych, jakie panują w tej dzielnicy lepierek, zamieszkaney przez siedemdziesiąt pięć tysięcy ludzi, może nawet więcej, bo niepodobna sporządzić ewidencji. Co prawda i tutaj trafiają się domostwa zamożniejsze, z wewnętrznymi krużgankami, lecz przeważają mieszkania biedoty, pozbawione elementarnych wygód. Dawne pałace bogatych Algierczyków zburzono, aby mogła powstać w dole nowoczesna dzielnica europejska. W tych, co pozostały, mieszczą się teraz urzędy albo placówki kulturalne. Ot, chociażby ta 18 biblioteka.

Weszli do niepozornego z zewnątrz budynku przez wąską sień. Dookoła czworokątnego dziedzińca "wznosiły się krużganki wsparte na kolumnach. Pośrodku podwórza wyłożonego kamiennymi płytami tryskała fontanna otoczona kępą zieleni. Ściany domu ozdobione były długimi pasami kolorowych kafli. P nowała tu cisza, urzekająca atmosfera bezpieczeństwa i skupienia. —

— Chodź, pokażę ci teraz mimrę, szkołę religijną.

— Nie chciałbym przeszkadzać...

— Co znowu! Mimry zakłada się umyślnie przy uczęszczanych ulicach, placach, urzędach, nawet w pobliżu więzień, żeby przechodnie mogli słuchać świętych słów Koranu. Drzwi klasy zawsze stoją otworem. Nauczyciel ma wpoić uczniom tylko znajomość Koranu. Po prostu wbić im w pamięć cały tekst. Wypisuje każdemu dziecku po kilka zdań na tabliczce wymawiając dobitnie. Dziecko pociąga atramentem litery, a później wkuwa tekst i wygłasza go przed nauczycielem. Zajęcia trwają cały dzień z przerwą na obiad. Dawniej dzieci chodziły po kilka lat na taką naukę. Teraz już tylko rok, dwa czy nawet wcale, bo szkoły państwowe to poważna konkurencja. No, popatrz.

W niewielkiej izbie siedziało na podłodze kilkanaścioro dzieci w różnym wieku. Nauczyciel, stary Arab ó szczupłej, ujmującej twarzy, zajmował miejsce na podwyższeniu podobnym do katedry. W kącie stało naczynie z wodą do zmywania tabliczek.

— Nauczyciel ma kij — szepnął Daniel. — Czy robi z niego użytek?

— Ma prawo bić dzieci po głowach, a za cięższe przewinienia wymierza im określoną ilość razy w pięty. Nie samym słowem zdobywa się posłuch wśród uczniów.

— A w twojej szkole? Także biją?

— Skądże! Ja chodzę do szkoły nowoczesnej.

— I koedukacyjnej?

— Naturalnie!

— No, w tym kraju to całkiem naturalne nie jest.

— Jak dla kogo. W naszym pokoleniu... większość opowiada się za równouprawieniem kobiet. Pod każdym względem.

Weszli w labirynt uliczek, schodów, przesmyków między bu- 19

dynkami. Gdzieniegdzie przetrwał z lepszych czasów kamienny, jakby renesansowy

portal, ornament z niebieskich fajansowych kafli. Najpiękniej zdobione były studnie, przy których spotykali małe dziewczynki dźwigające pełne wiadra.

Przechodząc obok jednej z takich tęczowo-mozaikowych studzien Romek pociągnął Daniela do mrocznej kawiarenki również wykładanej kafelkami. Siedzieli w niej sami mężczyźni.

— Spróbuj naszej kawy.

— Chętnie.

Podano im malutkie czarki pełne aromatycznego, nieomal gęstego płynu, słodkiego jak ulepek. Daniel wychylił go paroma łykami, Romek pił powoli, statecznie.

— To sławna kawiarenka — stwierdził. — Przesiadywał w niej Fromentin, malarz i pisarz francuski zakochany w Algierii. Napisał najlepszą rzecz, jaką czytałem o oazie na skraju pustyni, „Un ete dans le Sahara”.

— Czytasz takie starocie?

— Szekspir jest jeszcze starszy.

— Ale to Szekspir. A jakiś tam Fromentin...

— Jakiś tam... Nieważne, że otrzymał w swoim czasie najwyższe paryskie nagrody, że wspaniale pisał o malarstwie... Ale jak on czuł Algierię! Chodź, pokażę ci teraz coś wzruszającego. Cmentarzyk księżniczek.

— W samym środku miasta?

— Och, to tylko kilka grobów. Dziewczęta umarły podczas zarazy w osiemnastym wieku. Pozostało wspomnienie i trochę zieleni.

Między białymi murami rosła wyniosła palma i stare drzewo ligowe, jego korona chroniła przed słońcem niby kopuła świątyni. Pod arkadami, tuż przy murze, tryskało skąpe źródło. Kamienne nagrobki wyszczerbił zęb czasu. Przez kontrast z zatłoczoną zabudową dzielnicy ten niewielki cmentarzyk robił wrażenie przestronnego, bardzo cichego miejsca.

Romek zerknął na zegarek.

— Czas na nas! Zbiegamy na dół!

— Spiesz ci się?

Nie odpowiedział. Puścił się pędem po kamiennych schodkach i spadzistych uliczkach, spływał po prostu ku morzu.

Trochę zdyszani wpadli na ruchliwą ulicę handlową. Stały tutaj domy, jakie można widzieć w każdym większym mieście europejskim. Elegancki hotel, bank, dom towarowy. Ale przed mniejszymi sklepikami towar był wyłożony na chodnikach. W bocznych uliczkach stały stragany, wisały rozmaite ubiory, opończe, szale, tkaniny, plecione koszyki, mnóstwo wyrobów

z tworzyw sztucznych, zadziwiająca mieszanina tandety rozmaitego pochodzenia. W tłumie przeciskającym się skrajem chodnika niewielu widziało się Europejczyków.

Obok spowitych w biel Arabek, które z całej twarzy odsłaniały tylko jedno oko, szły jaskrawo ubrane Murzynki albo Kabyłki o obnażonych twarzach, przebiegały dziewczęta w szkolnych mundurkach i gromadki rozkrzyczanych wyrostków.

Dostojni starcy w turbanach i dżelabach siedzieli w kafejce, młodzi Arabowie w dżinsach i koszulkach poło tłoczyli się koło gier automatycznych.

Na jezdni nagle powstał zator: zaprzężony w osiołka wózek z jarzynami zagroził drogę lśniącem mercedesom. Rozszalały się klaksony. Nie przyspieszyło to ani

trochę truchtu osiołka, który statecznie dotarł do swego celu i zatrzymał się pomiędzy straganami.

— Dokąd tak pędzisz? — zagadnął Daniel.

— Do teatru.

— O tej porze?

— O drugiej ma być przedstawienie. Wiesz, zespół amatorski. Grają w nim moi koledzy. I jedna taka dziewczyna. Po prostu cudowna. Zobaczysz!

Weszli do teatru podobnego do setek europejskich teatrów. Miły chłód panował w holu i na widowni. Widzów było jeszcze niewielu, dopiero zaczęli się schodzić — przeważnie młodzież, zapewne z tego samego środowiska, bo witano się hałaśliwie i żartowano wesoło. Wysoki chłopak rozdawał przepisane na maszynie streszczenie sztuki, jaką miano za chwilę odegrać. Obok tekstu arabskiego był nieco krótszy francuski.

— Oni sami ułożyli tę sztukę — objaśniał Romek. — Zwykle tak się u nas robi.

Wybieramy jakiś aktualny temat: rewolucję agrarną, zjednoczenie świata arabskiego, walkę z reakcją, wyzwolenie kobiet. Każdy z uczestników zespołu dorzuca jakiś swój pomysł. Dialogi powstają na próbach.

— I taka sztuka trzyma się kupy?

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Czy jest dobra?

— Z waszego, europejskiego punktu widzenia pewno nie. ²² Ale nam chodzi o co innego. O oddziaływanie na widza wszystkimi środkami w sposób dla niego dostępny. A widzowie najczęściej nie zetknęli się jeszcze z teatrem zawodowym. Tradycje teatru ludowego też są nikłe w świecie arabskim. Zresztą sam ocenisz.

Daniel taktownie powstrzymał się od uwag. Na szczęście do Romka podszedł jakiś kolega i wszczął z nim szybką rozmowę po arabsku. Tymczasem zabrzmiał gong, widzowie hurmem rzucili się na swoje miejsca, kurtyna poszła w górę i wśród aksamitnych kotar rozpoczęło się przedstawienie przypominające jasełka. Postaci były scharakteryzowane dosadnie przez maskę, kostium, rekwizyty. Wyraźnie podzielono bohaterów na dobrych i złych. Podstępni Hiszpanie i Amerykanie nosili maski. Bojownicy o wyzwolenie Zachodniej Sahary, dzielni młodzieńcy i bohaterkie kobiety, mówili podniosłym tonem, występowali w powłóczystych, odświętnych szatach i kończyli każdą scenę chóralnym śpiewem, podejmowanym przez widzów, którzy w ten sposób wyrażali uznanie dla ich postawy. Władca Maroka żywo przypominał króla Heroda i ku ogólnej uciechu publiczności dostawał baty. Wysoki, chudy mieszkaniec Sahary raz po raz uśmiercał przeciwników malowniczo padających na deski, aby po chwili zerwać się i wybiec za kulisy, gdzie za pomocą paru rekwizytów przeobrażali się w inne postaci, jako że sztuka wymagała dużej obsady, zespół zaś był nieliczny. Brakowało zwłaszcza kobiet. Dwie młode dziewczyny grały na przemian role swoich rówieśniczek i starych Arabek, matek rodu, co wydawało się Danielowi bardzo śmieszne. Dopiero pod koniec sztuki pojawiła się trzecia aktorka, szczupła, bardzo piękna dziewczyna; Romek ścisnął Daniela za ramię.

— Spójrz! To ona! Aniss!

Sądząc z francuskiego streszczenia, sytuacja polityczna w tym momencie dramatu przedstawiała się krytycznie. Ludzie zwątpili w zwycięstwo, a nawet w sens walki, chcieli się rozejść do domów. Piękna Aniss przemówiła jednak do serc mężczyzn jak legendarna bohaterka Dahija i rozbudziła w nich pragnienie zwycięstwa pieśnią, którą podjęła cała widownia:

Byliśmy u kiesa cierpienia,

Teraz wiemy, kto nas rani.

Poznaliśmy się i połączyli.

Robotnicy, chłopci, wszyscy, którzy nic nie posiadają.

Nasza godzina wybiła!

Weszliśmy na drogę, z której nie ma odwrotu.

Na horyzoncie widać już — Zwycięstwo!

Wszyscy Wstali, oklaskom nie było końca. Wreszcie, ku cichej radości Daniela, kurtyna opadła.

— Nie zajdziesz do niej za kulisy? — zapytał Romka.

— Co za pomysł! Tam na nią czeka matka! Nie puściłaby jej samej. A gdybym tam poszedł... Mogłaby to zrozumieć po swojemu...

— Więc z tym równouprawnieniem jeszcze nie jest tak dobrze, jak mówiłeś.

— Nie mówiłem, że jest dobrze. O wszystko trzeba walczyć.

— A jak zrozumiałaby jej matka twoje odwiedziny za kulisami?

— Ze chcę się z Aniss ożenić...

— Coś ty! W twoim wieku?

— No, za rok, dwa...

— I chciałbyś?

— Pewnie że bym chciał. Ale muszę zdobyć wykształcenie, zawód... Cywilizacja sprzeniewierza się naturze.

Zdanie to zabrzmiało śmiesznie, pewno Romek powtórzył je za kimś. Lecz Daniel zrozumiał. Zbyt wiele widział w swoim krótkim życiu, by nie wiedzieć, że racje ludzkie zmieniają się zależnie od szerokości i długości geograficznej.

ROZDZIAŁ 3

26

W porównaniu z komfortowym mieszkankiem Szymona lokum jego sąsiadów — choć większe, bo położone nad garażami — prezentowało się nader ubogo. Nie było w nim prawie mebli, gąbkowe materace leżały wprost na podłodze, podobnie stosy książek. Różne części garderoby wisiały na wbitych w ścianę gwoździach. Można by sądzić, że lokatorzy dopiero co przybyli albo że zamierzają niebawem wyjechać, wszystko tchnęło prowizorką, wręcz niedbalstwem. Kuchnia przedstawiała widok oplakany. Góry talerzy w zlewozmywaku, ślady kubków z kawą na przykrytym ceratą stole, brudna kuchenka gazowa, mętne szyby.

Mimo że kolacja miała być o szóstej, doktor Wapieńska zjawiała się w godzinę później bynajmniej tym nie speszona. Usiadła na gąbkowym materacu i nie spieszyła się z podaniem posiłku. Opowiadała bezbarwnie o kłopotach w pracy, pytała o coś Daniela, lecz nie słuchała odpowiedzi. Wreszcie Romek oznajmił, że idzie robić kolację. Zgodziła się skwapliwie, rada, że oszczędzono jej wysiłku. Była szczupłą, nawet chuda, siwiejące włosy zaczesywała gładko i zwijała bezpretensjonalnie z

tyłu głowy. Nie malowała się wcale, jej szare oczy dawno straciły pociągający blask. Kiedy Romek wyszedł do kuchni, oparła się wygodniej o ścianę, wyciągnęła nogi i powiedziała z westchnieniem:

— Cieszę się, że wreszcie wrócimy do kraju.

— Kiedy?

— Po letnim urlopie. Tak żeby Romek od jesieni poszedł już do liceum w Warszawie.

— Ależ...

— Wiem, wiem! Jemu to się wydaje nie do pomyślenia. Tym bardziej należy... Musi przecież mieć polską maturę. Zacząć studia... Nie przyjdzie mu to łatwo, ma takie braki. Nie zna prawie historii Polski, literatury, gramatyki, terminologii z innych przedmiotów. Tyle że mówi poprawnie... Myślę czasem że bardziej jest Algierczykiem niż Polakiem.

— A pani nie będzie żał stąd wyjeżdżać?

— Wiem, że będę tęsknić. Ale teraz pragnę uciec. Z początku byłam pełna zapału. Byłam młoda. Myślałam, że uda się zmienić stosunki, sposób myślenia. Harowałam jak wół. Bez większych efektów. Owszem, udało mi się pomóc w wielu przypadkach. Doraznie. Lecz to nie wpłynęło ani na zmianę sposobu wychowywania dzieci, ani na układy rodzinne. Po ośmiu latach wiem, że większość matek nie przyjdzie z dzieckiem na umówioną wizytę, jeśli pan mąż nie zechce im tego dnia towarzyszyć do przychodni. Choćby dzieciak miał umrzeć.

Zapaliła papierosa, sięgnęła po popielniczkę pełną niedopałków. |

— Zdobyła pani godną podziwu olbrzymią praktykę — powiedział Daniel.

— Całkiem nieprzydatną w Polsce. A że nie miałam kontaktu z żadnym ośrodkiem naukowym, nie szłam z postępem wiedzy... Te lata są dla mojej kariery stracone... O, mąż już wraca.

Szybkie, młodzieńcze kroki zbliżały się do drzwi. Zgrzytnął klucz w zamku. Wysoki, postawny brunet o ujmującym uśmiechu stanął na progu.

— Dobry wieczór! — przywitał się z Danielem. — Nie jedliście jeszcze? Głodny jestem jak wilk.

— Zaraz będzie kolacja.

— Co ci Romek pokazał? — spytał Wapiński siadając przy stole, a raczej desce rysunkowej na stojakach, i szukając w kieszeniach papierosów. — Zabytki, muzea czy przyjaciół?

— Byliśmy na próbie -teatralnej.

— No i jakie odniosłeś wrażenia?

— To wszystko tak bardzo się różni od tego, co widziałem u nas...

— Gorsze, lepsze?

— Odmienne.

— Ten kraj dopiero się budzi, odrabia wiekowe zaległości. 27

Arabowie stworzyli niegdyś imperium sięgające od Atlantyku i Półwyspu Iberyjskiego po Anatolie, Kaukaz i Azję Centralną. Wiesz sam, jak wielką rolę odgrywali w dziewiątym, dziesiątym, jedenastym stuleciu. Ich nauka, sztuka rozwijała się na niebywałą skalę. Kiedy europejskie biblioteki klasztorne liczyły po kilkaset zaledwie tomów, księgozbiory arabskie posiadały po kilkaset tysięcy

rękopisów...

— Proszę do stołu — gromko oznajmił Romek. — Zrobiłem kus-kus na cześć Daniela.

— Świetnie. Mam nadzieję, że mu będzie smakować. — Profesor ochoczo zabrał się do jedzenia. Jego żona bez apetytu dziobała kaszę widelcem. Spojrzał na nią nieukontentowany, ale przymusił się do uśmiechu.

— Zmęczona?

— Jak zawsze.

— Trzeba ci wiedzieć — profesor zwrócił się do Daniela — że Hanna połknęła amebę i do tej pory nie może się wykuro-wać. I ty uważaj. Nie jedz surowizn, dbaj o higienę, nie pij wody ani żadnych napojów prócz herbaty i soków z puszek... Chociaż, moim zdaniem wszystko jest kwestią przypadku. Z nas trojga tylko Hanna zachorowała.

— Bo miałam największą styczność... Ty żyjesz w świecie książek.

— Chciałbym z tobą pogadać — profesor puścił słowa żony mimo uszu, całą uwagę skupiając na Danielu. — Może po kolacji?

— Daj mu spokój! Nie widzisz, że mu się oczy kleją?

— Istotnie, już późno. Mam nadzieję, że znajdziesz dla mnie trochę czasu przed powrotem do Polski.

— Postaram się...

— Zdumiewające, jak Polacy mało wiedzą o Arabach, a zwłaszcza o Algierii.

Wprawdzie są na ten temat książki, leksykony, lecz kto tam do nich zagląda!

Tymczasem znowu zwiększają się arabskie wpływy, nadchodzi, być może, era ich dominacji.

— Z powodu ropy naftowej? — spytał Daniel.

— Nie tylko! Islam to potęga! Siedemset milionów ludzi wy-28 znaje go fanatycznie, z determinacją. Skutki tego mogą być nieobliczalne. Pomyśl o Iranie, o Palestyńczykach, o groźbie świętej wojny przeciwko Izraelowi.

— Nie interesuję się polityką.

— A czym, jeśli wolno wiedzieć?

— Sobą samym.

Cała rodzina spojrzała teraz na Daniela z najwyższym zdumieniem.

— E, bujasz! — obruszył się Romek. — Świat jest taki ciekawy i skomplikowany.

— Nie przeczę.

— No więc?

— Nie chcę myśleć o tych wszystkich komplikacjach.

— Kiedy wyzdrowiejesz, na pewno zainteresujesz się światem — powiedziała lekarka jak do chorego dziecka.

— W sanatorium, do którego jedziesz, przebywa mój znajomy Szwed zajmujący się religioznawstwem. Wspaniały człowiek i uczony! Czy mógłbyś mu zawieźć materiały, które mu obiecałem przekazać? Prace magisterskie napisane pod moim kierunkiem. Jedną o Ibn Chaldunie, uczonym z końca czternastego wieku, który stworzył oryginalne zaczątki nauki o społeczeństwie i kulturze, drugą o największym filozofie arabskim, lekarzu i mężu stanu, znanym w Europie jako Averroes. Wyobraź

sobie, uważał, że należy pozwolić kobietom na rozwinięcie wszystkich ich zdolności, albowiem mogą na równi z mężczyznami zajmować wszelkie stanowiska, nawet rządzić państwem.

— I nie spalono go za te herezje na stosie? — zażartował Daniel.

— Jego, co prawda, nie. Spalono księgi. Filozoficzne, rzecz jasna. Oszczędzono prace z zakresu matematyki, medycyny i astronomii.

— Jak widać, lepiej trzymać się nauk ścisłych.

— Dla tego, kto je kultywuje... Wszelako szacunek dla człowieka i jego godności wymaga poznania kultury społecznej, tradycji, historii.

— Francuzi twierdzili, że Algieria na przykład nie ma własnej osobowości — wtrącił zapalczywie Romek. — Ze wysługiwała się tylko najeźdźcom: Kartagińczykom, Rzymianom, Wan-

29

dalom, Bizantyńczykom, Arabom i Turkom, że nie zapisała osobnej karty dziejów. Dlatego Huari Bumediem powtarzał aż do znudzenia: trzeba młodemu pokoleniu budującemu tutaj socjalizm pokazywać bohaterską przeszłość. Dlatego taki ważny jest dla nas Ibn Chaldun, ten pierwszy w świecie socjolog, o którym wspominał ojciec.

Daniel słuchał uprzejmie. Byłoby nietaktem powtarzać, że sprawy te nic a nic go nie obchodzą.

Dopiero po dziewiątej udało mu się pożegnać gościnną rodzinę i zejść na parter z całą paczką książek i maszynopisów. Szymon zjawił się w kwadrans później.

— Wybacz, że zostawiłem cię samego — zaczął od drzwi. —

Ale musiałem dopilnować przeglądu samochodu. Mamy długą podróż przed sobą.

— W porządku. Twoi znajomi zajęli się mną aż nazbyt gorliwie. Chcieli mi wtłoczyć do łba całą wiedzę o Arabach i Algieru.

— No tak! Tacy oni są. Zafascynowani tym krajem, zapatrzeni we wszystko, co arabskie. Dziw, że jeszcze nie przeszli na mahometanizm. Przynieś soku z lodówki, wypijemy po szklaneczce i do łóżka! Mam nadzieję, że dali ci coś do zjedzenia.

— Kus-kus.

— O, to wielkie święto! Na ogół żywią się chlebem i mlekiem skondensowanym. Dziwni ludzie. Znamy się pięć lat i wciąż nie mogę ich zrozumieć.

— Gdzie spędzałeś urlopy?

— Najpierw w kraju. Habilitowałem się tam, wiesz. Później w Hiszpanii, razem z Wapieńskimi. Profesor ma istną manię utrzymywania kontaktów ze wszystkimi kolegami na świecie. Koresponduje z nimi, posyła im nadbitki swoich prac, książki. Bywa na wszelkich możliwych kongresach. I choć nie sędzę, żeby napisał coś epokowego, uchodzi za specjalistę w swojej dziedzinie. Nie ma uniwersytetu w Europie, który by nie posiadał jego opracowań. Zapraszają go na wykłady także do Stanów. 30 — Zazdrościsz mu?

— Skądże! Co ci strzeliło do głowy?

— Zastanawiam się, po co tutaj przyjechałeś.

— W Polsce byłbym mizernym docentem, nikim więcej. Tutaj pełnię obowiązki profesora, prowadzę badania naukowe, a wyniki ogłaszam u nas. Po powrocie będę miał pewną sytuację materialną. Kupię mieszkanie za dewizy i jeszcze coś mi na

koncie zostanie.

— Moja kuracja trochę to konto uszczupli.

— Stać mnie na to.

— A gdyby cię nie było stać, czy też byś mnie zaprosił?

— Nie rozumiem pytania. Gdybym nie mógł, tobym cię tutaj nie ściągał.

— Może źle się wyraziłem. Więc powtórzę: czy gdyby to wymagało od ciebie wyrzeczenia się czegoś, gdyby stanowiło pewną trudność...

— Nie rozszczepiaj włosa na czworo. Skoro tutaj jesteś, to znaczy, że tego chciałem i że miałem na to odpowiednie środki.

— Rozmawiamy jak gęś z prosięciem.

Szymon wzruszył ramionami. W milczeniu sączył resztę soku z wysokiej szklanki.

— Wapieńscy sprawili na mnie wrażenie ludzi, którzy gotowi są podzielić się ostatnią kromką chleba.

— Szczeniackie złudzenia! No, może lekarka rzeczywiście jest taka. Romek wsiąkł całkowicie w środowisko algierskich zapaleńców i utopiłby przeciwnika w łyżce wody. A profesor to największy sobek pod słońcem.

— Nie lubisz go?

— Patrząc jak na dziwadło.. W ogóle nie uważam socjologii za poważną naukę.

Dowodzi ona zwykle tego, co każdy wie z własnych obserwacji. A już socjologia arabska... Pierwsza w świecie! Wapieński uwił sobie gniazdko w tej specjalności. Ciepłe gniazdko.

— Żyją bardzo skromnie.

— Bo mieszkają niechlujnie i jadają byle co? Żebyś ich widział za granicą!

Wszystko muszą zwiedzić, wszystko obejrzyć, na książki wydają majątek!

— Taki mają styl bycia.

31

— Popisują się nim. W ich kręgu to nawet modne. Za to wóz kupili pierwszorzędny. Ja nie mógłbym sobie na taki pozwolić. Ale oni pracują tutaj we dwoje, i to od ośmiu lat. Romek ci się podoba?

— Pewno jest taki jak dawniej nasi zetempowcy.

— Dużo tam o nich wiesz! Nawet dla mnie to historia.

— Historia est magistra vitae.

— Mało ci polskich porzekadeł? Sięgasz po łacińskie?

— Trzy lata uczyłem się łaciny w Edynburgu.

— Może wstąpisz w ślady Wapieńskiego. On też twierdzi, że łacina jest niezbędna dla każdego średnio wykształconego człowieka.

Daniel prychnął śmiechem. Dopił swoją porcję soku i zapytał drwiąco:

— Za co ty go tak nie cierpisz? Za ten lepszy wóz, za szastanie pieniędzmi na rzeczy, które ciebie nie bawią? Czy też za to, że jest po prostu inny, a trudno ci się zdobyć na tolerancję?

— Bzdury pleciesz! Nie mam nic przeciwko niemu, Czasem nawet grywamy w brydża. Nie warto o tym gadać. Chodźmy spać!

— Okey! Mogę iść pierwszy do łazienki?

— Proszę!

Daniel stwierdził z przyjemnością, że Arabka (mniejsza o to, czy rzeczywiście stara i brzydka) utrzymywała mieszkanie we wzorowej czystości. Wygody, do których

przywykł, zapas puszek w spiżarni, radio stojące przy tapczanie, wszystko to zmniejszało odległość między Europą a miejscem jego pobytu. Nadal znajdował się w swojskiej atmosferze komfortu i bezpieczeństwa.

Leżąc już na tapczanie wdychał wonne powietrze płynące z ogrodu przez otwarte okno i wyrzucał sobie, że nie wysłał kartki do Maryli. Trzeba to będzie koniecznie zrobić nazajutrz przed wyjazdem. Niech wie, że o niej pamięta. Chociaż to gest zdawkowy, bo cóż można przekazać w kilku zdaniach? A gdyby nawet mógł napisać do niej obszerny list, czy potrafiłby określić swoje uczucia, wyrazić pragnienia? Czy to naprawdę była 32 miłość? Tak mu się zdawało, kiedy powiedział rodzicom, że

chce spędzić święta Bożego Narodzenia z Marylą w wakacyjnym domku na Bukowinie. Mogło być cudownie: las, śnieg, cisza, samotność we dwoje. Oni popsuli wszystko. Nie dość że sprzeciwili się tym pięknym planom, ale jeszcze przedstawili je rodzicom dziewczyny, ubabrali domysłami, pocziwym zgorszeniem. Co oni sobie wyobrażają? Ze młodzi nie znajdują innej sposobności spełnienia swoich pragnień? Ale w mieście, w innych warunkach, w głupiej obawie przed ujawnieniem się tego, co przecież naturalne i bynajmniej nie gorszące, zniknie cała poezja, cała uroda pierwszych przeżyć, pozostanie natomiast lekkie obrzydzenie i żal, że „to tylko tyle!”. Mało to koledzy opowiadali o swoich pierwszych doświadczeniach? Prawie zawsze były to relacje obmierzone ze względu na ich prymitywizm i trywialność, trochę może udawaną, a trochę kompensującą rozczarowanie, bowiem owe „raz, dwa i po krzyku” wcale nie zaspokoili ich potrzeby czułości i wzruszenia. Rodzice twierdzili, że ani Daniel, ani Maryla nie dojrżeli jeszcze do współżycia i nie mogą ponieść jego konsekwencji. Jakby ich nie potrafili uniknąć! I czy rodzice nie pamiętają już z lat młodzieńczych tego rozgorączkowania, otumanienia, tego chorobliwego stanu, w którym niepodobna skupić się i pracować, stanu wynikającego z pragnień tłumionych lub zaspokajanych w sposób, który księża nazywają grzechem samotnym?

Może zresztą Daniel wbrew rodzicom zrealizowałby swoje zimowe plany, gdyby grypa nie przykuła go do łóżka, później zaś ostry atak reumatyzmu nie dał rodzicom pola do popisu. Dwoili się i troili, żeby sprowadzić najlepszych lekarzy, zdobyć najskuteczniejsze leki, zapobiec ewentualnym następstwom, jakie choroba ta może mieć dla serca czy nerek. O ileż lepiej rozumieli zagrożenia fizyczne, objawy podlegające kontroli lekarskiej, aniżeli nieuchwytnie oznaki głodu miłości! Gdybyż bodaj można było szczerze z rodzicami porozmawiać! Krępowali się jednak, pewne słowa nie przechodziły im przez gardło, kluczyli, owijali w bawełnę, bali się nazywać rzeczy po imieniu, zachęcali Daniela, by odbył rozmowę z lekarzem lub psychologiem, jakby to nie oni, rodzice, powinni byli z radością powitać młodego mężczyznę, którym się stawał. On z kolei także czuł zahamowania, choroba zwiększyła jego pobudliwość, nie panował, 33

3 — Daniel no Saharze

nawet nie starał się już panować nad sobą; kaprysił, stał się nieznośny, wiedział o tym, wściekał się na siebie i zwał całą winę na innych.

Teraz jednak, znużony całodniową łazęgą, oszołomiony morskim powiewem, leniwie wychodził myślą na spotkanie przyszłości, a bunt i rozdrażnienie topniały w

tchnieniu Sahary, którą dopiero sobie wyobrażał.

ROZDZIAŁ 4

Głosy dochodzące z sąsiedniego pokoju wtargnęły w sen Daniela, przemieszały się z majakami, tak że gdy wreszcie otworzył oczy, nie wiedział przez chwilę, czy śniło mu się to, co usłyszał, czy też naprawdę mówiono o jakiejś młodej dziewczynie, która poślubiła w Polsce ledwo poznanego Algierczyka i przyjechała z nim tutaj, nie przypuszczając, że przyjdzie jej zamieszkać w jakiejś góralskiej wiosce na dzikich stokach Dżur-dżury. Mimo woli nastawił ucha, lecz zaraz się zmitygował, uważał bowiem od dziecka, że podsłuchiwanie, tak samo jak podglądanie i czytanie cudzych listów, jest wyjątkowo obrzydliwe. Nie mogąc jednak przemóc ciekawości ubrał się szybko i zapukał do pokoju brata, niepotrzebnie zresztą, bo drzwi były uchylone, a rozmowa toczyła się głośno i swobodnie. Pod oknem siedział jasnowłosy, krępy i rumiany mężczyzna w szarym garniturze z tropiku.

— Pozwoli pan, panie radco, że przedstawię panu Daniela — powiedział Szymon bardzo ceremonialnie. Gość dźwignął się nieco z fotela, nie wstał wszakże, tylko pomachał chłopcu pulchną dłonią i uśmiechnął się promiennie, jakby widok Daniela sprawił mu nieopisaną radość.'

— Jestem pewien, że Daniel będzie zachwycony moją propozycją — podjął skwapliwie. — Chodzi o to, żeby nadłożywszy nieco drogi do sanatorium zawadzić o pewną miejscowość i odszukać w niej dziewczynę, która błaga nas o pomoc. Ze zrozumiących względów nasza ambasada nie może interweniować w takich sprawach. Ale pan profesor mógłby odnaleźć tę nieszczęsną Polkę i ułatwić jej kontakt z rodziną, a nawet — powrót do kraju.

— Przecenia pan moje możliwości. Po pierwsze, nie znamy nawet dokładnego adresu tej kobiety. Nazwa wsi, podana przez nią w liście do rodziny, może być kabylska, zwyczajowa, nie 35 odnotowana na żadnej mapie. Zresztą od czasu napisania tego listu do chwili obecnej upłynęło parę miesięcy, kto wie, czy przebywa tam nadal, czy nie wyjechała z mężem gdzieś dalej, wspomina przecież, że jest on działaczem politycznym i ma budować socjalistyczną wioskę na Saharze.

— Drogi profesorsze, sam pan wie, że tutaj życie toczy się powoli. Najważniejsze, żeby odnaleźć ślad tej Polki, bodaj pierwsze miejsce zamieszkania. Znając nazwisko jej męża, który nie jest chyba zwykłym pętakiem, skoro go wysłano na studia do Polski, znając w przybliżeniu miejsce...

— W przybliżeniu pięciuset kilometrów...

— I mogąc skorzystać z nieocenionej pomocy pańskiej gospodyni, Kabyłki z tamtych stron...

— Wcale nie wiem, czy będzie do niej skora.

— Na pewno z radością odwiedzi krewniaków. Nie wzbudzi też jej podejrzeń fakt, że rodzina z Polski przysyła tej kobiecie koszyk upominków. Wspólnie odszukacie dziewczynę...

— Nawet gdybyśmy ustalili miejsce jej pobytu, wcale nie jest pewne, że uda mi się z nią pomówić.

— W Kabylii kobiety są swobodniejsze nieco niż tutaj... W najgorszym razie prześle panu liścik przez gosposię, którą zabierze pan w powrotnej drodze, po odwiezieniu

brata do sanatorium. No i naradzimy się wówczas, jak działać dalej.

— Nie docenia pan trudności, panie radco.

— Ależ tak, ależ tak! Nie widzę jednak innego sposobu... A nie mogę pogodzić się z myślą, że ta nierozważna osoba, która mając lat osiemnaście, wbrew woli rodziców, wbrew zdrowemu rozsądkowi, przybyła tutaj w obce dla siebie warunki, ma pokutować całe życie za błąd młodości. Niech pan spyta Daniela, poprze mnie na pewno!

— Mnie się do sanatorium nie spieszy...

— Zapłaciłem za pobyt począwszy od...

— Zwrócimy panu wszystkie koszty! Rodzina Blanki przekazała mi do dyspozycji sporą sumę... Jej ojciec jest znanym w kraju chirurgiem. Doprawdy, aż dziw bierze, dlaczego ona, mając takie warunki, takie perspektywy, popełniła zwykle szaleństwo...

36 — Może naprawdę zakochała się w tym Algierczyku? Straciła dla niego głowę? Albo po prostu miała dosyć domu i owych perspektyw, o których pan wspomniał. Może skusiła ją przygoda, wyprawa w nieznaną świat? Szymon spojrział na brata z niepokojem. Najwyraźniej dziwiło go jego widzenie świata, usprawiedliwione jedynie młodym wiekiem i romantycznym usposobieniem. Najwyższy czas, żeby chłopakowi życie trochę dało w kość. Bo, jak dotychczas, za dobrze mu się wiedzie.

— Więc jakże, panie profesorze, dogadaliśmy się? Pomówi pan dzisiaj z Kabyłką i jutro rano wyruszyacie w drogę. To będzie piękna podróż — uśmiechnął się do Daniela. — Na pewno pan nie pożałuje... Och, jak późno! Muszę lecieć! — zerwał się z fotela jakby w obawie, że Szymon wytoczy nowe argumenty. — W każdym razie niech pan spróbuje odnaleźć tę nieszczęsną. Niech pan zrobi, co w pańskiej mocy. Gdyby szło o jakąś zwykłą gąskę... Ale w tym wypadku, sam pan rozumie... Naciski nieoficjalne... Protekcje... Sto kłopotów. Liczymy na pańskie zrozumienie... No i na dyskrecję, oczywiście. Sprawa jest delikatna... Władze są drażliwe... Ambasada nie może mieć z tym nic wspólnego. Z reguły nie mieszamy się do takich rzeczy.

Ucisnął serdecznie dłonie obu braci, objął ich ufnym, zobowiązującym uśmiechem i podreptał na krótkich nóżkach ku drzwiom wyjściowym, za którymi czekał na niego samochód. Wóz spłynął z podjazdu na ulicę i pomknął w dół miasta.

— Zjedzmy wreszcie śniadanie! — Szymon zawrócił do kuchni. — Nawet kawy nie zdażyłem wypić, a bez kawy...

Daniel puścił mimo uszu zrzęczenie brata, rad, że nie musi komentować nowej sytuacji. Przypomniawszy sobie, jak podczas ulewnego deszczu schronił się kiedyś z Marylą do kawiarni pełnej Arabów różnego wieku i autoramentu. Zdumiała go wówczas łatwość, z jaką zawierali znajomości z dziewczętami, które przyszły tam chyba właśnie w tym celu. Niektóre były w wieku Maryli, a nawet od niej młodsze. Oboje czuli się zażenowani panującą w kawiarni atmosferą i nie dopiwszy herbaty wymknęli się jak niepyszni. Teraz jednak Daniel wyobraził sobie, co by to było, gdyby pod wpływem nieprzewidzianych konfliktów rodzinnych Maryla na przykład postanowiła rzucić wszystko i zacząć życie od nowa na innym kontynencie, mał-

37

żeństwo z Arabem uważając jedynie za środek do osiągnięcia tego celu. Wystarczyło

mieć lat osiemnaście, żeby nie pytać rodziców o pozwolenie, postawić wszystko na jedną kartę i — przegrać. Ale czy Blanka naprawdę przegrała swój los? Może napisała do rodziny jedynie pod wpływem chwilowego nastroju, może — mimo wszystko — nie jest jej tutaj źle? Pewno ciężko pracuje, trudno jej dopasować się do miejscowych warunków i obyczajów, lecz i takie życie ma swój smak, a wyrwać się z niego chyba można bez wołania o pomoc.

Nie współczucie, lecz ciekawość skłaniały Daniela do poszukiwań. Ciekawość szczególnego rodzaju, gdyż nie znając bliżej dziewcząt, skory był wszelkie ich cechy przypisywać Maryli, jak gdyby ona właśnie — w odpowiednich okolicznościach — mogła tak samo postąpić, to samo odczuwać. Chociaż ją szczególnie sobie upodobał i darzył uczuciem, była dlań zarazem uosobieniem kobiecości, odmiennego żywiołu, zjawiskiem nie całkiem zrozumiałym, o reakcjach nieprzewidzianych i trudnych do logicznego wyjaśnienia. Ów element niespodzianki stanowił niewątpliwie atrakcję. W Edynburgu Daniel chodził do szkoły dla chłopców, z dziewczętami prawie się nie spotykał; po powrocie do Warszawy także unikał ich towarzystwa, czuł się skępowany, nie potrafił znaleźć właściwego tonu w zwykłej rozmowie, bywał zbyt grzeczny, zbyt ceremonialny, czym narażał się na śmieszność, ale za nic nie chciał podchwycić tego sposobu bycia, tej przesadnej koleżeńskiej swobody, która w jego mniemaniu kojarzyła się z grubiaństwem i nieokrzesaniem. Doczekał się opinii cudaka i zarozumialca. Nie wiedział, o czym by można mówić z tymi „kozami”, w ogóle nie czuł potrzeby rozmawiania z nimi. Marylę poznał w bibliotece, rozmowa wywiązała się jakoś naturalnie, później czytali te same książki, chodzili razem do kina. Była jedyną osobą, z którą stosunki układały się prosto i bezproblemowo.

— Chcesz zobaczyć, jak wygląda ta Blanka? — zagadnął Szymon przy śniadaniu. — Radca zostawił nam jej fotografię. Ładna dziewczyna, trzeba przyznać.

Nie przypominała wcale Maryli. Blondynka, rysy raczej grube, pospolite, trochę wyzywający uśmiech, równe zęby, mocny 38 zarys brody. Nie wyglądała bynajmniej na mimozę, która stula

płatki pod chłodnym tchnieniem wiatru. Czyżby naprawdę nie zdawała sobie sprawy, co ją czeka tutaj, w Afryce? A może cała historia została nadana radcy tylko przez rodzinę, która postanowiła odnaleźć marnotrawną córkę wbrew jej woli? Tak czy owak, perspektywa nieoczekiwanej wyprawy przedstawiała się Danielowi bardzo interesująco.

Wyjechali z Algieru dość wcześnie. Droga w kierunku Kon-stantyny wiodła przez płaską, dość gęsto zaludnioną krainę. Daniel siedział z przodu obok brata, Kabyłka na tylnym siedzeniu, poważna i skupiona, godnie wyglądająca w swej pomarańczowej szacie. Daniel nie potrafiłby określić wieku tej kobiety o ciemnej skórze, wydatnych kościach policzkowych, szeroko rozstawionych oczach i nieco spłaszczonym nosie. Równie dobrze mogła mieć lat sześćdziesiąt, jak i czterdzieści, ciężka praca wycisnęła na niej swoje piętno. Od dawna chodziła na posługi do Europejczyków, niegdyś Francuzów, dzisiaj Polaków, Czechów, Niemców. Mówiła dobrze po francusku, lecz niechętnie opowiadała o sobie, należała do istot nieufnych i dumnych, ciężko doświadczonych przez los. Straciła całą rodzinę podczas pacyfikacji, mieszkała u dalekich krewnych na skraju Kasby. Propozycję wyprawy do Tizi Uzu i dalej przyjęła chętnie, lecz bez szczególnego zapału, może

dlatego, że dawno tam nie była. Odwiedzenie rodzinnych stron zakłócało monotony tryb jej życia, zmuszało do psychicznego wysiłku.

Nie zasłaniała twarzy, zdobnej w delikatny tatuaż, ale rysy jej pozostawały nieruchome, od rozmówców odgradzała ją niewidoczna zasłona obcości. Prawą dłoń, ciemną i żyłastą, położyła na koszyku z upominkami dla Blanki; strzegła go przez całą drogę, może lękając się, by nie spadł z siedzenia i zawartość nie wysypała się na podłogę.

Jechali przez urodzajne tereny o charakterze śródziemnomorskim, odgródzone od Sahary dwoma potężnymi pasmami gór: Atlasem Telskim i Atlaseim Saharyjskim. Wśród pól i winnic pojawiały się białe domki kryte czerwoną dachówką, czasem otoczone eukaliptusowym gajem. Gdzieniedzie zieleniały pióropusze palm. Minęli niewielki las odartych z kory dębów 39

korkowych, później plantacje tytoniu, dwa przemysłowe ośrodki — Ruibę i Reghaię. Trasa wiodła nad Uedem Sebau, którego wody spływają do morza opodal portu Dellys. W miarę podnoszenia się terenu, coraz bardziej pofałdowanego, w zwartą zieleń krajobrazu wkradały się brunatne odcienie. Brązowiały wyschłe koryta rzek, rudą wstęgą przecinały pejzaż tory kolejowe niknące gdzieś w tunelu. Coraz mniej było ludzkich siedzib, jedynie na rozległych polach spotykało się szałasys sklecone z gałęzi, przykryte zeschniętymi liśćmi, mieszkali w nich robotnicy rolni.

W lepiej nawodnionych miejscach widzieli uprawy jarzyn, krzewy morełowe, ciemnozielone drzewa pomarańczy, obsypane złotymi owocami, boć przecie grudzień jest miesiącem ich dojrzewania.

Po raz pierwszy od przyjazdu tutaj Daniel czuł się spokojny i odprężony, miło mu było jechać w milczeniu przez ten kraj na pozór tak sielankowy, żyzny, skąpany w różnym świetle poranka. Kiedy Szymon zerknął ku niemu, uśmiechnął się; brat odpowiedział uśmiechem i skinieniem głowy, jakby zrozumiał, co dzieje się w duszy Daniela.

Droga pięła się wyżej, pola podrywały się ku niebu, coraz bardziej strome, coraz jaskrawiej żółte. Pojawiały się wzgórza, jeszcze niezbyt wyniosłe, ledwo z kępą drzew na szczytach, ale już w dali ukazały się niebieskie, wysokie góry Wielkiej Kabylii. Znowu napotkali plantacje oliwek, fig, tytoniu, warzyw. Dotarli wreszcie do miasta Tizi Uzu, siedziby władz wilajatu. Szymon zatrzymał wóz na centralnym placu przed europejskim budynkiem administracyjnym, żywo przypominającym francuskie prowincjonalne merostwa.

— Spróbuję sprawdzić podany nam adres — powiedział. — Wsiądź, Danielu, rozprostuj nogi, moja rozmowa może dłużej potrwać.

Na placu znajdowało się wiele ludzi w najrozmaitszych strojach — arabskich, europejskich, bądź też stanowiących połączenie różnych elementów; ruch był jednak niewielki, niespieszny, # jakby na zwolnionym filmie. Kilka kobiet w jaskrawożółtych, pomarańczowych i amarantowych szatach siedziało na ziemi, 40 zabawiając się rozmową. Przy stolikach przed kawiarenką mężczyźni sączyli kawę z mikroskopijnych filiżaneczek. Przejechał wózek z jarzynami, ciągnięty przez chudego osła. Ludzie stali pod ścianami lub siedzieli, spowij w barwne dżelaby, przypominające luźne płaszcze z długimi rękawami i kapturem, utkane z wełny domowym sposobem. W sklepiu na rogu sprzedawano cienkie

naleśniki, jakieś suszone zioła, może przyprawy, może leki, węgiel drzewny do gotowania potraw w glinianych naczyniach. Z pobliskiej knajpki dolatywał smakowity zapach pieczonych na ruszcie, mocno czosnkowanych kielbasek. Pnie platanów przy głównej ulicy przybrały barwę złotoróżową, mimo kurzu powietrze wydawało się rześkie, ożywcze, leciutki wiatr zawiewał od gór.

Szymon wrócił nadspodziewanie prędko z rozjaśnioną twarzą. — Wyobraź sobie, co za szczęśliwy przypadek! — wykrzyknął. — Spotkałem tutaj swojego studenta, który przed rokiem porzucił studia w Algierze, bo musiał po śmierci ojca roztoczyć opiekę nad całą rodziną. Pracuje w biurze. Sprawdził podany nam adres, dokładny, jak się okazało; co więcej, zna męża Blanki, bo to nawet jakiś wybitny działacz tutejszy, zakłada wioskę socjalistyczną na południu. Nie wiadomo, czy zabrał tam ze sobą żonę, czy też zostawił ją u rodziny w górach. Mój Omar postanowił jechać z nami, żeby ją odszukać. Poszedł tylko poprosić szefa o pozwolenie.

Omar zbiegał właśnie ze schodów. Wysoki, szczupły, z kędzierzawą czupryną i przepastnymi czarnymi oczami. W błękitnej koszuli i zszarzałych dżinsach nadal wyglądał bardziej na studenta niż na poważnego urzędnika wilajatu. Nie ukrywał, że woli pojechać na wieś niż ślęczeć za biurkiem. Przywitał się wylewnie z Danielem, rzucił kilka słów po arabsku do siedzącej z tyłu Kabyłki, Odpowiedziała niskim, szorstkim głosem, przyciągając koszyk bliżej siebie, żeby zrobić miejsce Danielowi. Omar usiadł przy Szymonie, aby wskazywać drogę. Paplał swobodnie po francusku, wtrącając wiele słów arabskich, nie przejmując się zbytnio gramatyką, rozlubowany w określeniach przesadnych, pompatycznych, w malowniczych epitetach. Daniel początkowo nie rozumiał dokładnie, o co mu chodziło, gdy się jednak trochę osłuchał, docenił oryginalność tego stylu i w lot pojmował intencje rozmówcy, tym bardziej że teraz Omar jął

41

udzielać objaśnień. Był to świetny pretekst do popisania się wymową przed dawnym profesorem, więcej, uzmysłowienia mu w całej pełni, z kim ma zaszczyt przestawać, gdyż niepozorny student, nie wyróżniający się w Algierze niczym spośród kilkudziesięciu słuchaczy, dopiero tutaj okazał się poważnym urzędnikiem, głową rodziny, Berberem dumnym ze swego pochodzenia i przeszłości rodu, rzecznikiem politycznych przemian.

— Powrócił czas Arabów. Tych, którzy chcą, by uczono się od nich, a nie tylko ich nauczano — stwierdził butnie i wieloznacznie, gdyż mogło się to odnosić zarówno do ogólnej sytuacji Algierii w świecie, jak i do wykładów Szymona, co prawda umyślnie sprowadzonego tutaj specjalisty, lecz przecież cudzoziemca.

— Wasz wielki przywódca, Bumediën, urodził się, o ile mi wiadomo, w rodzinie kabyłskiej i chodził do medresy w Konstantynie — Szymon próbował skierować rozmowę na bezpieczniejsze tory. — Po berberyjsku mówią również Mozabici i Tuaregowie. To ponad pięć milionów...

Znowu popełnił błąd. Omar jakby się usztywnił i wyrecytował:

— Algieria jest moją ojczyzną, arabski jest moim językiem, islam jest moją religią. Przez chwilę najwyraźniej cieszył się zmieszaniem profesora, lecz ponieważ go raczej lubił, a był dziś w pogodnym nastroju, załagodził problem, aby nie wdawać się w zasadnicze spory.

— Większość Algierczyków mówi przecież po arabsku. Ale tutaj, w Wielkiej

Kabylii, zachował się jeszcze czysty dialekt berberyjski. Nie na długo chyba. Popatrzcie.

Wskazał ręką wysokiego mężczyznę, który w biblijnej szacie stał na skraju górskiej łąki pilnując stada owiec; jedną ręką wspierał się na zakrzywionym kosturze, w drugiej trzymał małe, tranzystorowe radio.

— Kiedy zbudowano w górach pierwszy maszt telewizyjny i przywieziono tutaj pierwsze telewizory, ludzie pielgrzymowali całymi rodzinami, żeby zobaczyć 40 cudu. Obcy świat wtargnął do wsi, które od tysiący lat prawie nie ulegały zmianom.

Daniel znowu wyczuł dwuznaczność wypowiedzi Omara, który nie opowiadał się jasno ani za wyższością arabizacji nad tradycją berberyjską, ani za korzyściami nowoczesności. W razie potrzeby mógłby chyba z równym przekonaniem udowodnić słuszność każdej z przeciwnych tez. Czy wynikało to tylko z chwiejności jego osobistych poglądów, czy też należało do strategii politycznego działania w tym regionie?

Wąska droga wspinała się teraz zakosami na strome zbocze. Wśród skał i nieużytków z rzadka już pojawiały się pólka uprawne, drzewa oliwne i figowce. Z motykami w dłoniach, nisko pochylone nad ziemią, wszędzie pracowały kobiety. Ścieżynką nad urwiskiem szły pod górę dziewczęta z amforami wody, którą do wsi trzeba donosić z niżej położonych źródeł. Po ostrym, karkołomnym podejździe szosa nagle wychyłała na niewielki płaskowyż, a raczej cypel nad przepaścią. Wznosiła się tutaj obwiedziona murem osada, twór pośredni między wsią a starożytnym miasteczkiem, organizm samodzielny, niezawisły na pozór od nikogo. Trzeba było zostawić samochód przed bramą i wejść do osiedla przypominającego plaster miodu, w którym mniejsze zespoły domostw tworzyły komórki łączące się ze sobą. Kręte przejścia między nimi były tylko na tyle szerokie, by mógł się przecisnąć tamtędy objuczony osioł. Kamienne niskie domy, kryte ciemnoczerwoną kragłą dachówką, otaczały nieregularny, czworokątny dziedziniec, na który wchodziło się przez klasztorną niemal furtę. Na środku podwórza kobiety gotowały obiad przy palenisku. Pod ścianami stały wielkie amfory, podobne do greckich zabytków, jakie Daniel oglądał w muzeach, i tak samo zdobione czarnym lub bordowym ornamentem. Opodal leżały narzędzia gospodarskie i pęki suchej trzciny. Na widok gości powstał siedzący pod drzewem figowym starzec w płóciennej gandurze, podobnej do długiej koszuli z wy-szyciami po bokach, i w malowniczym turbanie. Z ciemnych wnętrz domostw bez okien wyglądały kobiety, wszystkie jaskrawo odziane, w żółtych zawojach, bez osłon na twarzy. Gromadka dzieci podbiegła ku przybyszom. Kobiety przy palenisku odwróciły się ku nim w milczeniu, bez uśmiechu.

Omar powitał starca w miejscowym narzeczu i coś mu długo tłumaczył, wskazując to na Szymona, to na Kabylkę niosącą koszyk z prezentami. Upłynęło sporo czasu, nim patriarcha rodu zaprosił cudzoziemców na matę pod drzewem, Kabyłce polecił, by weszła do wnętrza domu. Rozmowa toczyła się nadal po berberyjsku, Omar pełnił rolę tłumacza. Stary chlubił się liczebnością rodziny; miał jedenastu synów i pięćdziesięciu kilku wnuków. Potomstwa płci żeńskiej nie wliczał do rachunków. Niektórzy synowie wyemigrowali do Francji, inni znaleźli

pracę na nizinach, w zakładach przemysłowych. Tutaj, w górach, trudno się wyżywić. W esadzie mieszka nie więcej niż siedmiuset ludzi, a i tak nie można nastarczyć wody, jarzyn...

Przywołani jakby milczącym wezwaniem pojawili się kolejno mężczyźni, bynajmniej niestrudzeni; zasiadali na miejscach im należnych — bliżej lub dalej od głowy rodu — czekając widocznie na południowy posiłek i obserwując bacznie przybyszów.

Odzywali się jedynie wtedy, gdy starzec o coś ich zapytał lub zażądał potwierdzenia.

Daniel oparł się o kamienny, ciepły mur i patrzył na płaski dach domu po drugiej stronie podwórza. Wśród cynobrowych dachówek krzewiły się kaktusy jak uprzykrzone chwasty. Pod okapem schły strąki czerwonej papryki, wisały pęki czosnku. Z kociołka na palenisku dolatywały smakowite wonie rozmarynu, tymianku, bazylii; cały ten bukiet ziół śródziemnomorskich wzbogacić miał ubogie pożywienie. Nad czworobokiem dziedzińca błękitniało wysoko niebo bez jednej chmurki, bez smużki zamglenia. Białe gołębie odpoczywały na łuku kamiennej furty. W jej cieniu stara kobieta omotana czarnym zawojem przędła kądziel. Mimo ubóstwa życie wydawało się pogodne, ciche, spokojne, niemal godne zazdrości.

Blanki wszakże nie było. Odjechała z mężem na południe do miejscowości, której nazwa nic Danielowi nie mówiła, Omar jednak o niej słyszał i najwidoczniej winszował staremu, że jego wnuk, Mehmed, tam'właśnie trafił. Wszczęto rozważania, co zrobić z przywiezionymi darami. Szymon prosił, by je wręczyć siostrze Mehmeda. Starzec odmówił, choć kobiety stojące w drzwiach najwidoczniej prosiły o to wzrokiem. Wreszcie wyraził zgodę, przywołano Kabyłkę, wydano jej polecenie. Powoli, 44 z godnością, jęła wydobywać z kosza kawałki barwnych, mate-

riałów, mydło, pachnidła i słodczyce. Dzieci i kobiety otoczyły ją ruchliwym wieńcem, roztrajkotało się całe podwórze.

Patriarcha zaprosił gości na posiłek. Dziewczęta przyniosły każdemu glinianą miseczkę fasoli z płatkami marchwi ugotowanej w wonnym wywarze z ziół.

Szymon wyjął z samochodu 45

prowianty zabrane na poczęstunek. Znowu starzec certował się z ich przyjęciem, rewanzował herbatą miętową i figami. Daniel pomyślał z ironią o niepodobieństwie zachowania higienicznych wskazań, udzielonych mu sumiennie przez Wapięńskich. Dzień powoli mijał w słodkim rozleniwieniu.

Kiedy już długie cienie legły na dziedzińcu, Omar w imieniu gospodarza zaproponował, by Polacy obejrzeni kilimy, jakie się tu wyrabia na zamówienie spółdzielni, kilimy stanowiące obok srebrnej biżuterii odwieczną specjalność regionu. Wstąpili do niskiego domku o grubych na metr kamiennych ścianach bez okien, w którym gnieździła się rodzina, jedna z wielu mieszkających wokół dziedzińca. Ciemna, niewielka izba łączyła się z nieco niżej umieszczonym schronieniem dla bydła. Między siedliskiem ludzi i zwierząt stał rodzaj pieca, widocznie na użytek zimowy. Nad warsztatem tkackim pochylała się sylwetka kobieca. Za zasłoną z wiszących na drążku białych płócien, ozdobionych kolorowymi paskami, na legowisku z barwnych pasiaków leżała kobieta nie mająca nawet tyle siły, by się oganiać od much, których roje łąziły po jej rękach i spoconej twarzy. — Położnica — szepnęła Kabyłka po francusku do Szymona. — Gorączkuje od

trzech dni. Umrze, jeśli jej pan nie poratuje swoimi lekarstwami...

Daniel czym prędzej wyszedł na dwór. Nie chciał słuchać wyjaśnień, że mowy nie ma o sprowadzeniu lekarza, o przewiezieniu chorej do szpitala, bo skoro jej sądzone umrzeć, to i tak umrze, a jeśli ma żyć, to wyżyje. Zdumiewało go jedynie, iż przez tyle godzin nikt nie wspomniał o położnicy, nie poprosił o pomoc, nawet chyba nie przejmował się chorobą. Szymon wręczył Kabyłce porcję antybiotyków z podręcznej samochodowej apteczki. Stara oznajmiła, że zostanie przy chorej, roztoczy nad nią opiekę, a później sama zejdzie do Tizi Uzu i wróci autobusem do domu, o ile, oczywiście, dostanie pieniądze na bilet. Do krewniaków i tak ma stąd za daleko, a zresztą..

Machnęła wymownie ręką. Daniel napotkał jej przelotne smutne spojrzenie i, o dziwo, z nią tylko poczuł jakąś więź uczuciową, nawiązaną bez słowa. Nie dbając o powinności grzecznościowe zostawił Szymona wśród domowników, wymknął się az za bramę osady i siadł nad występem skalnym koło samochodu. W dole błękitniał pas nadmorskiej niziny, zdał się tak odległy, że nieosiągalny. Może Blanka przychodziła tutaj i użalała się nad sobą, lękając się losu owej położnicy albo i tych dziewcząt, idących teraz pod górę z amforami pełnymi wody. Szły jakby nie czując ciężaru, lekkim, wdzięcznym krokiem, jedna za drugą, ale Daniel nie dowierzał już pozorom.

Wkrótce nadszedł Szymon z Omarem, który, pragnąc zatrzeć przykre wrażenie, opowiadał ze sztuczną werwą o udziale Ka-byłów w partyzantce przeciw Francuzom, o dzielności tutejszych kobiet, o wojowniczych mieszkankach gór Aures, które nazywają siebie córami Kahiny.

— Kahina była żoną berberyjskiego króla Kosejli — wyjaśnił na użytek Daniela. — Po śmierci męża, chyba w VII wieku, walczyła z niosącymi islam Arabami. Jej zwycięstwa przypisywano pomocy sił nieczystych...

— Fantazjujesz, Omarze — wtrącił Szymon. — Historia nie dostarcza nam żadnych dowodów, że owa Kahina istniała. Ka-hinami nazywano rozmaite wieszczki albo, jeśli wolisz, czarownice..,

— Historia europejska! — zaperzył się Omar. — Przecież ci francuscy naukowcy świadomie odmawiali Algierii jej własnej przeszłości. Pomijali okres berberyjski oraz islamizację północnej Afryki. Słusznie więc mówił Bumediën, że my, Algierczycy, sami napiszemy historię. Najpierw opiszemy przeszłość, gdyż była ona zafałszowana przez kolonizatorów i historyków. Później zajmiemy się historią współczesną, ale jeszcze zbyt wielu jej bohaterów żyje, aby można ją było przedstawić bezstronnie. Szymon milczał, prowadząc ostrożnie samochód nad krawędzią przepaści, Daniel zaś uśmiechał się uprzejmie nie przerywając wywodów Omara, przeświadczony, że w tym kraju granice między prawdą a zmyśleniem, między życiem a śmiercią są bardziej kruche niż gdzie indziej.

ROZDZIAŁ 5

Antyczne miasto Cuicul, arabska Dzemila. Ściernisko kamiennych kolumn widniało w głębi płowej doliny jak na dnie misy przykrytej kopułą nieba. Zręby domów mieszkalnych przy głównej ulicy, wyłożonej wielkimi płytami, zarysy biblioteki, łaźni, sklepów i składów przy rynku, na którym stały budowle municypalne, ruiny świątyń, resztki kanalizacji, ślady wodociągów, postumenty nie istniejących już

pomników i dumnie wzniesiony łuk — głośiły chwałę Rzymu sprzed dwóch tysięcy lat.

— Rad jesteś, żeśmy tu przyjechali? — zapytał Szymon nieco ubawiony oszołomieniem Daniela, który szedł jak lunatyk, głęboko oddychając upojnym powietrzem.

— Tak bardzo chciałem zobaczyć to miasto!

— Dlaczego? Nie zachowało się w nim przecież nic szczególnie godnego uwagi.

— Zachowała się myśl architektoniczna, niezawodne poczucie ładu i celowości, jasny plan organizacji przestrzeni, sama istota imperium!

— Przesadzasz!

— Widywałem sporo zabytków rzymskich w Europie: tu kawałek muru, tam resztkę akweduktu lub kolumnę, łuk triumfalny, świątynię. Wszystkie znajdowały się w obcym dla siebie świecie, obrosły nowoczesną zabudową, która odbierała im sens istnienia. Tu widać jak na dłoni, że Dżemila poty była potrzebna, póki istniał rzymski ład, którego pilnowały legiony, póki trwał określony porządek społeczny, ustalony wzorzec kultury. Kiedy upadło cesarstwo, powrócił chaos... Wyobrażam sobie, jak wynieśli się stąd ostatni mieszkańcy, jak splądrowali miasto Berberzy, jak zamarły okoliczne plantacje... Jeśli ktoś po wiekach będzie oglądał ruiny współczesnych metropolii europejskich, nie odkryje w nich tak przejrzystego planu, tak konsekwentnej realizacji...

— Dżemila jest maleńkim organizmem, nieporównywalnym z takim kolosem jak Londyn czy Paryż.

— Oczywiście. Ale twórcy Dżemili i setek miast do niej podobnych mieli największy w świecie talent organizacyjny i jasną wizję przyszłości. Podczas gdy my... Jesteśmy wprost pozbawieni wyobraźni. Z bezmyślną furią niszczymy podstawy życia.

Szymon zapalił papierosa. Ręce mu trochę drżały, gdy podnosił zapałkę. Obiecał sobie solennie, że nie będzie się wdawał w dyskusje z tym szczeniakiem, w którym myśli kipiały jak piekielna smoła. Wyobrażał sobie, ile zgryzot przysparza Daniel rodzicom. Oby choć trochę ochłonał w algierskim sanatorium!

Daniel nie patrzył w tej chwili nawet na wymarzone miasto. Czubkiem buta postukiwał irytująco w kamienną płytę, na której wygrzewały się jaszczurki. Zdołał je wreszcie spłoszyć, umknęły w szczeliny między głazami. Wstał, żeby wysledzić ich kryjówkę. Nie czuł się chyba najlepiej, reumatyzm rzeczywiście musiał dać mu się we znaki, bo ruchy chłopca były ociężałe, ostrożne, niepełne; podświadomie unikał większego wysiłku. Raptem jednak schylił się tak szybko, jakby mu nic nie dolegało. Podniósł spomiędzy kamieni małą monetę.

— Spójrz, Szymku!

Trzymał na otwartej dłoni zaśniedziały pieniążek, okruch dawno minionego czasu.

— Chyba rzymski? Ze też się tu uchował... To ważny dla mnie znak.

— Jaki?

— Głupstwo! Przesąd!

Podrzucił monetę i schował ją do kieszeni.

— Wracamy do auta? — zapytał Szymon. — Powinniśmy już jechać dalej, jeśli

mamy przed zachodem dotrzeć do Biskry.

0 tej porze widok jest niezapomniany. Daniel nie zareagował na słowa brata.

— Dziwisz się, że tak ciekaw byłem tych rzymskich ruin. Ale, przecież, wychowano mnie w micie śródziemnomorskim. Dla ciebie to brzmi egzotycznie. Pamiętaj jednak, że w Edynburgu chodziłem do szkoły, w której uczono łaciny codziennie.

1 nie tylko języka... W naszej klasie stała makieta starożytnego 49

4 — Daniel na Saharze

Rzymu. Lepiej orientowałem się w nim niż w planie współczesnej Warszawy. Na ścianach fotografie zabytków, antycznych rzeźb. Lekcje historii bardziej pasjonujące niż seriale filmowe. Republika, cesarstwo... Zasady prawa rzymskiego... Podstawy administracji... Później generalna powtórka, już na wiasny użytek, w muzeach Londynu. Podziw dla tych, którzy przybyli aż na Wyspy Brytyjskie, do Hiszpanii, a wszędzie potrafili zaprowadzić swój ład, swoje prawo... Zbudowali podstawy systemu, który trwa po dziś dzień.

— Nie wszędzie.

— Zgoda, nie wszędzie. Lecz tam, gdzie się z niego jeszcze umiejętnie korzysta, organizacja życia działa cuda. Nie o tym jednak chciałem mówić. Otóż ten wąski pas nadbrzeżny w Afryce, ten afrykański rąbek Morza Śródziemnego, był terenem tylu zdarzeń, miejscem rozkwitu i upadku tylu cywilizacji, że nie potrafię myśleć o nim bez wzruszenia, bo w pewnej mierze jest on naszą wspólną ojczyzną, podobnie jak Rzym i Grecja. Algierczycy jednak wcale tak nie myślą. Dla nich wszystko zaczęło się od inwazji Arabów, od islamu.

— Nic w tym dziwnego.

— Zapewne. Ale stąd też wynika niemożność prawdziwego porozumienia.

Po raz pierwszy chyba Szymon w duchu obwinił rodziców, że wykołowali tego biednego chłopaka, sprawili — mimo woli — że nabił sobie głowę ideami nie pasującymi całkiem do rzeczywistości. Gdzie Rzym, a gdzie Krym, gdzie mit śródziemnomorski, dziewiętnastowieczne zachwyty nad antykiem, a konflikty bliskowschodnie, nafta, polityka trzeciego świata, wojna irańsko-iracka, złożona sytuacja w Afryce. Nie czuł się zresztą na siłach, by dyskutować o tym wszystkim, miał swoją wąską specjalność, znał się na pewnym wycinku techniki, nad innymi problemami głowy sobie nie łamał. Rozmowa więc przygasła i długo jechali bez słowa przez płowy obszar stepu.

Przed czwartą po południu zbliżyli się do ściany górskiej, oddzielającej ich od pustyni, do której droga wiodła przez potężny wyłom, naturalną bramę, zwaną w starożytności butem Herkulesa. Arabowie nazwali to miejsce po prostu granicą, El 50 Kantara. Stromo opadające stoki skalne rozstępowały się tutaj, a pomiędzy nimi jawiła się w oddali pustynia. Słońce oświetlało jeszcze lewą stronę drogi i barwiło różowo głazy, podczas gdy po prawej zapadał już fioletowy cień. Woda w dole mieniła się zielonkawo, potok płynął spokojnie wzdłuż szosy, ale spojrzenia podróżnych wybiegały naprzód, ku pustyni nęcącej jasnożółtą, bezkresną przestrzenią.

— Wsiądźmy na chwilę, przywitajmy się z Saharą — powiedział Szymon.

Odetchnęli pełną piersią. Powietrze wydawało się tak ożywcze, tak podniecające i rozkoszne, że nie odczuwali już zmęczenia po całodziennym jeździe. Ogarnęła ich nie

spotykana nigdzie jasność, a choć dzień już się kończył, światło nadal było bardzo intensywne, wzrok wybiegał niezmiernie daleko, dostrzegali zarysy wzgórz bardzo odległych.

— Jak nazywa się ta miejscowość, w której Mehmed buduje wieś socjalistyczną? — zapytał nieoczekiwanie Daniel.

— Na co ci ta wiadomość? — zachnął się Szymon. — Nie masz chyba zamiaru wyruszać na poszukiwanie Blanki. Sahara to nie Anglia. Mowy tutaj nie ma o autostopowych wycieczkach i, błagam, nie ruszaj się z Biskry. Mógłbyś to przypłacić nie tylko zdrowiem, ale nawet życiem.

— Nie martw się, stary. Tak tylko pytałem. Jedźmy dalej. Minęli wielką palmową oazę, za którą dopiero w całej krasie rozpostarła się pustynia. Znajdowali się jeszcze na dość znacznej wysokości, w terenie górskim, pofałdowanym, mieniącym się przed zachodem słońca takim bogactwem barw, że zdawały się one złudzeniem zachwyconych oczu. Płaszczyzny, skąpane w blasku słońca, były bladożółte, prawie białe, natomiast zacienione stoki, wgłębienia i kotliny przybierały kolor ciemnobrunatny albo granatowy. Niebo na zachodzie spłowieło, pożółkło jak róże herbaciane. Pustynia powlokła się bladym fioletem, zachodnie pasma gór granatowiały na złotym tle, podczas gdy wzgórz na wschodzie miały kontury złotofiołkowe. Słońce szybko spadało za horyzont. Przez jakiś czas została po nim tylko pomarańczowozłota smuga, wreszcie i ona znikła. Nastął fiołkowy zmierzch.

Z wieczornym mrokiem wjechali do Biskry. Danielowi zrobiło się nagle żal, że podróż dobiegła końca, że nie powiedział 51

bratu ani części tego, co zamierzał. Niechętnie myślał o pozostaniu wśród obcych, o nudnej kuracji, o braku kontaktu — bodaj listowego — z kimś, kto by go rozumiał. Nie pora była jednak na wynurzenia. Zaparkowali wóz przed sanatorium, Szymon udał się do recepcji, pomógł bratu zadomowić się w jego pokoju. Trzeba było zejść na kolację. Nazajutrz, wczesnym rankiem miał wyruszyć w powrotną drogę. Daniel już się opanował, nadrabiał miną, zachowywał się jak przykładowy Europejczyk, który potrafi być dobrym kompanem w każdej sytuacji. Szymon oczekiwał czegoś innego: serdeczności, paru ważkich słów, które stworzyłyby pomost między nimi.

Rozmawiali z udaną swobodą, jak ludzie obcy, którzy spotkali się w pociągu i może nigdy, już się nie zobaczą. Wymieniali uwagi o kuracjuszach przy sąsiednich stolikach, silili się na żarty.

„Jakież ten Daniel oschły, jaki nieczuły” — myślał Szymon żałując nie tyle pieniędzy, wydanych na pobyt chłopca, ile zaprzepaszczonej okazji porozumienia. Wbrew twierdzeniom moralistów zdrowy egoizm wydawał mu się najsłuszniejszą postawą życiową. Po co się szarpać, po co usiłować zmieniać rzeczywistość albo bliźnich. Niechaj życie toczy się, jak chce...

ROZDZIAŁ 6

Po kilku dniach pobytu w Biskrze Daniel poczuł się uwięziony, mimo że wolności jego nie ograniczały ani mury, ani zakazy. Miał wygodny pokój z łazienką, osobny, stolik w restauracji zakładowej, kartę opłaconych kąpiei i zabiegów, ale mógł też z nich nie korzystać, nie przychodzić na posiłki i włączyć się aż do znudzenia po całej okolicy.

Miasteczko nie nęciło go niczym. Wprawdzie mogło się poszczycić długą historią, lecz z tamtych czasów nie zostało nic godnego uwagi. Różni władcy muzułmańscy, którzy rządili miastem w ciągu wieków, też nie zapisali się w pamięci potomnych. Po francuskich kolonizatorach natomiast zostały koszary i hotele, monotonna zabudowa małomiasteczkowych ulic.

Dla zamożnych gości z Europy powstały sklepiki z pseudo-orientalnymi pamiątkami, pocztówkami, filmami fotograficznymi. Znana ze swych właściwości kuracyjnych miejscowość od pół wieku z górą przyciągała ludzi. Dla nich wybudowano kościół i dość okazałą pocztę. Nowe władze wzniosły przede wszystkim szkoły, szpital, wielofunkcyjny budynek, w którym pomieściła się administracja i organizacje społeczne. Największą atrakcją dla turystów stanowił targ. Obok straganów z jarzynami były tam sklepiki ludowych rzemieślników i starzyzna, biżuteria, mahometańskie dewocjonaalia, ale główna pokusa to kobierce i dywany, włochacze z wielbłądziej wełny i grube, ciepłe burnusy, coraz bardziej przydatne podczas wieczornych chłódów, kiedy temperatura na dworze spadała blisko zera, chociaż dnie nadal były ciepłe, a w południe słońce nawet mocno przygrzewało.

•
Kramy mieściły się w niewielkich izbach, na progu stali kupcy, gorąco zachęcający do wejścia i obejrzenia towaru. Częstowali gości kawą lub herbatą miętową, podawaną w niewiele większym od naparstka srebrnym kusztyczku. Trudno było odmówić, ale i trudno wypić, jeśli się pamiętało o higienie, bowiem owe czarki do kawy rzadko bywały myte, a jeśli nawet, to bynajmniej nie w przegotowanej czy bieżącej wodzie.

Ozdobą Biskry nadał była oaza, tak zasobna w wodę, że rosło w niej sto kilkadziesiąt tysięcy palm daktylowych, ale pod ich koronami powietrze wydawało się duszne i parne. Ludzie, którzy spędzali swe życie na pielęgnacji życiodajnych drzew, byli ubodzy, mizerni, apatyczni, jakby ta naturalna cieplarnia wysssała z nich wszystkie siły.

.Daniel wędrował dalej, na brzeg oazy, gdzie szerokim korytem słał się jasny ued. Po przeciwległej jego stronie widniały znowu palmowe gaje i brunatnofiołkowe wzgórza. W oddali dźwigał się błękitny masyw gór Auresu, a nad nim bezmierny przestwór pogodnego nieba.

Zmrok zapadał wcześniej, wieczory dłużyły się niepomierne. Daniel przesiadywał przed telewizorem, oglądając stare filmy europejskie z arabskimi napisami, ale bardziej cieszyły go filmy algierskie, pozwalające zbliżyć się do spraw świata, który go otaczał. Dwa z nich szczególnie go zajęły: „Wiatr z Aures” reżyserii Mohameda Lakhaar Hamina, którego treścią są dzieje matki poszukującej syna więzionego w obozie francuskim-, oraz „Bitwa o Algier”, zrealizowana przez Yacefa Saadi, jednego z uczestników ruchu oporu.

W barku, gdzie spotykali się z konieczności wszyscy kuracjusze, miał do dyspozycji prasę angielską i francuską, która docierała tutaj zdumiewająco szybko, samolotem lub autobusem, a także całą kolekcję trunków i napojów orzeźwiających, diabelnie drogich jak na jego kieszeń. Było tu najcieplej, w czerwonym półmroku snuł się dym papierosowy, rozbrzmiewały dyskretne przeboje Rzymu i Paryża, niekiedy odzywała się muzyka andaluzyjska, bądź też „chaabi”, oparta na algierskich

motywach ludowych, czasem algierskie śpiewki partyzanckie.

Do baru przychodzili też mieszkańcy Biskry, lecz nie wdawali się na ogół w rozmowy z cudzoziemcami, którzy trzymali się osobno i nudzili na potęgę. Daniel znał już z widzenia dwie Angielki, jedną starą, zwiędłą i władczą, drugą mniej więcej trzydziestoletnią, sekretarkę tamtej albo jej ubogą kuzynkę, zawsze gotową do usług, przynoszącą i odnoszącą do pokoju ciepłe okrycia, książki, zakupy.

Drugą parą, która zwróciła uwagę Daniela, było małżeństwo niemieckie, ciche i stateczne, mówiące jedynie w ojczystym języku i dlatego skazane tutaj na odosobnienie, choć wyraźnie spragnione kontaktów z ludźmi. Herr Grundman, czerstwy sie-demdziesięciolatek, badał podobno florę pustynną, coś tam zbierał na wydmach, gromadził i opisywał w swoim pokoju. Ze staroświecką kurtuazją odnosił się do żony utykającej na prawą nogę. Oboje skrupulatnie brali kąpiele siarkowe i poddawali się masażom, a co kilka dni konferowali z medykiem, chodzącą reklamą sanatorium. Był to postawny, brodaty Arab z pałającym spojrzeniem i bardzo czerwonymi wargami, natrętnie wpatrujący się we wszystkie kobiety, niezależnie od ich wieku i urody. Miał w poczekalni album ze zdjęciami pacjentów i entuzjastycznymi wypowiedziami na temat cudownych skutków kuracji.

Daniel z rozbawieniem przeglądał te pochwały w rozmaitych językach, przypatrywał się twarzom starych ludzi, którzy łudzili się, że miesiąc spędzony na Saharze odwlecze to, co nieuchronnie było im sądzone. <

Bardziej przejmujący był widok sześć- czy siedmioletniego chłopca, który przybył tutaj z matką, by siarczano-klimatyczną kuracją leczyć ciężki stan gruźlicy kości. Ten jednak przypadek ukrywano wstydliwie przed oczami kuracjuszy. Młoda matka nie pojawiała się nigdy w barze.

Daniel niecierpliwie wyczekiwał profesora Olafsona, który nie wiadomo dlaczego opóźniał swój przyjazd. Z braku innej lektury chłopiec zajrzał do prac wręczonych mu przez Wa-pieńskiego. Autor pierwszej z nich dowodził, że przedstawione przez Ibn Chalduna przyczyny nietrwałości berberyjsko-arab-skich organizmów państwowych w północnej Afryce występują również dzisiaj i zagrażają algierskiej państwowości.

Islamizacja Berberów nie wyrugowała naturalnego podziału na rodziny, klany, plemiona. Berberyjskie królestwa stanowiły 55 zawsze konfederacje luźno ze sobą powiązanych klanów. We współczesnej Algierii ciągle istnieje niebezpieczeństwo dezintegracji, dlatego władze afirmują światopogląd muzułmański, doceniają integrującą rolę islamu — choć spajając plemiona Berberów i Arabów nie zawsze sprzyjał on umocnieniu więzów państwowych.

Ibn Chaldun ostrzegł przed działalnością bractw muzułmańskich, narzucających społeczeństwu swoich proroków, którzy przeciwstawiali się często władzy królewskiej. Już w XIV wieku występował dualizm religijny: islam jednoczący społeczeństwo i popierający władzę państwową (która urzeczywistniała jego zasady) walczył z islamem niezliczonych proroków, marabutów i demagogów, dowolnie interpretujących kanony religijne dla własnych interesów, co prowadziło w rezultacie do klanowego rozbicia społeczeństwa i jego upadku.

Nieco znużony naukowymi wywodami i mnogością terminów Daniel odłożył lekturę pierwszej pracy. Drugą czytało się jak powieść sensacyjną. Bohaterem jej był Ibn Ruszd (znany w średniowiecznej Europie jako Averroes). Urodził się w 1126 roku w Kordobie, owym niezwykłym i cudownym mieście hiszpańskim, które swój ówczesny rozkwit i potęgę zawdzięczało w dużej mierze zgodnemu współżyciu Arabów, Żydów i chrześcijan. Ojciec Ibn Ruszda, znakomity sędzia, sam udzielał synowi porządkowych nauk: języka arabskiego, znajomości Koranu, teologii oraz prawa muzułmańskiego. Później młody człowiek studiował matematykę, filozofię i medycynę. W 1153 udał się na dwór władcy Maroka i Algieru. Następca tronu, Abu Ja'kub Jusuf skłonił go do pisania pracy o Arystotelesie. W 1171 Ibn Ruszd został kadim Sewilli, a później Kordoby. Do jego obowiązków należało rozsądzanie spraw spornych zgodnie z prawem koranicznym i zwyczajowym, jak również uprawomocnianie kontraktów ślubnych, orzekanie o rozwodach, wykonywanie testamentów, opieka nad wdowami i sierotami. Były to częstokroć sprawy sporne i zawiłe, wymagające znajomości prawa i uczciwości, a że w grę wchodziły nieraz ogromne majątki, łatwo było narazić się zainteresowanym i możliwym tego świata. Wprawdzie Ibn Ruszd zamykał się w swojej pracowni, by nadal studiować Arystotelesa i pisać dzieła naukowe, lecz dopiekała mu wreszcie ludzka przewrotność. Skorzystał z zaproszenia Abu Ja'kuba Jusufa i objął stanowisko jego osobistego lekarza. Za-wistnicy przestrzegli księcia, że Ibn Ruszd ma zamiar go zgładzić wypełniając wolę tajemniczych mocodawców. W tym samym czasie ortodoksyjni teolodzy muzułmańscy oskarżyli go o herezje filozoficzne i wezwali przed trybunał sędziów Kordoby. Inkryminowane księgi publicznie spalono, autora ich zaś zesłano do małego miasteczka hiszpańskiego. Dopiero u schyłku życia odzyskał zaufanie kalifa i powrócił na jego dwór. Dzieła Ibn Ruszda przełożono na łacinę i komentowano na wszystkich uniwersytetach Europy. Dalszą część pracy magisterskiej stanowiły rozważania na temat filozoficznych poglądów Ibn Ruszda, lecz Daniel nie był ich ciekaw. Uderzyło go co innego: że ukształtowały się one i zostały spisane w tym czasie, gdy na ziemiach polskich panowali pierwsi Piastowie i niewielu Polaków umiało się podpisać.

Daniel zamyślił się głęboko.

Z domu Skinnerów w Edynburgu wyniósł nawyk porównywania wydarzeń odległych w czasie i przestrzeni, rozważania ich od nowa bez oglądania się na cudze sądy i opinie.

Jeśli rodzice chcieli utemperować chłopca i nakłonić do większej dyscypliny, niefortunnie wybrali dlań opiekuna. Mimo że profesor Skinner skrupulatnie przestrzegał porządku dnia i norm współżycia, był niespokojnym duchem, oryginałem i nonkonformistą.

Daniel dopiero po pewnym czasie wyczuł raczej, niż zrozumiał, tę dwoistość w charakterze swojego mistrza, którego od pierwszej chwili darzył zaufaniem i miłością.

Na pozór był to dom staroświecki. W trochę mrocznych pokojach stały jeszcze wiktoriańskie meble, wisiały dziewiętnastowieczne portrety. Gospościa nosiła czarną suknię, biały fartuszek i koronkowy stroik na głowie. Celebrowano wieczorny posiłek, po którym profesor zawsze miał czas na pogawędkę z Danielem.

Przechodzili do gabinetu pełnego książek oprawionych w skórę, siadali przed kominkiem i, popijając ostatnią herbatę, roztrząsali najrozmaitsze sprawy. Czasami towarzyszył im brat profesora, archeolog, który prowadził żmudne prace wykopaliskowe i szukał historycznych śladów panowania króla Artura.

Te wieczorne rozmowy nadawały sens dniom i tygodniom, całemu pobytowi w Szkocji. Skinner stał się Danielowi stokroć bliższy niż rodzony ojciec. Mimo to, kiedy wspomniał o możliwości zaadoptowania chłopca, nie uzyskał jego zgody. Nikt, prócz Daniela i Skinnerów, nie wiedział o tej propozycji, powlokło ją milczenie, lecz od tamtej chwili coś pękło w ich wzajemnych stosunkach. Mistrz odczuwał może pewien zawód, może lękał się pustych wieczorów w domu bez dzieci; Daniel nieraz miał żałować odruchowej decyzji. Po powrocie do Warszawy pisywał jeszcze listy, ale coraz rzadziej. Skinner odpisywał zwięźle, sucho. Nie udało się na odległość podtrzymać ani intelektualnego kontaktu, ani uczuciowego przywiązania. Daniel nie mógł pisać o tym, co go najbardziej bolało, o konfliktach z rodzicami, o braku wspólnego języka z przyjaciółmi, bo wyglądałoby to na skargę, na brak lojalności wobec własnego środowiska. Nie potrafił też wyrazić "tęsknoty za tą poważną i zarazem radosną atmosferą rozmów i dociekań, za możliwością korzystania z erudycji Skinnera, z zasobów jego biblioteki, w której można było godzinami wertować książki, stare encyklopedie, mapy, zakurzone ryciny.

Osobne miejsce w sercu Daniela zdobyła pani Skinner, cicha, czuła i milcząca opiekunka, nieodmiennie pogodna i wyrozumiała, w sobie tylko wiadomy sposób umiejąca pokierować chłopcem tak, by się nie buntował, nie sprzeciwiał, lecz z ochotą poddawał zwyczajom i normom postępowania, więcej nawet, by polubił je i uznał za swoje.

W szkole było gorzej. Koledzy nie starali się ukryć poczucia wyższości z tej tylko racji, że urodzili się na Wyspie. Choćby Daniel najlepiej grał w krokieta i najlepsze stopnie dostawał z matematyki czy łaciny, zawsze był dla nich przybyszem, cudzoziemcem, synem narodu może i bohaterskiego, lecz o ileż niżej stojącego w uznawanej przez nich hierarchii. Daniel był na to przesadnie wyczulony, tym bardziej że o tych sprawach nie mógł swobodnie mówić nawet ze Skinnerem.

I oto teraz problem traktowania jednego narodu przez inne 58 powracał do Daniela w rozmaitych formach. Obie Angielki wy-

rażnie uważały się za coś lepszego od reszty towarzystwa, które z kolei patrzyło wyniośle na Algierczyków, ci ostatni zaś z islamu czerpali pogardę dla świata گیاurów. Na pozór sprawy te nie wpływały na powierzchnię, życie w sanatorium toczyło się sennym i uregulowanym trybem, ale czasem błyskały iskry gniewu i wzajemnej niechęci, spowodowane byle drobiazgiem, byle gestem, rozmaicie przez różnych ludzi pojmowanym. Nie udało się nawet zorganizować wspólnej kolacji wigilijnej, bo i pora jej, i zestaw potraw, i towarzyszące jej zwyczaje inne były w rodzinnych krajach kuracjuszy. Te drugorzędne szczegóły przesłoniły samą istotę święta, które w końcu każdy spędził w czterech ścianach własnego pokoju.

Danielowi było dość obojętne, czy na wigilię zje smażonego karpia, indyka czy kotlet barani, ale brakowało mu tego szczególnego nastroju, jaki poprzedza Boże Narodzenie i towarzyszy wieczornym godzinom przy choince, kiedy nikt się już nie spieszy, nareszcie ma czas dla swoich najbliższych, odsuwa od siebie zmartwienia i

otwiera szeroko serce. Nieważne, czy dostanie się w upominku długopis, czy upragnioną książkę; istotne jest to, że ktoś pomyślał, zatroszczył się przed świętami, skupił uwagę nie na własnych obowiązkach, lecz na tym, by obdarowanemu okazać swoją serdeczność. Karteczki z życzeniami przechowuje się później latami w pudełku po czekoladkach, na samym dnie, pod stosem kwitów i starych legitymacji. Nawet nie zagląda się do nich, chyba przypadkiem, a jednak stanowią one cząstkę życia i, wydobyte pewnego dnia z zapomnienia, wzruszają niemal do łez, choć nie wspomina się o tym nikomu.

Przed świętami Daniel wysłał skrupulatnie życzenia do rodziców i Szymona, do państwa Skinnerów i rozmaitych znajomych.

Napisał też parę listów do Maryli. Wiedział, że nie otrzyma już na nie tutaj odpowiedzi, nie mogło więc być mowy o wymianie myśli; skazany był na monologowanie nad kartką papieru, korespondencja stawała się jakby dziennikiem intymnym, rozmową z samym sobą, potęgowała egocentryzm i uczucie wyobcowania, zniechęcające do szukania kontaktów z ludźmi. Wywoływało to stan osobliwy, nie nudę, nie tęsknotę, ale

smętną osowiałość, wyrażającą się w apatii, w braku radości życia, w stopniowym zaniku pragnień.

Pewne urozmaicenie wnosili przybysze, zatrzymujący się w mieście tylko na jedną noc, cudzoziemscy dziennikarze jadący na południe, kupcy i turyści powracający do Algieru. Z ich rozmów głośno prowadzonych w barze można się było wiele ■ dowiedzieć o życiu w dalej położonych oazach, o warunkach podróżowania, o zabawnych i groźnych przygodach. Daniel odnosił wrażenie, że przebywa nie w sanatorium, ale w saharyjskim zajeździe, do którego lada chwila mogą wpaść rozbójnicy, aby ograbić wędrowców. Śmiał się sam z siebie, lecz mimo to ulegał egzotycznym nastrojom.

Najczęściej jednak wieczory upływały cicho, bez żadnych niespodzianek, bar wyludniał się wcześniej i trzeba było wracać do pokoju. Całą pociechą stawało się radio. Daniel podróżował na falach eteru, wsłuchiwał się w głosy odległych miast i krajów. Sprawiało mu przyjemność samo kręcenie gałką odbiornika, przenoszenie się ze stacji na stację, chwytanie urywków rozmów, koncertów, dzienników radiowych. Nie był specjalnie ciekaw tego, co działo się na świecie, ale nastawiał ucho, by posłyszeć rytm innego życia.

Wkrótce po Nowym Roku przybył jeszcze jeden kuracjusz, rudowłosy Holender z wiecznie uśmiechniętą gębą i fajką pachnącą wspaniałym tytoniem. Godzinajni przesiadywał w barze przy szklanicy piwa i nawiązywał rozmowy z każdym, kto się nawinął. Potrafił gadać o wszystkim: o handlu, o wykopaliskach, o uprawie palmy daktylowej, o podróżach po całej Afryce. Kiedyś Holendrowi zabrakło drobnych na napiwek dla piko-laka. Daniel wyciągnął z kieszeni garść bilonu i podał.

— O, co tu masz za monetę? — wykrzyknął rudzielec. — Przysiągłbym, że... — wydobył z futerału szkło powiększające i przyglądał się bacznie zaśnieżonemu pieniążkowi. — Sprzedaj mi go, chłopcze — zaproponował. — Nie jest bardzo cenny, ale właśnie tego nie mam w swojej kolekcji.

— Nie mogę sprzedać... — zmieszał się Daniel. — Chętnie oddałbym go panu za darmo, ale... To cała historia. Może pan uzna, że jestem przesądny... Zwiedzając ruiny

Dżemili pomyślałem sobie, - że jeśli przypadkiem znajdę taki pieniądz, uda mi się odnaleźć kogoś, kogo szukam...

— Dziewczyne? Porwaną przez piratów?

— Polkę zagubioną na południu Sahary.

— Zajdź, proszę, na chwilę do mojego pokoju i opowiedz dokładniej. Pokażę ci klasyfikator, od lat zbieram rzymskie monety. Może cię to przekona. Wezmę tylko trochę piwa na górę..!

W taki oto sposób Daniel znowu powrócił do Rzymu i oglądał podobizny cesarzy. A w rozmowie, która przeciągnęła się do późna, tak dramatycznie opisał los Blanki, że nawet Holender się nim przejął.

— Zawrzyjmy umowę — powiedział pykając fajkę. — Ja ci pomogę odnaleźć tę dziewczynę, a ty mi dasz monetę.

— To niemożliwe... Nie wiem nawet, w jakiej miejscowości przebywa z mężem.

— I tego się dowiemy... Wprawdzie Algieria jest pewnie osiem razy większa od twojego kraju, a Sahara zdaje się nie mieć końca, jednak wiadomości rozchodzą się tu lotem błyska-

61

wicy. Polka we wsi socjalistycznej to rzadkie zjawisko, ludzie na pewno o tym gadają. A skoro gadają, nic prostszego niż posłuchać plotek...

— Musiałbym tam pojechać.

— Pewno nie masz pieniędzy. Ale marzysz o czymś i ja o czymś marzę. Po prostu wymienimy marzenia. Forsa będzie tylko środkiem wymiany. Zgoda?

— Zgoda! — przystał Daniel jeszcze niezbyt pewny, czy propozycję Holendra można brać poważnie.

ROZDZIAŁ 7

Pewnego wieczoru przybył wreszcie profesor Olafson, rosły, ogorzały blondyn z krótko przystrzyżoną, jakby konopną brodą. Zelektryzował całe otoczenie: kręciła się koło niego służba, każdy z kuracjuszy pragnął z nim porozmawiać. Daniel czekał, aż opadnie fala zainteresowania, lecz Szwed stale, acz nieznacznie, je podsycał. Temu przywiózł zdjęcie, tamtemu ulubione papierosy, których nie można było kupić w Biskrze, z kimś innym wdał się w dyskusję rozpoczętą przed dwoma tygodniami, wszystkich zmobilizował do przyjemnego spędzania czasu. Choć, na »pierwszy rzut oka wyglądał trochę nieruchawo i ociężale, miał w sobie niespożyta energię pobudzającą innych do działania. Dopiero wtedy, gdy udało mu się wyrwać wszystkich z sanatoryjnego letargu i puścić w ruch, sam jakby zmniejszył wewnętrzne obroty, wyłączył silnik.

Daniel wręczył mu prace przekazane przez Wapieńskiego, ale nie próbował nawiązać rozmowy. Szwed jednak był ciekaw, skąd chłopak wziął się tutaj „wśród starców”, jak mówił, i czy długo jeszcze pozostanie. Daniel czuł instynktowną nieufność do ludzi zbyt wykorzystujących swe towarzyskie talenty, odpowiadał więc powściągliwie i zdawkowo. Olafson mówił tym samym tonem, tak jednak» umiał pokierować rozmową, że chłopak powiedział o sobie więcej, niż zamierzał, i pożegnał Szweда z poczuciem własnej porażki, ale i odrobiny zadowolenia, bo każdy lubi być przedmiotem czyjś zainteresowania — profesor zaś uchodził za sławę w swojej specjalności, jeśli wierzyć w tym względzie Wapieńskiemu. Łączyło tych dwóch niejaki podobieństwo, wywołane zapewne obracaniem się w podobnych

kęgach naukowo-towarzyskich, stosowaniem takich samych metod dla rozpowszechnienia własnych osiągnięć i szukaniem dalszych szczebli kariery. Kojarzyło się to Danielowi z zasadą perpetuum mobile; osąd był zapewne niesprawiedliwy, podyktowany wyniesionym z domu przekonaniem, że uczone winien być skromny i pracować dla dobra ludzkości, nie dla własnej sławy czy korzyści. Skinnerowi również nigdy by nie przyszło do głowy chlubić się w towarzystwie swymi sukcesami na polu matematyki.

Przyjazd Szweda odmienił zatem tryb życia w sanatorium. Robiono wspólne wycieczki, wieczory spędzano na rozmowach, oglądano przezrocza z wypraw naukowych i amatorskie filmy dokumentalne. Daniel zrazu stronił od towarzystwa, lecz rychło tak polubił wspólne spotkania, że coraz później wracał do swojego pokoju.

Sceptycznie nastawiony do skuteczności leczniczych zabiegów ze zdziwieniem stwierdził pewnego ranka, że nie tylko ustąpiły bóle, lecz bez śladu znikły obrzmienia deformujące jego stawy. Nie odczuwał ani zmęczenia, ani apatii. Tym bardziej korciło go, by ruszyć gdzieś, wszcząć poszukiwania Blanki — choć zdawał sobie sprawę, że to równie trudne, jak znalezienie igły w stogu siana.

Nadal spotykał w barze rudego Holendra, który przesiadywał tam nad szklanicami piwa gadając z przygodnymi znajomymi, ale do kuracjuszy się nie przyłączał. Intrygowało Daniela, co ten Van Horch robi w Biskrze, skoro nie bierze kąpieli, mało chodzi po mieście i niczym właściwie się nie zajmuje. Kim był? Kupcem, podróżnikiem, plantatorem? Nie należał z pewnością do elity intelektualnej typu Olafsona, lecz mówił biegle paroma językami, miał rozległą praktyczną wiedzę i ogromną łatwość zjednywania sobie ludzi. Każdy czuł się z nim swobodnie, chętnie słuchał jego kawałów, odpoczywał w rubasznym, wesołym nastroju. Zdawać by się mogło, że Van Horch tylko po to się urodził, by rozjaśnić świat swą rudą czupryną i śmiechem od ucha do ucha. Ale jego bladoniebieskie oczy przenikały ludzi na wskroś, ze słów zaś czasem przebijała ironia wiele dająca do myślenia. W przeciwieństwie do Olafsona budził w Danielu sympatię i zaufanie, mimo że jakiś wewnętrzny głos ostrzegał, by nie poddawać się bezkrytycznie urokowi Holendra, który co parę dni zapytywał wesoło:-

— No i kiedy ruszasz na poszukiwanie swej damy? 64 — Jak tylko zdobędę jej adres.

— I numer telefonu! — śmiał się Van Horch. — Pamiętaj, umowa stoi.

Olafson tymczasem przyniósł wiadomość, że w tutejszym ośrodku kulturalnym miano wygłosić pogadankę o perfidii chrześcijańskich misjonarzy doby kolonialnej, lecz że w końcu odczyt został odwołany. Może nie chciano drażnić cudzoziemców albo przypominać mieszkańcom Biskry o księdzu Lavigerie — pierwszym rzymskokatolickim arcybiskupie Algieru, założycielu Zgromadzenia Zakonnego Ojców i Sióstr Białych.' Nakazywał misjonarzom zbliżenie się do środowiska arabskiego, poznanie języka i podjęcie pracy fizycznej wśród najuboższych. Od połowy dziewiętnastego stulecia zakładali oni w Algierii szkoły i warsztaty rzemieślnicze, szpitale i przytułki, cierpliwie urabiając swych podopiecznych na obraz i podobieństwo francuskich wyznawców Chrystusa. Lavigerie zabiegał też

skwapliwie o nawracanie tubylców; sensacją Algieru stał się ślub, którego udzielił szejkowi bractwa religijnego Tedżani i pannie Aurelii Picard, ponętnej francuskiej guwernantce.

— Co najciekawsze — opowiadał profesor — ów przedsiębiorczy ksiądz nie tylko powołał organizacje międzynarodowe dla wykupu afrykańskich niewolników, ale założył ostatni już chyba w dziejach zakon rycerski, który miał orężnie walczyć z handlarzami żywym towarem. Nazywał się ten zakon „Les pionniers du Sahara”, siedzibą jego była właśnie Biskra.

Dla Daniela nie były to rewelacje. Przed wyjazdem do Algieru naczytał się o handlarzach niewolnikami. Pamiętał, że w procederze tym pośredniczyli najprawowierniejsi z muzułmanów — Mozabici. Ghardaia, położona w centrum pustyni, była miejscem postoju wszystkich karawan zdążających z południa na północ i z północy na południe. Beduini przywozili skóry dzikich zwierząt, pióra strusie, kość słoniową, henę, a także czarnych niewolników, i wymieniali te dobra na ziarno, kawę, cukier, a przede wszystkim na broń i proch, wyrabiany przez pobożnych Mo-zabitów, którzy odsprzedawali Murzynów do miast, dopóki władze francuskie nie utrudniły im tego przedsięwzięcia.

Mozabici byli wyznawcami jednej z najstarszych doktryn islamu, abadyckiej, opierającej się wyłącznie na Koranie i nie uznającej nawarstwionych przez wieki tradycji. Stanowili sektę 65

5 — Daniel na Saharze

stosunkowo nieliczną, o zmiennych kolejach losu. Tutaj właśnie, w sercu Sahary, udało im się stworzyć wielkie państwo Tiharet, obejmujące swym zasięgiem cały Ued Rirh, Uargłę i oazy Try-politanii. Miasto Tiharet, zbudowane na południe od Algieru, było ośrodkiem nauki, zwłaszcza teologii, ale też magii i astrologii. Wśród niewielu uczonych europejskich, którzy badali osobliwą kulturę NTzabu, wielkie zasługi położyli Polacy. Motyliński opracował bibliografię M'zabu, a raczej coś na kształt encyklopedii bogatego piśmiennictwa abadyckiego, i ogłosił wiele prac na ten temat. Zygmunt Smogorzewski jeszcze przed pierwszą wojną światową zbierał w M'zabie teksty abadyckie, a w latach międzywojennych, już jako profesor uniwersytetu lwowskiego, nadal prowadził tutaj swoje poszukiwania. Pozyskał taką przychylność teologów abadyckich, że pozwolili mu poczynić odpisy ksiąg niedostępnych dla innowierców. Zamierzał wydać w Algierze klasyczny zestaw literatury abadyckiej. Śmierć udaremniła jego plany, teksty pozostały w seminarium orientalistycznym uniwersytetu lwowskiego.

— Ciekawa rzecz — mówił Olafson. — Mozabici, choć biegli w języku arabskim, są Berberami i mówią po berberyjsku, lecz piszą już tylko po arabsku.

— Mówi pan o nich z takim przejęciem, jakby i pana również zafascynowali — stwierdziła z przekąsem młoda Angielka, która, jak sądził Daniel, wolałaby sama stać się przedmiotem zainteresowania.

— Ależ tak! — przyznał profesor. — Jest bowiem w ich egzystencji coś, czego na zdrowy rozum nie da się wytłumaczyć. Ścieśnieni w paru miastach muszą się liczyć z każdą kroplą wody, której i tak nie starcza dla coraz liczniejszej ludności. Wielu Mozabitów zaraz po skończeniu szkoły i zawarciu małżeństwa wyrusza na północ kraju w poszukiwaniu pracy. Żaden z nich nie zabiera żony, kobietom bowiem nie

wolno się stąd oddalać. Bogobojni mężowie przysyłają więc rodzinie pieniądze na utrzymanie i przyjeżdżają w odwiedziny, aby zapewnić sobie potomstwo. Ale na stałe wracają dopiero pod koniec życia, właśnie wówczas, gdy już dorobiwszy się jakiej takiej pozycji

66 na północy, mogliby spokojnie korzystać tam z owoców swej pracy. Wracają tutaj i znów podejmują trudną walkę o byt, w pocie czoła zdobywają każdą kroplę wody.

— Co ich do tego skłania?

— Tradycja... Chęć bycia u siebie... Przymus wewnętrzny... Nie wiem. Współczesny Europejczyk nie może tego zrozumieć.

W tejże chwili Daniel spostrzegł, że Idir, jego algierski rówieśnik, pełniący w sanatorium funkcję boya i pikolaka, daje mu niecierpliwie znaki, żeby czym prędzej wyszedł z sali. Przecisnął się więc za fotelem starej Angielki i wszedł do ciemnego holu. Już za drzwiami zastał czekającego Idira.

— Co się stało?

— Przyjechały tancerki Ued Nail. Chcesz je zobaczyć? To pójdziemy zaraz.

— Czemuś mnie wcześniej nie uprzedził?

— Nie wiedziałem, czy szef mnie zwolni. Wiesz, jak się mną wysługują w recepcji, w barze i restauracji.

Powiedział to nie bez dumy. Istotnie, dwoił się i troił, żeby wszystkiemu sprostać: nosił walizki, urzędował przy telefonie, podawał do stołu, biegał na pocztę — zawsze uśmiechnięty, paplający zbitką wszystkich europejskich języków. Powiedział Danielowi, że skończył szkołę hotelarską, odbywa tutaj praktykę i musi bardzo się starać, aby mu wystawiono dobrą opinię i zatrudniono na stałe, bo jego dwaj bracia już pracują w pobliżu, a razem przecież łatwiej.

— Chętnie pójde z tobą — zgodził się bez namysłu Daniel. — Wpadnę tylko do pokoju po wiatrówkę.

— Pospiesz się. Później trudno będzie się tam dostać. Wbiegł na górę, wyjął z kieszeni portfel i schował do szafy, zostawił sobie tylko portmonetkę z drobnymi. Narzucił wiatrówkę, zbiegając ze schodów zaciągnął zamek błyskawiczny. Wyszli na dwór. Nigdy dotąd Daniel nie chodził nocą po Bi-skrze, a noce tutaj bywają niezwykle, ciemnogrnatowe i świetliste zarazem. Zdawało się, że przez gęsty mrok przenika tajemnicza jasność, dochodząca jakby nie z tego świata. Mleczna droga, rozleglejsza i bardziej roziskrzona niż w Europie, niemal ciążyła nad głową. Daniel stracił poczucie odległości, rozmiarów, zagubił się w dusznym tchnieniu oazy, od której dochodziła trująca, parna, gorzka woń.

Idir pociągnął go w bok, w uliczkę bez świateł wiodącą między ciemnymi domami. Skręcili raz i drugi. Przed wejściem do budynku, oświetlonym jedną tylko żarówką, stała grupka mężczyzn. Na schodkach tłok, nastrój podniecenia, zapach czosnku i potu. Weszli do obszernej, ciemnawej sali. Publiczność stała pod ścianami, siedziała na podłodze, wolny był tylko krąg pośrodku. Na niewielkim podium grała już kapela. Jeden z muzykantów uniósł w górę tamburyn i przebierał na nim palcami, trzech innych dęło w piszczałki, trudno było dosłuchać się w tym melodii, tylko rytm stawał się coraz wyraźniejszy, coraz szybszy. Z bocznej izby nadeszły tancerki w

powłóczystych, jaskrawych sukniach usianych świecidełkami, pobrzękujące mnóstwem bransolet, wisiorków, metalowych ozdób miejscowej roboty. Tańczyły, a raczej odgrywały pantomimę, której treść musiała być wszystkim znana, bo publiczność reagowała to śmiechem, to westchnieniami, to głośną zachętą do powtórzenia jakiejś sceny, bezskutecznie zresztą, gdyż program był z góry ustalony, zespoły występowały kolejno w coraz innym, świe-tniejszym składzie.

— Skąd one się tu wzięły? — zapytał Daniel podczas przerwy.

— Z gór Atlasu. Dziewczęta z plemienia Ued Nail przybywają do miast na występy, żeby zebrać posag. Później wychodzą za mąż i zostają w rodzinnych wsiach do końca życia'.

Nadeszły cztery inne, bardziej wiotkie, bieglejsze w tanecznej sztuce. Nie miały się na oświetlonym kręgu sali, nie przeginały gwałtownie. Ich ciała zdawały się wibrować, drżeć. Patrzący zacichli z podziwu. Drobne figurki migotały mnóstwem błyskotek, pobrzękiwały metalowymi ozdobami wzniecając powszechny niepokój. Kapela ucichła, dziewczęta zebrały datki, sala się rozszumia-ła. Nagle ktoś zawołał:

— Nassiba!

Tamburyn podał lekki, zdyszany rytm. Wbiegła dziewczyna z czerwonym kwiatem we włosach, młodziutka, prawie dziecko. Daniel napotkał jej spojrzenie, uśmiechnął się mimo woli; zdawało mu się, że i na jej usta spłynął cień uśmiechu. Tańczyła jakiś stary, trudny taniec, w którym każdy ruch ręki, palców, 68 każdy skłon głowy musiał coś oznaczać, choć chyba niewielu

z obecnych znaczenie to pojmowało. Przymknęła powieki, stuliła wargi, jak mała, pilna uczennica, która za nic nie chce zrobić błędu. Pod lekką kwieciście jaskrawą tkaniną drżały drobne piersi. Wspięła się na palce, była boso, smagle stopy przesuwwały się błyskawicznie na niewielkim skrawku podłogi, przypominało to kołysanie jeziora, ruch fali, odwieczny żywioł.

Muzyka zamilkła nagle. Dziewczyna opuściła ramiona czekając, by ucichły okrzyki zachwytu. Zdawało się, że to już koniec występu, aż raptem wyszarpnęła z włosów kwiat hibiskusa i rzuciła go Danielowi. Pochwycił kwiat w locie i przycisnął do ust. Tłum dookoła zawrzał. Kilku młodych Arabów otoczyło Daniela Ciasnym kręgiem. Jeden wyrwał mu kwiat, drugi uderzył. Zaskoczony chłopak osłonił twarz ręką.

Posypały się ciosy. Oprzytomniał, zebrał się w sobie, zaatakował. Nie spodziewający się tego przeciwnik stracił równowagę, upadł. Tłum zafalował, popchnął Daniela ku ścianie. Podniosły się pięści, posypały wyzwiska.

— Spokojnie, moi drodzy! Spokojnie, chłopcy! — zawołał donośnym, niemal wesołym głosem rudy Holender i przedarłszy \ się ku Danielowi osłonił go całym sobą. Rozpostarł szeroko ramiona, stał z roześmianą gębą, w niebieskiej, rozchełstanej koszuli, całkowicie bezbronny, krępy, brzuchaty, nie rywalizujący z nikim o niczyje względy. Do tych słów francuskich dorzucił jeszcze parę zdań po arabsku, które całkowicie rozładowały napięcie. Kapela odezwała się znowu, wbiegły inne tancerki, zapomniano o zajściu.

Van Horch wyprowadził Daniela bocznymi drzwiami.

— Bardzo ci się dostało? — zapytał na ulicy.

— Mogło być gorzej.

— Pewnie że mogło. Radzę ci nie wspominać nikomu o tym, co zaszło. I nie

wychodzić przez parę dni.

— Zjawił się pan w samą porę.

— To moja specjalność. Stań na chwilę. Przeczesz włosy. Wytrzyj twarz. Miałeś ze sobą dokumenty, pieniądze?

— Zostawiłem w hotelu,

— No to wracamy bez strat. A nawet z pewnym zyskiem. Po

raz pierwszy oberwałeś z powodu dziewczyny?

69

Uhm.

— Ale na pewno nie ostatni. Dobranoc, chłopcze. Wejdz do sanatorium drzwiami dla służby. Lepiej, żeby cię portier dzisiaj nie oglądał. I zrób sobie zimne okłady. Cześć!

ROZDZIAŁ 8

Następnego dnia Idir był nieuchwytny jak mgła. Pojawił się wprawdzie przy śniadaniu i przemknął między stolikami w porze obiadowej, ale zniknął, nim Daniel zdołał go przywołać. Natomiast po południu zapukał do jego pokoju Van Horch.

— Cześć, chłopcze! Nie napiłbyś się piwa?

— Nie, dziękuję.

— Pozwól, że sobie naleję.

Siadł przy małym stoliczku, napełnił przyniesioną ze sobą szklanekę, wskazał Danielowi miejsce w fotelu naprzeciwko.

— Jak leci?

— W normie.

— Twoje zdrowie.

— Dzięki. Mam coś dla pana.

Położył przed Holendrem rzymski pieniążek.

— Niech go pan zatrzyma.

— Spłacasz długi wdzięczności?

— Przypuścimy, że tak.

— Nie spiesz się. Przyszedłem do ciebie z propozycją.

— Zamieniam się w słuch.

Holender zaśmiał się, podniósł szklanekę z piwem i patrzył na nie pod światło.

— Spotkałem tu paru miłych amerykańskich chłopców. Nakręcili kilka filmów dokumentalnych. Z „bajkowego królestwa Tassili”, czyli z tych malowanych jaskiń, z gór Ahaggar, na które wdrapali się z całym sprzętem, żeby sfilmować wulkan Iragman i wewnątrz krateru Akarakaru. Ale, jak to młodzi. Chcą zrobić film fabularny, przygodowy, połączony z elementami cinema-write. Tani i chwytni. Opowiedziałem im o tobie i legendarnej Blance. Przemówiło im to do wyobraźni. Temat na czasie: Polacy, Algier, trzeci świat, egzotyka. Dzisiaj robią próbne zdjęcia z tą tancerką, przez którą wczoraj obe-

71

rwaleś. Ciebie chcieliby widzieć w roli głównego bohatera. Co ty na to?

— Nigdy nie myślałem o filmie.

— Za krótko żyjesz, żebyś zdążył już o wszystkim pomyśleć. Nie twierdzą, że chłopcy zrobią arcydzieło. Raczej dobry ko-mercyjniak, żeby mieć forszę na ambitniejszy film. Ale to i tak szansa dla ciebie. Może cię wylansują. A jeśli nie, spędzisz jeszcze parę tygodni w Algierze na ich koszt i trochę forsy zawieziesz do

kraju. Co ci szkodzi? /

— Blanka miałyby również wystąpić w tym filmie?

— Oczywiście. Wiem już, gdzie przebywa. Zdjęcia kręciłoby się w tej wsi, którą Mehmed lepi na pustyni. Niemal gołymi rękoma. Cudowny prymityw. I ci Beduini w tle... Cały tłum najprawdziwszych statystów.

— Koszt niewielki, efekt murowany...

— Tak to sobie wyobrażają.

— A nie przyszło im do głowy, że Blanka mogłaby się na taką imprezę nie zgodzić?

— Niby dlaczego?

Van Horch wypił duszkiem piwo i sięgnął do kieszeni po następną butelkę.

— Żałuję, że wtajemniczyłem pana w tę historię.

— Jaka tam tajemnica! Banalne zdarzenie, które nabiera smaku dzięki realiom życia na pustyni, no i, prawdę mówiąc, dzięki tobie. Byłbyś świetny w tej roli. Masz niebanalną urodę, młodzieńczą świeżość, inteligencję, słowiański wygląd i dobry akcent angielski. Doświadczony reżyser zrobiłby z ciebie gwiazdę. Co oni zrobią, nie wiem. W każdym razie przyjdź jutro na próbne zdjęcia.

— Niech mi pan powie coś o Blance.

— Pojedziesz do niej razem z filmowcami.

— I z tą małą tancerką?

— Nie. Ten epizod nagra się tutaj. Ale możesz ją zobaczyć w bardziej sprzyjających warunkach.

— Czy to także przewidział scenariusz?

— W takim trochę improwizowanym filmie zawsze da się wykorzystać dobrą scenę.

— Rozumiem. Ale nie chcę z tym mieć nic wspólnego.

— Nie bądź głupi! Może od jutra zaczniesz się dla siebie nowe życie pełne nieprzewidzianych przygód. Koniec ze szkołą, z kuratelą rodziców. Staniesz się panem siebie i własnych poczynań. Prawda, że mogą być i trudne okresy, ale ty jesteś twardy, dasz sobie radę. Cały świat stanie przed tobą otworem. Możesz próbować różnych zawodów. Będziesz miał forszę. Może zrobisz karierę filmową.

— Albo po zagranju tej roli w niemal amatorskim filmie kręconym przez jakichś postrzeleńców znajdę się sam bez środków do życia, bez wykształcenia, bez zawodu...

— Wykształcenie zbytnio się nie liczy, wierz mi. Nie papierek jest ważny, ale przydatność człowieka.

— Pan, jak widzę, potrafi być bardzo przydatny...

— Z tego żyję.

Rzymski pieniążek nadal leżał między nimi na stoliku. — Gdzie przebywa Blanka?

— Powiem ci jutro, po próbnym zdjęciach, które przecież do niczego cię nie zobowiązują. Wstąpię tu z rana i pójdziemy razem. Tyle chyba możesz dla mnie zrobić.

— Okey.

— Zatem do jutra. Wierz mi, chłopcze, że z niejednego pieca chleb jadłem, lecz nigdy nie żałowałem, że nie skończyłem uniwersytetu.

Cicho zamknął drzwi za sobą. Daniel, jeszcze obolały po wczorajszej bójce, rzucił się na łóżko, żeby spokojnie rozważyć niezwykłą sytuację. Niepokoiło go przede

wszystkim to, że z jego winy owa „legendarna Blanka”, jak ją nazwał Holender, może być bezceremonialnie napastowana przez filmowców, którzy w jej perypetiach zwietrzyli dobry interes. Nawet jeśli Daniel stanowczo odmówi udziału w tej imprezie, gotowi sami pojechać do Polki uwięzionej gdzieś na Saharze. Kto zresztą może zaręczyć, że przyjazd ich nie okaże się dla niej wybawieniem i najskuteczniejszym sposobem powrotu na łono, jeśli już nie ojczyzny — to cywilizacji? A nuż zechce wystąpić w filmie, mniejsza o to, jakim, mniejsza, w jakiej roli. Daniel nie wiedział przecież o niej nic, co by mu pozwalało przewidzieć jej reakcje. Łatwość, z jaką zdecydowała się na wyjazd z kraju, świadczyła raczej przeciwko niej, lecz od tamtej chwili minęło już sporo czasu, w tutejszych warunkach każdy dzień liczył się potrójnie; Blanka mogła dojrzeć i zmienić się nie do poznania. Czy więc nie słuszniej będzie pojechać z Amerykanami do owej wsi socjalistycznej i na miejscu rozmówić się z dziewczyną, przedstawić jej całą niestosowność grania w takim filmie? Ale właściwie w jakim? Może zbyt czarno go sobie wyobrażał, może w tym całym planie nic złego nie było, a poczciwy Van Horch chciał mu się naprawdę przysłużyć? Nic jednak nie mogło zatrzeć faktu, że Daniel niepotrzebnie, a nawet bezprawnie, wywłókł na światło dzienne cudze prywatne sprawy, tego profesor Skinner nigdy by mu nie wybaczył. Pełen niesmaku do samego siebie zszedł na kolację; w restauracji zastał już niemal wszystkich kuracjuszy, gdyż wieczorem miał się odbyć pokaz filmu, a jak to zwykle bywa w takich razach, każdy chciał zająć najlepsze miejsce w niewielkiej salce projekcyjnej. Dopiero teraz, przechodząc obok tablicy ogłoszeń, przeczytał, że zapowiedziany film nosi tytuł „Bajkowe królestwo Tassili”. Czyżby jego twórcy mieli przyjść na pokaz, a może tylko wypożyczyli taśmę niestrudzonemu Olafsonowi?

Ledwo skosztowawszy potraw Daniel pomknął do salki projekcyjnej w nadziei, że przyjrzy się filmowcom przed jutrzejszym spotkaniem. Zawsze to lepiej wiedzieć, z kim ma się do czynienia. Szwed już tam był, rozmawiał z dwoma młodymi ludźmi, z których każdy mógłby być świetnym modelem na okładkę sportowego magazynu. W kabinie mechanik próbował urządzeń, puszczał muzykę, rzucał obraz na niewielki ekran i znowu zatrzymywał aparaturę.

— Gotowe? — zapytał jeden z rozmówców Szweda zwracając opaloną twarz w stronę kabiny.

— Gotowe! — odparł niski, trochę schrypnięty głos. — Możemy zaczynać.

— Czekamy na publiczność — powiedział wesoło drugi z młodych ludzi. — Woleliby zapewne przyzwoity dramat miłosny albo komedię kryminalną...

— Nic podobnego! — oburzył się profesor. — Zapewniam panów, że mamy tu dobrane grono ludzi poważnych, wykształconych, interesujących się żywo wszystkimi osiągnięciami nau-

ki, a cóż dopiero odkryciami tej miary, jakie panowie utrwaliли na taśmie filmowej...

„Więc to jednak oni!” — pomyślał Daniel. Wyglądali sympatycznie, musieli znać rzemiosło, bo zdjęcia w jaskiniach bynajmniej nie są łatwe. Fakt, że w ogóle podjęli się takiego tematu, też dobrze o nich świadczył. Nie szli na łatwiznę, coś tam musieli wiedzieć o Afryce, o archeologii. Więc może obawy Daniela były przedwczesne i nieuzasadnione? Choć, z drugiej strony, to że ktoś jest dobrym dokumentalistą, wcale

nie stanowi gwarancji, że zrobi przyzwoity film fabularny.

Niewielka salka wypełniła się do ostatniego miejsca. Zgasło światło. Zaraz po lakonicznych zapowiedziach czołówki wyrósł napis:

CZY KOSMICI PRZEBYWALI NA SAHARZE?

Pojawiło się malowidło ściennie: osobliwe stwory w hełmach z czułkami, w skafandrach nurków lub astronautów. I zaraz po tym, sekwencja animowana: te same postaci szybujące nad wspaniałym, podzwrotnikowym lasem, w którym buszują słonie czy mamuty, a na polanach pasą się żyrafy i gazy. Obraz nieruchomieje. Widać teraz, że to sceny namalowane na ścianie jaskini. Kamera przesuwa się wolno, pokazuje zbliżenia drzew, zwierząt, ptaków, sceny miłosne, polowania. Rozlega się komentarz:

— Tak przed dziesięcioma tysiącami lat wyglądała część Sahary, zwana przez jej obecnych mieszkańców Tuaregów Płaskowyżem Rzek, Tassili NAżer. Dzisiaj próżno by szukać nawet suchego koryta jakiegokolwiek rzeki. Ale twórcy tych malowideł mieszkali w dziewiczych lasach nad brzegami wód nie mniej obfitych niż Amazonka. Leon Mayou twierdzi, że Sahara była niegdyś zielonym rajem otaczającym olbrzymie słodkowodne jezioro, które jakoby zapadło się pod ziemię. Wystarczy znów ją nawodnić, wydobywając wodę z głębi, by przywrócić pustyni pradawny wygląd. Przed oczyma widzów przesuwały się znowu obrazy rajskiej zaiste roślinności. Czyjś głos dobitnie komentuje:

- Niedawne odkrycia archeologiczne w masywie górskim 75

Acacus, na granicy algiersko-libijskiej, oraz w górach Maratu-tech zdają się potwierdzać hipotezę Mayou. Włoski uczony, Fabrizio Mori, odkrył takie oto malowidła jaskiniowe.

Pojawiają się wnętrza pałaców, przepyszne ogrody, silni mężczyźni o typie negroidalnym. Kamera pokazała rolników przy pługach zaprzężonych w woły i myśliwych polujących na tygrysy.

— Te rysunki pochodzą sprzed pięciu czy sześciu tysięcy lat — brzmi komentarz. — Sahara była wówczas dżunglą. Tutaj, być może, znajdował się ośrodek pracywilizacji śródziemnomorskiej, o której pisał rzymski historyk Swetoniusz. Ale stopniowo Płaskowyż Rzek zamieniał się w pustynię.

Następne rysunki przedstawiają coraz uboższy krajobraz, nędznie ubranych ludzi, sceny pasterskie. Na ścianach jaskini pojawiły się konie i wreszcie — dromadery, „okręty pustyni”. Wiele rysunków zostało opatrzonych hieroglifami.

— Niestety, nie odczytano jeszcze tych napisów — dobiega z ekranu. —

Niewątpliwie jednak przyjdzie czas, że uczeni odkryją ich tajemnice, a wraz z nimi odsłonią dzieje Tuaregów — plemion, które je w jaskiniach wyrwały. Nadal wszakże nie wiemy, kto dał początek tej zaginionej cywilizacji: ludzie czy kosmici.

v

Muzyka zabrzmiała głośniejsz, przez ekran przesunęli się na wielbłądach współcześni Tuaregowie, kobiety uśmiechały się stojąc na tle odległego masywu gór. Napisy nie ciekawiły już nikogo. Wszczął się rumor. Wychodzono na papierosa, do baru na drinka.

Daniel szukał wzrokiem Olafsona i Amerykanów, ale zniknęli wcześniej — może profesor zaprosił gości do siebie? Zawiedziony chłopak wrócił do pokoju.

Na stoliczku między dwoma fotelami leżał zaśniedziały rzymski pieniążek.

ROZDZIAŁ 9

Zaimprovizowane atelier filmowe przypominało trochę wesołe miasteczko, a trochę obozowisko cygańskie. Za miastem, na skraju pustyni, w czworoboku utworzonym przez wielką ciężarówkę, wóz techniczny, starego mercedesa i odczepioną od niego mieszkalną przyczepę, zwaną karawanem, stały fragmenty prymitywnych dekoracji, reflektory, paki z jakimś sprzętem, leżały kable, druty, worki, dziesiątki przedmiotów niewiadomego przeznaczenia; wśród nich pałętały się dzieci, przeganiane wciąż przez krępego grubasa o świecącej łysinie, uwijali się dwaj zaaferowani młodzi ludzie, rozmawiający z coraz to innymi Arabami, wyłaniającymi się dosłownie spod ziemi. Cały ten zamęt usiłował opanować mały, spocony człowieczek o czarnych, kędzierzawych włosach.

Van Horch podszedł z Danielem do jednego z wysokich Amerykanów.

— Cześć! Przeprowadziłem chłopca. Mam nadzieję, że nie będzie mu czekać, bo gotów nawiać, a nie podejmuję się przeprowadzić go po raz drugi.

— Cieszę się, żeś przyszedł, Dan. Za sekundę będę tylko dla ciebie. Ben, wyrzuć stąd całą tę hałastę. Ale już!

Mały człowieczek o czarnej czuprynie zmarszczył brwi, zrobił srogą minę, podniósł do ust rękę i zaczął wykrzykiwać coś w języku niezrozumiałym dla nikogo, ale tak głośno i z taką sugestywną gestykulacją, że teren atelier opustoszał w okamgnieniu. Holender także się wycofał.

— Spotkamy się wieczorem jak zwykle! Bywaj, Fred! Amerykanin podniósł tylko rękę na pożegnanie. Przypatrywał się bacznie chłopcu.

— Jeździłeś kiedy na wielbłądzie?

— Raz jeden. W ogrodzie zoologicznym.

— Spróbuj teraz.

Odchylił brudną płachtę zawieszoną między ciężarówkami a wozem technicznym i dał znak Arabowi, żeby wprowadził wielbłąda. Zwierzę wkroczyło godnie, z powagą, jakby nic na świecie nie mogło go zadziwić.

— Wsiadaj, Dan.

Nie było to wcale łatwe. Dopiero gdy Arab kazał wielbłądowi przykłęknąć, Daniel wgramolił się na jego grzbiet.

— Przejeżdż parę metrów. Alek, kamera!

Drugi Amerykanin zaczął filmować. Spod płachty, tuż przy ziemi, wychyliły się główki arabskich dzieci — jak mahoniowe amorki. Daniel się roześmiał.

— Śmieję się jeszcze! Alek, złap ten śmiech! No, Dan, swobodnie! Masz minę wisielca. Śmieję się spontanicznie... N00... Jeszcze raz. Zsuń się z wielbłąda.

Potrzymaj go za uzdę. Po-ga!daj z Arabem. Już, prędko. Klóć się z nim. Teraz śmiech. Serdeczny, naturalny. Błysk zębów. Alek, jeszcze raz!

Takie hocki-klocki trwały do południa. Daniel zmęczył się, spociał i miał wszystkiego dosyć. O dwunastej wszakże Fred ogłosił przerwę, kazał Benowi podać piwo i sandwicze. Usiedli razem w zaimprovizowanym namiocie na składanych krzesłach przy składanym stole.

— Myślę, że Richie przygotowuje nam wglądówki na jutro. Jeśli wypadną dobrze, sfinalizujemy umowę i pojutrze ruszamy w teren. Z tobą, oczywiście.

— Nie wiem nawet, jaki film zamierzacie kręcić.

— Melodramat egzotyczny. Mamy kupę materiału nakręconego podczas pobytu tutaj. Sceny uliczne, krajobrazy, typy orientalne. Trzeba to jakoś wkleić w akcję. Do tej pory robiliśmy tylko dokumenty, możliwie sensacyjne. Szukaliśmy śladów yeti. Filmowaliśmy fakirów. Ale na tym forsy się nie zbije. Publiczność pragnie akcji, przygód, erotyki. No więc chcemy spróbować. Mogłoby to wyjść bardzo ładnie. Ty z Blanką ukrywacie się w jaskiniach Tassili... Zdjęcia trikowe, oczywiście, bo za żadne skarby nie kręciłbym drugi raz w takich warunkach. A taśmy stamtąd zostało na parę filmów.

— Lepszy taki melodramat niż kręcenie dokumentu o Moza-78 bitach, na który nas namawiał ten Szwed — wtrącił Alek.

— Kogo obchodzą Mozabici? A romanse, porwania i uciezki — wszystkich.

— Wszystkich prócz snobów, którzy cmokają przy filmach Felliniego, Bergmana...

— Umówiliśmy się, Alek, że nie będziemy im robić konkurencji.

— Sądzicie, że Blanka zgodzi się wystąpić w czymś takim?

— „W czymś takim”? A kimże ona jest, żeby miała cokolwiek do powiedzenia? Dostanie trochę forsy i będzie uradowana.

— Może jest nefotogeniczna...

— To się okroi jej rolę do minimum albo ubierze po arabsku tak, żeby tylko jedno oko było widać. W tym filmie akcja jest pretekstem, realia są skarbem. Zresztą młoda dziewczyna zawsze ma coś ładnego do pokazania, jeśli nie buzię, to...

—• Fred, nie świntusz, bo chłopak nam ucieknie. Przecież to błędny rycerz, jak mówił Van Horsch.

— Don Kichot, znaczy się? Ale tamten był chyba Hiszpanem. Widzisz, Dan, że jestem odczytany.

■— Bardzo. A jak wypadły próbne zdjęcia tej małej tancerki?

— Świetnie. Tylko że wcale nie były próbne. Kazaliśmy jej tańczyć i zarejestrowaliśmy całość.

— Dużo was to kosztowało? — zapytał Daniel.

Prychnęli śmiechem. Spojrzeli znacząco po sobie. Ben z pełnymi ustami ^powiedział:

— Dżentelmeni nie zadają takich pytań!

Daniel wstał. Fred odprowadził go do przejścia między wozem technicznym a mercedesem.

— Słuchaj, Dan. Wszyscy jesteśmy młodzi, chcemy zgarnąć forszę, wyskoczyć do przodu. Musimy sobie pomagać. Trzymać sztamę. Jedziemy na jednym wózku. Jeśli nam się uda, to i ty zrobisz karierę, o jakiej w kraju nie mógłbyś nawet marzyć. A jeśli zrobimy klapę, mała szkoda, krótki żal. Nikt z twoich nawet się nie dowie. Niczym nie ryzykujesz.

— Ja nie. Ale Blanka.

— Przecież jej nie porwiemy. Zgodzi się, to dobrze, nie zgodzi, drugie dobrze. Wymyślimy coś innego. No, nie rób problemów. Jutro o dziesiątej przyjdę do ciebie. Profesor Olafson wychodząc wieczorem z restauracji zatrzymał się na chwilę przy stoliku Daniela.

— Pojutrze wracam do Algieru. Mogę zabrać listy. Zostaw dla mnie w recepcji. Daniel ledwo zdążył podziękować. Szwed bardzo się widać spieszył, obie Angielki

czekały już na niego przy drzwiach wyjściowych. Kiedy indziej chłopak by się tym nie przejął, lecz dzisiaj taki dowód obojętności ze strony profesora pogorszył jeszcze nastrój, spowodowany przedwczorajszą bójką, dzisiejszym zmęczeniem i niepewnością, jak należy postąpić. Ciężył mu nadmiar samodzielności, nużyły pokusy życia. Zateśknił za domem, za matką, za zwyczajnością, która była udziałem jego rówieśników. Idąc do swojego pokoju niemal rozczulił się nad sobą. Ledwo powiesił wiatrówkę i odkręcił kran w łazience, żeby przygotować sobie kąpiel, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Van Horch przyszedł na pogawędkę. I choć Daniel mu nie dowierzał, choć żywił wobec niego podejrzenia, przecież ucieszył się z tych odwiedzin. Holender natychmiast to wyczuł, rozsiadł się w fotelu i powiedział bezceremonialnie:

— Radziłbym ci zakręcić kran. Rozmowa może się przeciągnąć. Musimy załatwić interesy.

Zagwizdał cicho i bardzo ładnie starą piosenkę Bitlesów. Daniel wrócił z łazienki. Przez chwilę siedzieli w milczeniu, przedzieleni stolikiem.

— Zdjęcia wypadły lepiej, niż można było oczekiwać — powiedział Van Horch. — Jutro wpadnie do ciebie Freddy. Nie spodziewaj się, oczywiście, że przyniesie ci kontrakt do podpisania. Wszystko musi polegać na zaufaniu.

— Dlaczego miałbym im ufać?

— A dlaczego nie?

— Mają silniejszą pozycję.

— Owszem. Dlatego chcę ci pomóc. Jeśli obiecasz, że bez względu na to, co zajdzie w tej wsi, która jest celem waszej wyprawy, zagrasz w ich filmie, wymogę na nich zaliczkę dość przyzwoitą, żebyś nie żałował mitregi. No bo zrozum. Taka wycieczka z całym majdanem też trochę grosza kosztuje, oni

80 nie mogą być stratni.

— Decyzja nie zależy ode mnie. Jeśli tamta kobieta...

— Jeśli tamta kobieta się nie zgodzi, znajdą sobie inną. Stawiają na ciebie.

— Nie mogę niczego obiecać, póki nie poznam scenariusza. Holender westchnął.

Wyciągnął z kieszeni fajkę, zapalił.

— Wracamy do punktu wyjścia.

— Nie całkiem. Bo gotów jestem tam pojechać. A co dalej, to się okaże.

— Wolałbym jednak, żebyś wziął zaliczkę tutaj.

Daniel spojrzał mu w oczy. Może Holender spodziewał się po prostu prowizji?

— Tam będziesz bardziej zależny od nich.

— Czyżby i pan im nie dowierzał?

— Zawsze mogą zajść nieprzewidziane komplikacje. A ty nie jesteś jeszcze oblatany... No i kawał drogi stamtąd do Algieru.

— W najgorszym razie brat mnie jakoś ściągnie.

— Wyobrażam sobie, jakby go to ucieszyło. Kwiczałby z radości.

Daniel uśmiechnął się na myśl o kwiczącym z radości Szym-ku, ale powiedział serio:

-III- Nie mówmy już o tej wyprawie. Zapomniał pan wziąć monetę do swojej kolekcji. Proszę, leży tutaj. Należy się panu podwójnie. Bo przecież pomógł mi pan w realizacji marzenia.

Holender schował pieniądze do zamykanej na suwak przegródki portfela.

— Czy znasz przysłowie, że gdy Bóg chce człowieka pokarać, to spełnia jego najskrytsze pragnienie?

— Zawsze lubiłem przysłowia, lecz nie sędzę, aby były mądrością narodów. Van Horch zaśmiał się krótko, pyknął parę razy fajkę. Siedzieli przez chwilę w milczeniu.

— Nie wiem, czy się jeszcze kiedykolwiek zobaczymy. Chciałbym jednak bardzo, żeby ci się powiodło. I żebyś wierzył, że robiłem wszystko dla twojego dobra. Cześć, chłopcze!

Po wyjściu Holendra Daniel, choć zmęczony, napisał list do brata. Zawiadamiał go, że na kilka dni wyjedzie z Biskry, a później sam wróci do Algieru, żeby zaoszczędzić mu pieniędzy i czasu. Dziękował za kurację, która okazała się tak skuteczna, 81
6 — Daniel na Saharze

i za miły pobyt w sanatorium, szczególnie atrakcyjny zwłaszcza od przyjazdu profesora Olafsona. O planach filmowych nie napomknął ani słowem.

Dopiero gdy zaadresował list, uświadomił sobie, że nie zapytał Holendra, gdzie przebywa Blanka, że nadal nie wie, dokąd właściwie pojedzie z ludźmi, którzy bynajmniej nie budzili w nim zaufania. Naprawdę nie był jeszcze oblatany, a mimo to zrywał się do niebezpiecznego lotu.

ROZDZIAŁ 10

Wyruszyli niby zmotoryzowany tabor cygański: przodem Fred, Alek i Daniel w mercedesie, dalej Richie w wozie technicznym, na końcu Ben w ciężarówce, do której doczepiono karawan. Jechali do Tuggurtu przez popielatoszarą pustynię między dwoma szottami Melrih i Merouane. Szotty — słone jeziora — połyskiwały w słońcu. W pobliskim El Hamraia eksploatowano nawet tę sól, Daniel spotkał w Biskrze jadące stamtąd transporty. Mijali mniejsze i większe oazy wzdłuż Ued Rirh, podziemnej żyły wodnej. Lasy palmowe o ciemnobrunatnych pniach i spłowiałej zieleni sklepienia liści rozpostartego nad brunatną ziemią zapewniały ochronę uprawom jarzyn, dając im nieco cienia. Niegdyś kopano tu studnie bardzo prymitywnymi metodami, wykorzystując jedynie siłę ludzkich mięśni. Jedni wybierali ziemię z dołu, inni wyciągali ją w skórzanych workach na powierzchnię. A że studnie te często się zamulały, doświadczeni studniarze czyścili je, z narażeniem życia spuszczać się na linie w głąb nie ocembrowanych ziemnych lejów.

Kolonizatorzy francuscy wprowadzili studnie artezyjskie, pompujące z głębin tysiące litrów wody na minutę. Ued Rirh zazielenił się tysiącami nowo posadzonych palm.

Po niespełna trzech godzinach jazdy zatrzymali się na odpoczynek w El Ued, największej i najpiękniejszej oazie krainy Suf. Niemal wszystkie budynki w tym miasteczku pokryte są niewielkimi kopułami bielonymi tak samo jak mury. Kopuły te mają chronić mieszkańców od upału. Jako materiał budowlany służą z dawien dawna róże piaskowe, powstałe ze zlepionych w naturalny sposób ziaren piasku.

Na posiłek zaszli do hotelu zbudowanego z myślą o zamożnych cudzoziemskich turystach. Naśladując dość swobodnie tradycyjne formy miejscowej architektury hotel ów zapewniał gościom maksimum wygody i przyjemności. Na wewnętrznym

dzieńcu znajdował się basen pływacki z trampoliną, piankowe materace na kamiennych płytach nad wodą zachęcały do opalania się tutaj w końcu stycznia,

drzewa i krzewy stwarzały atmosferę świeżości.

— Można tu sobie fajnie poleniuchować — powiedział Ri* chie. — Byłe mieć forszę.

— Bez forsy zginiesz nawet w raję — odparł Alek. — Nie dadzą ci koszuli, w której mógłbyś śpiewać: hosanna.

— No, chłopcy, zbieramy się, bo od gadania forsy nie przybędzie. — Fred wstał i pierwszy skierował się do mercedesa.

Przez morze ruchomych piasków ruszyli do Tuggurtu, miasta, które niegdyś było stolicą państwa rządzonego przez miejscowych sułtanów. Pamiątką owej dawnej przeszłości jest jeszcze wielka kopuła „grobow królewskich” tuż za miastem, dziś niemal po europejsku zabudowanym, z arabskimi dzielnicami na peryferiach. Są one jasnożółte, ścięśnione. Niskie domy nie mają prawie okien od ulicy. Krętymi zaułkami przemykają kobiety o rysach bardziej murzyńskich niż arabskich, chociaż o niezbyt ciemnej skórze.

— Chcesz podjechać do Hassi Mesaud? — zapytał siedzący teraz przy kierownicy Alek. — Miałeś zamiar zrobić trochę zdjęć.

— Ale zrezygnowałem. Nie przyda się to na nic. Stalowo--szklane konstrukcje, nowoczesne osiedla mieszkaniowe, europejskie bary i restauracje, kogo to obchodzi? Mam inny pomysł. Zatrzymamy się nocą na pustyni i sfilmujemy z daleka potężne ognie pól naftowych. Dopiero taki kontrast będzie miał swój smaczek.

— Fred, jesteś niezrównany. Wiem, że nie dostałeś zezwolenia na filmowanie zakładów. I krzywisz się teraz na kwaśne winogrona, stary lisie.

W ciągu całej podróży prawie nie odzywali się do Daniela. Tkwił jak tłumok na tylnym siedzeniu mercedesa i całkiem to sobie chwalił. Z krótkich rozmów, z przekomarzenia się i zło-śliwostek swoich towarzyszy powoli domyślał się, jakie układy obowiązują w tej grupie. Fred był niewątpliwie bossem, mózgiem i pomysłodawcą całego przedsięwzięcia. Alek, który zdążył parę lat już przepracować w prawdziwej wytwórni filmo-

wej, pełnił funkcję nie tylko operatora, lecz i kierownika produkcji, Richie zajmował się sprawami technicznymi, Ben zaopatrzeniem i kwatermistrzostwem, jeśli tak to można określić. Daniel nie umiałby jednak powiedzieć, z jakich środowisk wywodzą się jego towarzysze. Odnosili się do siebie po koleżeńsku, nawet Freda traktowali na równi z innymi, choć bezapelacyjnie wypełniali jego polecenia.

Na nocleg zatrzymali się istotnie w pustyni, jak nomadzi. Sprawnie założyli obozowisko. Ponieważ w karawanie były tylko cztery posłania, Daniel miał sp"ać na materacu w ciężarówce.

— Będzie ci tam nawet cieplej niż w namiocie. Zresztą nie warto go rozstawiać, skoro świt ruszamy dalej — stwierdził Ben. — Radzę ci wcześniej się położyć. Zdjęcia zajmą nam trochę czasu.

Na kolację była fasolka z puszki, herbata i chleb z dżemem. Mycie ograniczyło się do minimum, chociaż zbiorniki wody były pełne.

— Nie wiadomo, na jak długo musi starczyć —■ powiedział Ben. — Masz tu swoje dwa litry. Wlej do pojemnika przy natrysku. Puść minimalny strumień, oczywiście stojąc w korytku, w którym umyjesz nogi. A potem szybko wież do śpiwora i kimaj. Daniel spełnił polecenie, choć nie mógł się pozbyć podejrzeń, że tamci chcą go usunąć i spędzić resztę wieczoru we własnym gronie. Ostatecznie mieli do tego pełne

prawo. Jeszcze nie należał do sitwy i nawet nie pragnął do niej się przyłączyć. Uchylił drzwi zamykające tył ciężarówki, aby widzieć niebo nad pustynią i pomarańczowe płomienie nad falistą płaszczyzną piasku, lecz dojmujący chłód kazał mu zrezygnować z widoków i wtulić się w ciepły śpiwór. Dziwna rzecz, zamknięty w pełnej cudzych gratów ciężarówce, niepewny, co dzień jutrzejszy przyniesie, czuł się bardziej wolny* niż w opłaconym przez brata luksusowym sanatorium.

Nazajutrz po skąpym śniadaniu wzięto kurs na Uargę. Daniel zachwyconym wzrokiem ogarniał morze piasków, jasnych, sypkich, ruchliwych. Najlżejszy podmuch wiatru przesuwiał je z miejsca na miejsce. Zdawało się, że drobne fale suną po bezmiernej powierzchni, że pustynia oddycha, że wzbierają i opadają piaszczyste wzgórki, zmieniają się układy piaszczystych fałd.

Południowy odpoczynek trwał krótko. Fred ponaglił do dalszej drogi w kierunku El Golea. Na szosie i obok niej spotykali grupy nomadów, ich trzody i wielbłądy. Były to jednak grupy niewielkie, ubogie, niezbyt malownicze i, zdaniem Freda, niewarte sfilmowania.

Dopiero pod wieczór w pewnej odległości od szosy Alek wypatrzył obozowisko nomadów. Bez słowa wskazał je Fredowi, siedzącemu za kierownicą. Fred skinął głową i dał znak jadącej za nim kolumnie.

— Co się stało? — zapytał Ben wychylając się z szoferki.

— Nic. Zanocujemy tutaj.

Tym razem i Daniela wciągnięto do wieczornych zajęć. Kiedy przygotowano już nocleg, Fred powiedział Benowi, żeby wraz z chłopcem poszedł do nomadów, boś tam u nich kupił, a przede wszystkim uzyskał zgodę na sfilmowanie ich w dniu następnym.

Ruszyli pasmem stwardniałego piasku w stronę brunatnoczar-nych namiotów odcinających się od żółtego tła pustyni. Kilka wielbłądów stało jakby na straży obozowiska. Gromadka dzieci wybiegła na spotkanie przybyszów. Mężczyzna w czarnym zawoju na głowie czekał przed namiotem. Ben ze swojej kiepskiej francuszczyzny przeszedł na jeszcze gorszy arabski. Gospodarz, o dziwo, zrozumiał mniej więcej, o co mu chodzi, pokiwał skwapliwie głową i zaprosił gości do wnętrza ciemnego namiotu, do którego wpadał jedynie odblask ogniska, przy którym kobieta gotowała strawę; dostrzegli legowiska z baranich skór oraz mały warsztat tkacki. Parę blaszanek i puszek po konserwach stało na drewnianej skrzynce, służącej kiedyś jako opakowanie; była to chyba cała zastawa domowa, nie licząc glinianych nie wypalonych misek i dzbanuszków.

W namiocie panował zaduch, baranie skóry wydzielały ostrą woń. Gospodarz poprosił gości, by zechcieli na nich usiąść. Spod legowiska wyciągnął dwa wąskie kilimki, których barwy nikły w przedwieczornym mroku. Kobieta gotująca posiłek przystawiła do ognia imbryk i zaparzyła kawę. Podała ją gościom w małych metalowych kubeczkach. Kawa była słodka jak ulepek, bardzo mocna i przyprawiona pieprzem.

Ben kupił jeden z kilimków, co znacznie ociepliło nastrój. Daniel nie rozumiał, o czym Ben mówi, ale widać było, że uzgadnia coś z całą powagą. Ściemniło się, zanim przybili porozumienie takim gestem, jakim polscy chłopcy kończą na jarmarku

targ o prosiaka.

— Załatwione! — odetchnął z ulgą Ben, kiedy odeszli spory kawał od obozowiska.

— Fred powinien być zadowolony. Może jutro filmować, kogo zechce. A nomadów już coraz mniej. Sam widziałeś, że to wcale nie romantyczni włóczędzy, ale zwykli pasterze, hodujący owce, kozy, wielbłądy. I nie tęsknota za swobodnym życiem, lecz brak wody i paszy dla zwierząt, zmusza ich do wędrówek z południa na północ i z północy na południe. Handlują zwierzętami, sprzedają owczą wełnę albo ją wymieniają na ziarno z mieszkańcami tellu czy ludnością oaz, która im dostarcza daktyli.

— Skąd znasz arabski? — zapytał Daniel.

— Gdybym nie znał, Fred nie wziąłby mnie na tę wyprawę — odparł wymijająco. — Nie bądź za ciekawy. Wścibscy żyją krócej.

Freda zastali w namiocie przy stoliku oświetlonym jasną lampą. Pisał coś na niewielkich arkusikach papieru. Ben złożył mu sprawozdanie i poszedł przygotować kolację.

— Siadaj, Dan! — boss wskazał chłopcu miejsce naprzeciwko.

88

Jutro zaczyna się twoja rola. Jeszcze nie filmowa, lecz życiowa. O dwadzieścia mil stąd jest wieś, której szukałeś. Pojedziemy tam z samego rana. Zostawię cię samego. Nawiążesz ■znajomość z Blanką i jej mężem. Wybadasz teren, przygotujesz ich na nasze propozycje. Wieczorem przyjadę po ciebie. Jeśli wszystko pójdzie po naszej myśli, pojutrze zaczniemy kręcić film.

— Ostro bierzesz się do rzeczy.

— Każdy dzień kosztuje. Nie mogę marnować forsy. Aha, gdyby cię pytali, skąd dowiedzieliśmy się o ich wiosce, powiedz, że dostaliśmy informacje z Ministerstwa Rolnictwa i Reformy Rolnej.

— Czy to, co piszesz, ma być scenariuszem?

— Przypuśćmy. Ben przygotowuje ci trochę puszek i słodyczy, żebyś nie pojechał tam z pustymi rękami.

— Myślisz o wszystkim.

— Komplement czy złośliwość?

— Jak ci wygodniej.

— Biorę za dowód uznania.

— Okey. Może byśmy już coś zjedli? Umieram z głodu.

— Właśnie podaję — oznajmił Ben. — Rzeczywiście zrobiło się późno. Alek, Richie, chodźcie na kolację!

Przyszli z technicznego wozu zmordowani robotą, brudni, domagali się większej ilości wody do mycia, sarkali, że nie mają ani chwili wolnej, bo na jutro Fred znów wymyślił nową porcję zdjęć.

— Ben, daj im po puszcze piwa, to im poprawi humor — zaśmiał się boss. — I nastaw jakąś fajną muzyczkę. Zaraz będzie weselej.

Dyskotekowy łomot wypełnił wnętrze pomarańczowego namiotu, światło lampy stało się jeszcze jaskrawsze. Daniel zjadł szybko i odszedł „do siebie”, czyli do swojego śpiwora w ciężarówce. Zatrzasnął drzwi, żeby się odciąć od nieznośnego jazgotu. Miał wielką tremę przed jutrzejszym spotkaniem, od którego przecież tyle zależało.

Musiał bowiem przyznać, że w głębi serca pragnął zagrać w filmie, że marzyła mu się sława. Nie przeceniał wprawdzie tego, co mu proponował Fred, lecz/żywił trochę nadziei, że a nuż się uda, że z tej fuchy wyjdzie coś za-

sługującego na uwagę bodaj w kategoriach komercyjnych. Iluż wielkich aktorów od tego właśnie zaczynało! Nigdy dotąd nie myślał o filmie, to prawda, lecz gdy zobaczył swoje próbne zdjęcia, musiał przyznać", że prezentował się na nich pierwszorzędnie. Nie byłoby to najgorsze życie. Zresztą i ci chłopcy, choć się uskarżali, że dokument nie przynosi im dość forsy, żyli wspaniale, jeździli z kontynentu na kontynent, każdy dzień był dla nich przygodą. W porównaniu z ich egzystencją los wszystkich znajomych Daniela wydawał się szary, nieciekawy. Więc gdyby mu się powiodło... Czy wróciłby do kraju, do szkoły? Chyba nie... Jest już prawie dorosły, mógłby spróbować szczęścia o własnych siłach. A rodzice? Szymon? Maryla? Twarz jej całkiem zbladła po tych kilku tygodniach, jak barwna fotografia trzymana na słońcu. Rodzice dopięli swego... Nie przypuszczali tylko, że Daniel z deszczu wpadnie pod rynnę... Ze go stracą...

To stwierdzenie zaszokowało go trochę. Pocieszył się jednak, że przecież od dawna sprawiał im tylko kłopot, że nie potrzebowali wcale jego obecności. Ale czy naprawdę? Czy tak stawiając sprawę, nie ułatwiał sobie sytuacji, nie usprawiedliwiał własnego egoizmu?

Zerknął na zegarek. Dochodziła jedenasta. Należało koniecznie-wyśpać się przed jutrzejszym dniem. Muzyka w namiocie dawno już ucichła. Uchylił nieco drzwi, by wpuścić rześkie powietrze pustyni. Księżyc wisiał nad nią ogromny, czerwony, ruda poświata słała się na falujących piaskach. Daniel zacisnął powieki. Ale sen nie przychodził, cisza dzwoniła w uszach. Jutrzejszy dzień miał zdecydować o jego życiu.

ROZDZIAŁ 11

Jeszcze przed wyjazdem do Algierii Daniel czytał w prasie o wsiach socjalistycznych, których tysiąc chciał wybudować Bumediem. Dwieście podobno oddano już do użytku, pięćset dalszych znajdowało się w budowie. Wydano na nie przeszło pół miliona dolarów. Minister Rolnictwa i Reform Rolnych powiedział: „Wsie socjalistyczne są składnikiem naszej generalnej strategii w zakresie rewolucji agrarnej. Mają one być czymś więcej niż tylko nowoczesnym rozwiązaniem urbanistycznym. Będą szkołą nowego współczesnego współżycia. Ośrodkiem wpływającym na przeobrażenia świadomości ludzi wsi tak, by mieszkając w tych promieniujących kulturą osiedlach włączali się bezpośrednio w procesy społeczne i psychologiczne będące owocem zmiany stosunków produkcji”.

Daniel nie przypuszczał wprawdzie, by owe „nowoczesne rozwiązania” wsi wyglądały tak imponująco, jak komfortowy hotel w El Ued, kiedy jednak przyjrzał się tej, którą budował Meh-med, doznał bolesnego rozczarowania. Wieś, a właściwie osiedle składające się z trzydziestu domków mieszkalnych miało kształt podkowy obwiedzionej murem i znajdowało się na zupełnym piaszczystym pustkowiu. Między ramionami owej podkowy, na sporym placu, stały budynki użyteczności publicznej: szkoła, pawilon handlowy, łaźnia i najokazalszy z nich meczet, górujący czworograniastą wieżą nad całą okolicą. Zaledwie kilka domków mieszkalnych zdołano wykończyć do tej pory. Reszta znajdowała się w rozmaitych stadiach

realizacji... Nie otynkowane ściany zdradzały wszystkie usterki wykonawstwa, mury z nie wypalanych glinianych pustaków, podciągnięte na metr ponad ziemię, pozwalały się zorientować w rozkładzie bardzo skromnego mieszkanka. Leżące w nieładzie materiały 90 i narzędzia świadczyły nie najlepiej o środkach technicznych,

jakimi dysponowali wykonawcy. Bieda wyzierała z każdego zakątka tej budowy, na której nikt dzisiaj nie pracował, mimo że dzień był roboczy.

Daniel najchętniej uciekłby stąd gdzie pieprz rośnie. Widział, jak wszystkie jego filmowe plany biorą w łeb. Bo jakże pokazać zamożnym, korzystającym z wszelkich dobrodziejstw techniki Amerykanom te żalosne próby wydobywania się z odwiecznej nędzy, a zarazem te ogromne wysiłki, które ocenić potrafi jedynie ich bezpośredni świadek, mieszkaniec pustyni?

Gdy tak stał na placu z pakunkiem pod pachą, medytując nad tym, co począć dalej, ze szkoły wyszedł młody Arab w dżinsach i kraciastej koszuli. Nie wiedzieć czemu Daniel był pewien, że ma przed sobą Mehmeda, ten zaś podał mu rękę i powiedział po polsku:

— Dzień dobry!

Silny uścisk dłoni wyrażał radość ze spotkania, szczere przyjęcie i zaufanie.

— Wiem od rodziny, że szukaliście nas w Kabylii. Że wasze lekarstwo uratowało życie mojej siostrze. Bóg wam zapłać, tak się mówi w Polsce, prawda?

Daniel skinął głową.

— Blanka wróci po południu. Wybrała się samochodem do El Golea po żywność. Bo, jak widzisz, robotnicy nas opuszczają, kiedy nie ma co jeść.

s — Przywiozłem dla was trochę konserw — Daniel ochoczo pozbył się paczki.

— Dzięki: Bardzo się przydadzą. W tamtych domach już mieszkają ludzie. Z kupą dzieci. Posadzili pierwsze palmy. Ale na daktyle trzeba czekać jeszcze z pięć lat. To najcięższy okres. Mów, jak dotarłeś tutaj. Samochodem?

—: Podwieźli mnie znajomi.

— Nie zaprosisz ich?

— Wrócili do swojego obozu. Dwadzieścia kilometrów stąd.

— No to będziesz musiał iść ze mną pieszo na plantację. Pokażę ci, od czego wszystko się zaczęło. Ale najpierw wstąp do mnie, zobacz, jakeśmy się urządzili. Całkiem nieźle.

Z dumą pokazał Danielowi mały pokoik na parterze szkoły, z tapczanem, stolikiem, dwoma krzesłami i półką na książki. 91

— Szafy jeszcze nie mamy. To duży wydatek i trudny transport. Zresztą cały nasz dobytek doskonale mieści się w paru walizkach. Najważniejsze jest radio. I maszynka elektryczna — dodał stawiając na niej garnuszek z wodą.' — Zaraz będzie herbata. Mam tylko miętową... Lubisz?

— Bardzo.

— Cukier nam się skończył... Blanka dziś przywiezie... Nie masz pojęcia, jaka jest dzielna i zaradna. Gdyby nie ona, chyba bym nie wytrzymał, zwłaszcza na początku, kiedy nie było tu ani prądu, ani wody, mieszkaliśmy w budzie z desek... Teraz to prawdziwy luksus.

— Studiowałeś w Warszawie?

— Tak. Skończyłem trzy lata architektury. Nasi uznali, że to dosyć, odwołali mnie do kraju, żebym budował wsie socjalistyczne. Może mi się uda skończyć studia w Algierze... Jeśli nie, to trudno. Najważniejsze, żeby coś zrobić dla ludzi.

Na białej ścianie nad stolikiem wisiała reprodukcja pastelu Wyspiańskiego „Macierzyństwo”. Mehmed zauważył spojrzenie Daniela.

— Nie możemy na razie mieć dzieci — powiedział jakby z zażenowaniem. — Trzeba najpierw skończyć budowę osiedla, zapewnić ludziom znośne warunki życia. Blanka nas zaopatruje, prowadzi punkt sanitarny, coś na kształt przedszkola.

Nauczyła się trochę po arabsku... Cała księgowość wsi też jest na jej głowie... Bo ja o tym nie mam zielonego pojęcia. Cały dzień zresztą jestem zajęty albo na plantacji, albo na budowie. Fachowców brak, trzeba ludzi przyuczać, z murarką jeszcze pół biedy, ale roboty kanalizacyjne, hydrauliczne, instalacje elektryczne — to dla nich za trudne. Mam samych nomadów, muszę im pokazywać, jak się spawa, jak się układa rury... Ja też się dopiero tutaj nauczyłem, przecież na politechnice tego nam nie wykładano... Słowem: wielka improwizacja.

Po herbacie wyszli na plantację. Wąska, lecz utwardzona droga prowadziła ku niewielkiemu wgłębieniu terenu, na którym wznosiła się studnia artezyjska.

— To nasza matka rodzicielka — zażartował Mahmed. — Doprowadziliśmy wodę na krawędzie doliny. Rowkami spływa w

92 dół nawadniając szczyry piasek, w którym zasadzono już pal-

my. Każda rodzina z naszej wioski ma ich dziesięć. Aby ten piasek zamienił się w żyzną glebę, przynoszą wielbłądzi nawóz i popiół, zbierany i gromadzony skrzętnie jak skarb. Palma jest drzewem bardzo wymagającym. Potrzebuje upału, wody i starannej pielęgnacji. Trzeba stale spulchniać grunt koło niej, póki jest mała, nie dopuścić do utworzenia się twardej, zeschniętej skorupy. Za to gdy podrośnie, pod jej zielonym dachem sadi się figi, granaty, no i oczywiście jarzyny. Palma nie tylko żywi, lecz dostarcza budulca, z liści wyplata się maty i koszyki, łodygami pokrywa szalasy, z wici oplatających pnie wyrabia się liny i worki. Zbiór daktyli również jest pracą ciężką i niebezpieczną, jeśli palmy są wysokie. Zwykle wspinają się na nie mali chłopcy. Niegdyś pracowali oni u właścicieli gajów palmowych za znikomą zapłatą. Dziś prawo zabrania wykorzystywać pracę dzieci...

— To znaczy, że już nie pracują?

— W gospodarstwach rodzinnych lub spółdzielczych ma to inny charakter... Ale pracują, niestety... Zresztą, popatrz na te uprawy. Pracują ludzie starzy, mężczyźni, dzieci... Całe rodziny, z wyjątkiem kobiet zajętych w domu.

Mehmed skręcił wąską ścieżką między palmami i ruszył ku krawędzi doliny.

— Pokażę ci teraz, dlaczego tu przyjechałem.

Na niewielkim wzniesieniu nad plantacją koczowało kilkadziesiąt rodzin, z których każda miała schronienie w czymś, co tylko z nazwy przypominało namiot, były to bowiem ledwo na metr nad piaskiem podniesione płachty, przemyślnie przytwierdzone palikami. Całe życie skupiało się tu przy jakichś skrzynkach, bańkach plastikowych, pudełkach po konserwach, zgarniętych może ze śmietnika w jakiejś oazie.

— To nomadzi — powiedział Mehmed. — Ale tacy, którzy już nie mają trzód ani wielbłądów, najwyżej kozę albo kilka kur. Dawniej byli pasterzami owiec należących

do ludzi bogatych. Dzisiaj ten rodzaj hodowli zanika, ci koczownicy nie znaleźli zajęcia ani mieszkania, czekają na domki w naszym osiedlu. Czekają jak na zbawienie, bo tam będzie woda, prąd elektryczny, szkoła i stały dach nad głową. I stały zarobek. Przyjrzyj się, jaka to nędza. Nie mają nic, dosłownie nic.

Okrażyli łukiem obozowisko, zeszli znów na drogę.

— Przykro mi, że nie mogę cię poczęstować dobrym obiadem — usprawiedliwił się Mehmed. — Zjemy to, co mi wczoraj przygotowała Blanka. Zupę z naszych jarzyn. Mięso bywa u nas bardzo rzadko. Trzeba po nie jeździć do El Golea. No i jest bardzo drogie w stosunku do moich zarobków. Blanka nie dostaje wynagrodzenia... Mamy tak mały budżet... Dopiero gdy wszystkie domy będą zamieszkałe, gdy uruchomi się wszystkie służby pomocnicze, przyznają nam więcej etatów.

Ledwo pozmywali po obiedzie i zaparzyli herbatę — zjawiała się Blanka. Znacznie szczuplejsza niż na zdjęciu, w lekkiej bawełnianej sukience wyglądała niemal na rówieśnicę Daniela. Przywitała go serdecznie, lecz pośpiesznie, trzeba było wypakować zakupy, pochować wszystko na właściwym miejscu, pozamykać.

Dopiero później mogła się umyć i zasiąść do stołu.

Nie dano jej wszakże zjeść spokojnie. Raz po raz wpadał ktoś z mieszkańców, aby odebrać sprawunki, których załatwienie zlecił jej poprzedniego dnia, co z kolei wymagało rozliczeń: wydawania reszty albo upominania się o dopłatę. Nie była tym zaskoczona, nie zdradzała zniecierpliwienia, panowała nad sobą doskonale, mimo że musiała być zmęczona. Jej arabski brzmiał zabawnie, trochę jak papuzie przedrzeźnianie. Miała wiele wdzięku i prostoty, wiele życzliwości dla każdego, trudno było jednak przypuścić, by zechciała przyjąć propozycję Freda.

— Czy mógłbyś wpaść do nas jutro? — zapytała, kiedy jej oznajmił, że niedługo musi odjechać, bo tak się umówił ze znajomym. — Dziś wcale tobą się nie nacieszyłam. Jutro Mehmed będzie zajęty, lecz ja znajdę czas na dłuższą rozmowę.

— Dobrze, przyjadę.

— Kiedy wracasz do Polski?

— Nie wiem jeszcze.

— Bo może dałabym ci listy...

— Słuchaj! — zapytał ściszym głosem, chociaż Mehmed przed chwilą wyszedł z pokoju. — Dlaczego ty właściwie wysłałaś taki alarmujący list do rodziców?

— Ja? — zadziwiła się najszczerzej w świecie. — Nic podobnego! Pisałam wprawdzie, jak tam było w Kabylii, ale raczej na wesoło, bo to przecież był tylko krótki popas w naszym życiu, mieliśmy przyjechać tutaj...

— Nie prosiłaś ich o ratunek? O to, żeby cię stąd zabrali?

— No wiesz! — tym razem oburzyła się naprawdę. — Naw[^]t mi przez myśl nie przeszło!

— Dali znać do Algieru, wszczęli starania...

— Co ty pleciesz!

— Przecież myśmy z bratem pojechali do Kabylii, żeby ci ułatwić ucieczkę.

— Boże święty! Nie mów o tym nikomu! Zwłaszcza Mehmedowi! Zburzyłbyś całe nasze szczęście, cały spokój. Bo Mehmed ufa mi bezgranicznie. Wierzy, że ja tu znalazłam cel życia.

— Istotnie go znalazłaś?

— Tak. Czy cię to dziwi?

— Trochę.

— Nie wiem, jak cię przekonać. Takie rzeczy albo się wyczuwa i rozumie, albo ich zrozumieć nie sposób.

Westchnęła, nerwowo splótła palce, aż zatrzeszczały kości, położyła dłonie na kolanach.

— Całe dzieciństwo przeżyłam w świecie pozorów, udawania. Tu jest świat autentyczny. Rozdrapywały mnie między sobą egoizmy rozwiedzionych rodziców. Tu poznałam prawdziwą miłość. Tam nikomu nie byłam naprawdę potrzebna. Tu wszyscy mnie potrzebują. Gdybym została w rodzinnym domu, też zaczęłabym zgarniać ku sobie, zabiegać o jak najwięcej, aby zawsze dostać to, co najlepsze. Tu nie mam prawie nic — i czuję się wolna.

— Nie tęsknisz za cywilizacją, za jakimś kulturalnym życiem, za podróżami po świecie?

— Wcale.

— Za przyjaciółmi?

— A ty masz prawdziwych przyjaciół? Bo ja z nikim nie miałam wspólnego języka. Owszem, chodziłam na randki, na prywatki, jeździliśmy razem na narty. Ale przyjaźń to co innego... Może zresztą wcale nie istnieje. Może jest tylko złuda, do której tęsknimy. Och, Danielu, gdybyś spędził z nami bodaj 95 parę miesięcy, zrozumiałbyś, że wy tam, w kraju, nie macie pojęcia, jak trudna, jak ciężka jest ludzka dola!

— Do jutra, Blanko!

Bał się, by go nie odprowadziła do bramy osiedla, gdzie miał na niego czekać Fred, by nie powzięła jakichś podejrzeń. Ale ona jakby zagłębiła się we własnych myślach. Nie wstała nawet, nie podała mu ręki. Powiedziała tylko cicho:

— Do jutra...

ROZDZIAŁ 12

— No i jak? — zapytał Fred, kiedy Daniel usiadł koło niego w samochodzie. — Załatwiłeś?

— Wszystko wygląda inaczej, niż można by przypuszczać. Blanka czuje się tu dobrze i wcale nie chce wyjeżdżać z Algierii.

— Nieważne, jak się czuje, tylko czy zagra w moim filmie.

— O to jej nie pytałem.

— Więc co, u licha, robiłeś przez cały dzień?

— Czekałem na nią. Dopiero przed godziną wróciła z El Go-lea. Muszę rozmówić się z nią jutro. Dziś naprawdę nie było warunków.

— Nie myślisz chyba, że będę cię co dzień woził na randki. .

— Tylko jutro.

— Posłuchaj, mam już scenariusz. Dziewczyna, która marzy o przygodach, korzysta z pierwszej lepszej okazji, żeby wyjechać z Polski. Wychodzi za mąż za Algierczyka i przyjeżdża tutaj. Ale stwierdza, że w tutejszych warunkach żyć się nie da. Pisze więc do chłopaka, który się w niej szczeniakowato pod-kochiwał, czyli do ciebie, żeby przyjechał ją stąd zabrać. Przyjeżdżasz. Po różnych perypetiach ją odnajdujesz

— tu wykorzystamy sceny rodzajowe z całej trasy. Poznajesz małą tancerkę, która traci dla ciebie głowę i zaczyna cię śledzić. Planujecie z Blanką ucieczkę. Ale nie do Algieru, bo łatwo by was było złapać, lecz przez pustynię, na wschód, do Libii. Nie ma takiej drogi w poprzek, trzeba jechać landroverem albo na wielbłądach. Uciekacie. Mała tancerka odnajduje wasz trop. Powiadamia męża. Goni was. Psuje się wam auto. Chronicie się w grotach Tassili. Tam, w całkiem prymitywnych warunkach, przeżywasz inicjację miłosną. Blanka jako starsza od ciebie i doświadczona w tych sprawach...

— Słuchaj, Fred, zagram, co tylko chcesz, ale poszukaj innej partnerki.

97

7 — Daniel na Saharze

— Gdzie? Tutaj? Stracilibyśmy kupę czasu. Zresztą chciałem przedstawić film jako prawdziwą historię z nazwiskami.

— Tym bardziej. Ona tego nie zagra.

— Skąd wiesz, skoro z nią nie rozmawiałeś?

— Rozmawiałem o innych rzeczach. Może gdybyś napisał scenariusz o kobiecie, która odnajduje tutaj sens życia w poświęcaniu się dla innych...

— Jak matka Teresa w Indiach? Takiej sacharyny nikt nie kupi. Zresztą skoro się poświęca, to nie ucieka od męża do grot Tassili, nie mogę pokazać ani malowideł, ani odrobiny golizny, bez której film zrobi plajtę, nie mówiąc o tym, że jeśli ona będzie szlachetną komunistką, to mnie oskarżą o komunizm, a jeśli świątobliwą chrześcijanką, to mi przykleją odpowiednią etykietkę... Twój pomysł jest bezdennie głupi.

— W każdym razie przywieź mnie tutaj jutro.

— Mogę przywieźć. Zrobimy zdjęcia wioski. Taka to nędzota, że żadna dziewczyna o zdrowych zmysłach nie wybrałaby życia tutaj, gdyby tylko nadarzyło się jej coś lepszego.

— Proszę cię, zostaw tę wieś w spokoju.

— A ja cię proszę, żebyś nie wtrącał się do moich interesów. Chcę mieć te zdjęcia i będę je miał.

Gdzieś nad ranem zdawało się Danielowi, że słyszy jakiś rumor, warkot zapuszczanych silników, ale tak mu się chciało spać, że nie wyrzał na dwór. Gdy wstał o zwykłej porze, stwierdził w obozowisku brak wozu technicznego i mercedesa. Tylko Ben krzątał się w namiocie.

— Gdzie chłopcy? — zagadnął Daniel pełen najgorszych przeczuć.

— Pojechali na jakąś robotę.

— Do tej wsi, w której byłem wczoraj?

— Nie wiem. Zjedz śniadanie, bo obiad niepewny.

— Dlaczego?

— Chyba się domyślasz. Wpakowałeś nas w głupią historię.

— Ja was? To raczej wy mnie.

98 — W każdym razie z filmu będą nici, tego jestem pewien, a Fred wiązał z nim wielkie nadzieje. On cholernie nie lubi przegrywać.

— Kto lubi?

— Jedni znoszą to łatwiej, inni gorzej. Fred należy do tych ostatnich./Przygotuj się

na niemiłą scenkę.

Koło południa wrócili wszyscy trzej.

— Jest Daniel? — zapytał Fred trzaskając drzwiczkami mercedesa.

— A gdzie by miał się podziać? — mruknął Ben. — Siedzi w namiocie.

— Powiedz mu, niech pakuje graty.

— Sam mu to powiedz.

— Dobra. Zrób nam coś do zjedzenia. O trzeciej zwijamy obóz i wracamy do Uargli.

— W porządku.

— No więc idę z nim pogadać.

— Na co czekasz? — wtrącił Alek. — Im prędzej, tym lepiej. Nie ma się co patyczkować. Wystawił nas do wiatru. Najgorzej zadawać się ze szczeniakami. Nie mają zielonego pojęcia o życiu. Zwłaszcza lalusie.

— Nie cackaj się z nim — dorzucił Richie. — Sporo bulniemy za te kilka dni.

— No to idę z nim pogadać.

— Powtarzasz w kółko tę samą arię. Daniel zacisnął zęby.

— Cześć! — rzucił Fred wchodząc do namiotu. — Sfilmowaliśmy tę kupę gliny.

— Winszuję.

— Ale doszło do draki. Nie masz tam już czego szukać. Pomysł tego filmu diabli wzięli. Szkoda. Będę musiał pogłówkować, żeby jednak coś nakręcić. Do tego czegoś nie jesteś mi potrzebny. Możemy podwieźć cię do Uargli.

— Muszę zobaczyć się z Blanką, wyjaśnić...

— Jak sobie chcesz.

— Czy podrzuciłbyś mnie do wsi?

— Powiedziałem, że jedziemy do Uargli. Nie będę robił pięćdziesięciu kilometrów dla twoich pięknych oczu. Za benzynę 99

I

się płaci. Za czas stracony również. Spakuj manatki i spływaj, jeśli nie zamierzasz jechać z nami.

— Nie zostawia się człowieka w środku pustyni.

— Ile razy mam ci powtarzać, że podrzucimy cię do najbliższej oazy? Stamtąd możesz wrócić autobusem do Algieru. Zresztą radź sobie, jak umiesz. Nie będę cię niańczyć.

— Okey. Zostanę tutaj.

— Zjedz przynajmniej obiad — wtrącił Ben wnosząc talerze.

— Nie chcę was narażać na dalsze koszty. Idę zabrać rzeczy. Powodzenia, Fred.

— Powodzenia, Dan. Chłopcy, siadamy do obiadu.

Daniel poczuł się tak głodny, jakby nie jadł od dwóch dni. Przełknął tylko ślinę i wszedł do ciężarówki. Półprzymtomnie pakował de- torby piżamę, przybory do mycia, wypraną wczoraj koszulę, drobiazgi, prezenty, których nie zdążył nikomu podarować. Jeszcze nie mógł uwierzyć, że tak nagle wszystko się odmieniło, ale już żałował, że uniósł się honorem i odmówił pojechania do Uargli, skąd powrót do Algieru rzeczywiście byłby łatwiejszy. Miał jednak zamiar jakoś dotrzeć do Blanki, wytłumaczyć jej całą tę nieszczęsną historię. Dwadzieścia kilometrów to znów nie tak wiele, mógłby tam zajść na piechotę, gdyby wyruszył jutro % samego rana. Tylko gdzie spędzić noc, gdzie coś zjeść? Może u tych nomadów, których poznał wczoraj?

Nie najprzyjemniejszy to nocleg, lepszy wszakże niż spanie bez śpiwora pod gołym niebem w temperaturze bliskiej zera.

Zamykał właśnie torbę na zamek błyskawiczny, gdy nadszedł Ben.

— Weź przynajmniej trochę zarcia — powiedział cicho. — Schowaj, nam doprawdy nie ubędzie. Fred dałby ci sam, gdyby nie był taki wściekły. Jutro zrobi mu się głupio, że cię tak potraktował. No, bierz, nie odstawiaj hrabiego.

— Dziękuję, Ben. Fajny jesteś.

— Masz trochę grosza? Starczy ci na bilet?

— Starczy.

— No to cześć!

Daniel wziął swoją torbę, na szczęście niezbyt ciężką, i wyszedł z obozowiska na szosę. Ruszył w kierunku wsi, chcąc po-100 kazać tamtym, że dopnie swego. Ale nikt nie wyrzwał z namiotu.

Odszedł więc kawałek i przysiadł na piasku, żeby przeczekać ich odjazd i zawrócić do koczowiska nomadów. Wyjął wałówkę, wsuniętą mu przez Bena, podzielił na dwie części, zjadł jedną, drugą zostawił na śniadanie. Bez kolacji będzie się można obejść.

Dwa samochody ciężarowe minęły go jadąc w kierunku Uargli. Pomyślał, że ostatecznie można liczyć na autostop. Miał jeszcze trochę pieniędzy, parę paczek papierosów, zabranych z Polski na wszelki wypadek. Nie zginie przecież tutaj. Pomimo ostatnich niepowodzeń wierzył w swoją szczęśliwą gwiazdę. Należało się tylko zastanowić, czy rzeczywiście iść do Blanki. Jeśli filmowcy tam bardzo narozrabiali, gotowa go po prostu wyrzucić za drzwi. Zresztą, cóż jej mógł powiedzieć? Najwyżej przeprosić za spowodowanie przykrości. Ale brnąć dwadzieścia kilometrów przez pustynię tylko po to, by przeproszać kobietę, którą się widziało raz jeden, i to krótko? W najlepszym razie przyjmie go nieufnie i odprawi z kwitkiem. Nie zna jego nazwiska, nie wie, kim jest. Zostanie w jej pamięci niemiłym znakiem zapytania.

Wypił trochę wody mineralnej danej mu przez Bena. Powoli wracał do równowagi. Żałował teraz, że nie bronił swoich interesów, nie stawiał żadnych wymagań, nie przypominał o pieniądzach, że dał się po prostu ogłupić przez zaskoczenie. To była metoda Freda: działać błyskawicznie i nie dać partnerowi czasu do namysłu. Trudno. Dostał jeszcze jedną nauczkę.

Położył na piasku wiatrówkę, wyciągnął się na niej, odpoczywał. Było rozkosznie ciepło i bezwietrznie, powieki kleiły się do snu. Zdrzemnął się sam nie wiedząc kiedy.

Zbudził go chłód. Liliowe cienie kładły się na pustyni od niewielkich wzgórków, od piaszczystych wydm. Słońce opadło nisko, toczyło się jak pomarańczowa kula tuż nad widnokregiem.

Daniel wstał i rażno ruszył do koczowiska nomadów. Po amerykańskich filmowcach nawet ślad nie pozostał. Poruszające się niedostrzegalnie fale piasku zatarły koleiny samochodów.

Dzieci wybiegły mu na spotkanie, chciały ponieść torbę. Nie mógł się porozumieć z nimi w żadnym języku. Zaszedł do tego samego namiotu, w którym pił kawę z Benem. Arab powitał go jak znajomego, lecz bariera językowa okazała się nie do

ania. Ani rusz nie mógł pojąć, czego chce Daniel. Posłał dzieci, żeby przywołały sąsiada, który trochę umiał po francusku, nie tyle zresztą, żeby zrozumieć dość zawiłą historię chłopca. Daniel zrezygnował więc z wszelkich subtelności i zapytał po prostu, czy mógłby przenocować w namiocie i uzyskać pomoc w dalszej podróży. Prośba jego wywołała zaskoczenie. Odkąd Arab sięgał pamięcią, żaden Europejczyk nie nocował pod derką jego namiotu. Może sprzeciwiało się to miejscowym obyczajom. Znowu posłał dzieci po kogoś ze starszyny. Dostojny, siwy, brodaty nomada powitał Daniela życzliwym skinieniem głowy, po czym wdał się w długą rozmowę z gospodarzem i drugim Arabem. Kobieta gotująca wodę przy ognisku poczęstowała Daniela ghasą, plackiem z mąki i daktyli upieczonym na ruszcie, dała mu gliniany garnuszek pełen miętowej herbaty. Uśmiechnęła się do niego jakby z macierzyńskim współczuciem. Mimo że niemłoda, miała na głowie bardzo jaskrawą chustkę, w uszach długie kolczyki na łańcuszkach, dźwięczące lekko przy każdym poruszeniu.

Narada trzech mężczyzn skończyła się wysłaniem dzieci po chłopca, który podobno dobrze znał francuski. Tak twierdził sąsiad.

— Zaraz przyjdzie Dżamal — odznajmił radośnie Danielowi. — Piętnaście lat. — Pokazał dla pewności na palcach. — Sierota. Od niedawna w obozie. Od śmierci ojca. Wypadek. Ach, okropny wypadek! Dżamal chodził przedtem do szkoły. Teraz pasie owce.

Ściemniło się zupełnie, gdy z głębokiego mroku nadszedł smukły chłopak i stanął w złotym blasku ogniska. Daniel pomyślał, że tak musieli wyglądać synowie szejków, romantycznych władców pustyni. Każdy ruch jego był pełen wdzięku, niewymuszonej harmonii, jaką daje sprężystość mięśni, swoboda na świeżym powietrzu, brak tłuszczowej podściółki, która powoduje ociężałość. Nosił dumnie głowę, czarne, smoliste oczy skrzyły się inteligencją.

Powitał ukłonem starszych, skinął lekko Danielowi, udając, że nie ma zielonego pojęcia, po co go tu wezwano, choć z pewnością dzieci wysłane po niego wszystko mu już zdążyły opo-102 wiedzieć. Wysłuchał w skupieniu mowy starca i krótkich pole-

ceń gospodarza. Raz jeszcze się skłonił i zwrócił do Daniela po francusku.

— Rad jestem, że mogę cię u nas powitać. Czcigodny pan tego namiotu byłby szczęśliwy mogąc ci ofiarować posłanie pod swoim dachem, ale, jak widzisz, namiot jest ciasny, a rodzina liczna. Prosi cię więc, abyś zechciał przenocować wraz ze mną i dwoma innymi chłopcami. O dalszej twojej podróży pomyślimy jutro. Różne drogi do Algieru prowadzą, krótsze i dłuższe. Można lecieć samolotem, można pojechać autobusem. Można zabrać się na ciężarówkę. Trzeba to wszystko rozważyć, w zależności od twoich chęci i możliwości.

Daniel starał się odpowiedzieć w tym samym stylu.

— Podziękuj czcigodnemu panu tego namiotu za jego uprzejmość i poczęstunek. Chętnie spędzę tę noc z rówieśnikami. Złóż mu w moim imieniu życzenia, żeby spał dobrze, żeby Allah zesłał mu piękne sny.

P-> & Ъ P a ~.

<rr-ł _m

ROZDZIAŁ 13

Nocleg okazał się niespodziewanie wygodny. Pod brezentowym namiotem, który zapewne służył jeszcze francuskim żołnierzom i kto wie, jakim cudem znalazł się w posiadaniu nomadów, leżały dwa materace piankowe i trzeci z trawy alfa, nabyte chyba niedawno w jednej z pobliskich oaz. Zsunięto te materace razem, tak że utworzyły legowisko dla czterech chłopaków. Dwaj okryli się swoimi derkami, Dżamał, jako gospodarz, odstąpił swoją Danielowi i owinał się burnusem.

Po północy chłopcy zerwali się na pierwszą modlitwę, rychło jednak wrócili i spali dalej. O brzasku znowu wstali, obmyli odrobiną wody twarz, dłonie i stopy, wyszli na modlitwę przed namiot. Daniel, teraz już rozbudzony na dobre, obserwował ich uważnie. Powtarzali pokłony, z których każdy składał się z siedmiu ruchów i siedmiu recytacji. Zaczynali stojąc, przyłożywszy dłonie do obu stron twarzy, jakby wzywali Stwórcę w skupieniu. Później składali mu głęboki ukłon. Prostowali się znowu, żeby paść po chwili na kolana i twarzą dotknąć ziemi. Podnosili się nieco, przysiadali, znowu padali na twarz. Na zakończenie recytowali tekst najdłuższy. I znowu zaczynali od początku.

Daniel wiedział, że pięciokrotne odmawianie modlitw obowiązuje każdego dorosłego i zdrowego muzułmanina, nie sądził jednak, by wszyscy tego obowiązku przestrzegali, by zrywali się w nocy o świcie, przerywali pracę w południe i w drugiej połowie dnia, kończyli modłami dzień o zachodzie. Podczas pobytu w Biskrze słyszał wprawdzie głos muezzina, śpiewnie wzywającego wiernych do modlitwy, ale uważał to za pozostałość dawnych zwyczajów, za coś na kształt hejnału mariackiego; nie zauważył też, by na znak muezzina zamierał ruch w miasteczkach i wszyscy zwracali się twarzą w stronę Mekki.

Dopiero tutaj Daniel uświadomił sobie, jak bardzo islam związany był z naturalnym środowiskiem jego wyznawców. Gdyby

ci(chłopcy zerwali się o świcie na modlitwę w nowoczesnym bloku, bili czołem o powleczony lakierem parkiet i podnosząc oczy widzieli przed sobą orzechową szafę, cały ten rytuał nie miałby sensu. Ale tutaj skłaniali czoło przed potęgą pustyni, przyrody, bóstwa, którego prawa są niepojęte, korzyli się przed niewypowiedzianym pięknem wstającego dnia.

Kiedy trochę zziębnięci wrócili do namiotu, Daniel poczęstował ich połową prowiantów otrzymanych od Bena. Dżamał sprawiedliwie podzielił je na cztery porcje. Długo żuli każdy kęs, cmokając z uznaniem.

— Dawno tak się nie najadłem — stwierdził Dżamał przełknąwszy ostatnie okruszyny. — Oby Allah darzył cię wszelką pomyślnością.

W dziennym świetle Daniel spostrzegł z przerażeniem, że piękne oczy arabskiego chłopca były bardzo chore. Zaczerwienienie spojówek, obrzmienie powiek, ropa zbierająca się w kącikach — wszystko to świadczyło o zastarzałym stanie zapalnym, a białawe zgrubienia na niebieskawych białkach budzić musiały tym większy niepokój. Zapytał Dżamała, czy zasięgnął porady lekarskiej.

— Niestety. Trzeba by pójść do miasta, wyczekiwać w kolejce, bo do lekarza trudno się dostać, zapłacić za poradę... Ja nie mam ani dinara.

— Słuchaj! — palnął Daniel bez zastanowienia. — Jedź ze mną do Algieru. Mam tam znajomą lekarkę. Przepisze ci leczenie. Może zatrzyma w szpitalu, jeśli to okaże

się konieczne.

— Do Algieru jest stąd więcej niż tysiąc kilometrów. Bilet autobusowy drogo kosztuje. Autostopem byłoby taniej, ale też nie za darmo... Trzeba by gdzieś zatrzymać się na noc, coś jeść po drodze... A w Algierze także znaleźć jakieś schronienie, bo o przyjęciu do szpitala nie ma co marzyć, setki ciężko chorych nie znajdują miejsca... A jak potem wrócić do swoich, gdzie ich odnaleźć, przecież nie będą czekać na mnie, muszą iść dalej z trzodami, więc gdybym raz odłączył się od nich, kto wie, czy jeszcze kiedykolwiek bym ich spotkał? I cóż bym począł sam jeden na świecie?

— Choroba sama nie minie. Możesz stracić wzrok.

— Ślepemu każdy da jałmużnę. Oby Allah oszczędził mi tego...

— Pomówmy z tym starcem, który wczoraj cię wezwał.

— Z Abdelazizem? To człowiek mądry i czcigodny, ale nie zna miejskiego życia, nie potrafi mi nic doradzić. W każdym razie nie dzisiaj, bo dzień mamy uroczysty. Wesele. Pieczenie barana. Kus-kus dla wszystkich.

Na myśl o tym rozpromienił się, jakby uczta weselna była ważniejsza od jego zdrowia i całej przyszłości.

— I ty dostaniesz miseczkę — zapewnił Daniela. — Skoro Allah zesłał cię akurat na ten dzień, przyniesiesz szczęście nowej rodzinie. Gość z daleka wróży nieoczekiwaną pomyślność.

— Chciałbym dać jakiś upominek młodej parze. Czy sądzisz, że taka chustka byłaby dobra? — wyjął z torby cepeliowską białą chustę wełnianą w czerwone róże, którą matka dała mu „na wszelki wypadek” z innymi drobiazgami. „Gdzie jak gdzie, ale w Algierii będziesz miał wiele okazji do dawania prezentów” — twierdziła. Myślał, że ofiaruje ją Blance, ale nie zdążył... Teraz chustka mogła spełnić swoje przeznaczenie.

— Cudowna! — cmoknął Dżamal. — Tylko...

— Tylko co?

— Na pewno wiesz, nie potrzebuję ci tego mówić, pozwalam sobie jedynie przypomnieć, że należałoby wręczyć upominek nie dziewczynie, lecz jej mężowi, aby go jej oddał.

— Naturalnie...

— Dżundia urodziła się pod szczęśliwą gwiazdą. Nie ma jeszcze czternastu lat, a już ją wydają za męża. I to za kogo! Za Ahmeda Bisuri, przewodnika karawany, właściciela dwustu wielbłądów.

— Gdzie go poznała?

— Jak to: poznała? Dzisiaj go zobaczy po raz pierwszy. Rodzice jej wszystko ułożyli z matką Ahmeda, który przyjdzie w południe i przywiezie prezenty. Noc najbliższa będzie Nocą Henny, lajlat al-hanna. Wykąpią pannę młodą, natrą jej dłonie i stopy henną, będą tańczyć przy ognisku.

— Kto będzie tańczył?

— Dżundia z przyjaciółkami. My, mężczyźni, upieczemy 106 w tym czasie barana. Dużego, tłustego barana.

W całym obozów isK g, panowało wielkie ożywienie. Myto dzieci, ubierano je odświętnie, przykazując surowo, żeby się nie zabrudziły, robiono jaki taki porządek dookoła namiotów, kobiety wносиły na dwór najbarwniejsze chustki, najładniejsze

stroje. Mężczyźni siedzieli oparci o żerdki przytrzymujące w dole płachtę namiotu i czekali na przybycie narzeczonego. 107

Dżamal z Danielem podeszli bliżej szosy, żeby lepiej się przyjrzeć Ahmedowi. Przybył konno w towarzystwie kilkunastu jeźdźców. Smagłą twarz miał owiniętą białym zawojem, spadającym na równie białą szatę. Jego towarzysze nosili brunatne burnusy. Wszyscy uzbrojeni byli w stare, posrebrzane strzelby i sztylety w nabijanych srebrem pochwach, niby to skrytych w fałdach szat, lecz stanowiących dumę i chlubę rycerzy pustyni.

Podjechali kłusem do starszyny, osadzili konie w miejscu, zwinnie zeskoczyli, zaczęły się powitania. Daniel widział z daleka, jak na znak pana młodego jeden z jeźdźców podał spore zawiniątko. Ahmed wręczył je ojcu Dżundii, który przy wszystkich oglądał podarki, kiwał głową, rozpływał się w uśmiechach i podziękowaniach. Szerokim gestem zaprosił mężczyzn do swojego namiotu. Nad ledwo żarzącym się ogniskiem wisiał na trójnogu kociołek ze smakowicie pachnącym jadem. Gospodyni wraz z córkami jakby zapadła się pod ziemię. Jadła pilnował chłopak w wieku Dżamala. Ojciec panny młodej sam zaczął częstować gości.

— Nas jeszcze nie zaproszą — westchnął Dżamal. — Dopiero wieczorem...

Chodźmy popatrzeć, już przyrządzają barana.

Byli chyba ostatnimi z gapiów, którzy przyszli zobaczyć, jak powieszono zabite zwierzę na wysokim drągu, jak ściągnięto skórę i rozplątano mu brzuch. Dymiące świeżą krwią wnętrzności rzucono do misy, którą podstawiła stara kobieta w czarnym zawoju i kwiecistej szacie. Siwy, brodaty Arab pochylił się, kolejno ujął w dłoń serce, wątrobę, nerki, po czym zawyrokował, że wszystkie organa są zdrowe, co wróży dobrze młodej parze.

Kobieta chwyciła misę i podreptała z nią gdzieś między namioty.

— Będzie z tego kus-kus — szepnęła Dżamal spoglądając na słońce, które stało jeszcze wysoko.

Natarto barana solą i czosnkiem, posypano jego wnętrze ziołami. Związano tylne nogi, związano przednie. Między supły wetknięto długi rozen i umocowano go na krzyżakach po dwóch 108 stronach przygotowanego ogniska.

;— Chodźmy teraz wręczyć upominek — zaproponował Dżamal.

Zastali mężczyzn przed namiotem. Siedzieli na ziemi syci, zadowoleni z siebie.

Chłopak w imieniu Daniela wygłosił orację, którą starsi przyjęli z pewnym rozbawieniem. Ahmed podziękował po francusku. Zapytał, z jakiego kraju Daniel przybywa.

— Z Polski.

Nie wiadomo, czy dokładnie wiedział, gdzie ten kraj leży, lecz stwierdził, że jest piękny, a mieszkańcy jego słyną z dzielności. Był to zapewne w jego pojęciu największy komplement.

Cepeliowska chusta została przyjęta z aplauzem. Obu chłopców zaproszono na pieczenie barana, po czym wrócono do przerwanej rozmowy, nie zwracając na nich najmniejszej uwagi. Dżamal siadł w pewnej odległości, żeby się nie narzucać, ale żeby też słyszeć dokładnie, o czym mowa.

Ahmed opowiadał istotnie o czymś pasjonującym. Niedaleko In Salah natrafili na

szczątki karawany, która musiała zginąć w burzy piaskowej. Wygrzebano z wydm czaszki i piszczele, kości ludzi i wielbłądów, strzępy tkanin i smętne resztki towarów. Należał się tym ludziom uczciwy pochówek, lecz Ahmed spieszył się bardzo, więc wygrzebano niegłęboki dół i wrzucono do niego pobielale kości. Na noc zatrzymali się w karawan-seraju, dobrze nawet utrzymanym, zasobnym w wodę i żywność dla ludzi i zwierząt. Ahmed z bratem spał w pokoiku obok stajni.

— I co powiecie? — mówił na tyle wolno, że jego słowa Dżamal mógł mniej więcej tłumaczyć Danielowi. — W nocy przyszedł do mnie przewodnik zasypanej karawany z czaszką pod pachą. Kaptur burnusa był pusty, w czaszce oczodoły jarzyły się ogniem. Ostrzegając: „Jeśli mi nie sprawisz należytego pogrzebu, nim rok minie, twoje kości rozsypią się w piasku pustynnym”. Nazajutrz kazałem zawrócić i spełniłem wolę zmarłego.

— I słusznie uczyniłeś — pochwalił go starzec, nazwany przez Dżamala Abdelazizem.

— A może to był ghul, który chciał cię sprowadzić z drogi, żeby cię zabić i pożreć?

— zapytał inny Arab. — Wiadomo 109

przecie, że ghule żywią się trupami, mógł więc, nasyciwszy się tamtą karawaną, przyjść po ciebie.

— Skądże, czcigodny Kalebie! Ghule zjawiają się zwykle pod postacią kobiet, a spłodzone są przez szatana z niewiastą zrodzoną z ognia i wylęgają się z jaj. Zresztą gdy tylko pochowałem jak należy tamtych, nic mi się złego nie stało i noce miałem spokojne.

— Myślę, że był to raczej ifrit — stwierdził z powagą Abde-laziz. — Dusza człowieka, który zginął nagłą śmiercią i nie został pochowany.

Wdali się w długą dyskusję o dzinnach, które mogą przybierać różne postacie, zwłaszcza na pustyni. Dżamal przestał tłumaczyć: przerastało to jego znajomość francuszczyzny.

— Czy oni naprawdę wierzą w te duchy? — zapytał Daniel.

— Nikt nie może przysiąc, że nie istnieją. Ale mało kto jest pewien ich istnienia. Na wszelki wypadek lepiej im się nie narażać.

— A co mówi na ten temat Koran?

— Zapytaj o to imama.

— Zdawało mi się, że znasz cały Koran na pamięć.

— Znałem. Ale gdy po śmierci ojca musiałem pasać kozy, święte słowa zaczęły się zacierać w mojej pamięci. Jedno wiem: że istnieje pięć kategorii czynów: obowiązkowe, zalecane, dozwolone, naganne i zabronione. Dopiero na tamtym świecie człowiek otrzymuje za swe czyny karę lub nagrodę.

— Chciałbyś się uczyć? /

— Kto by nie chciał? Mówiono kiedyś, że Allah obdarzył mnie wielkimi zdolnościami: pamięcią, łatwością pięknego wysławiania, muzykalnością, ułożeniem ręki do kreślenia liter i wersetów Koranu... W szkole publicznej byłem najlepszy w matematyce i francuskim. Pasienie kóz, aczkolwiek sprzyja rozmyślaniom, oddala człowieka od prawdziwej wiedzy...

Mówił to z zabawną powagą, ale że słów jego przebijał szczery żal za innym życiem.

— Może w Algierze uda się coś dla ciebie zrobić, żebyś mógł tam zostać i chodzić

do szkoły — powiedział Daniel myśląc o Romku, który chyba nie odmówiłby mu pomocy. Dżamał tylko

110 westchnął. Nagle twarz jego poweselała.

— Spójrz, już rozpalili ognisko!

Mężczyźni też to spostrzegli, przerwali rozmowę o dzinnach i bez pośpiechu, z godnością ruszyli w kierunku ognia. Po przeciwnej stronie obozu, już na skraju pustyni, rozniecono inny ogień.

— Rozgrzewają nad nim bębny, żeby skóra zmiękła i wydawała ton bardziej dźwięczny, bardziej doniosły — objaśnił Dżamał. — Niedługo zaczną się tańce. Niech tylko się ściemni.

— Chciałbym je zobaczyć.

— O, nie, to niemożliwe! Dziewczęta muszą pozostać same. Tylko niewiastom wolno na nie patrzeć.

Zapach pieczonego mięsa pobudzał apetyt. Po skąpym śniadaniu i całodniowym poście Daniel był piekielnie głodny. Czekał niecierpliwie na zapowiadzaną ucztę. Ahmed opowiadał o przygodach, jakie stały się udziałem jego karawany podczas ostatniego transportu soli do Sudanu. W pewnej chwili — jakby chcąc uhonorować Daniela — rzucił w jego stronę po francusku:

— W jednym tylko roku wielka azalaj, czyli karawana, która wyruszyła z Biskry, przewiozła na trzydziestu tysiącach wielbłądów aż dwa tysiące pięćset ton soli. Przeciętnie każdego roku karawany wywożą z Sahary sól wartości pół miliona dolarów, dostarczając za to mąkę, zboże i orzeszki ziemne.

— Czy nie łatwiej byłoby przewozić je ciężarówkami?

— Na północy tak. Ale gdybyś widział, jak jest na południu Sahary... Tam gdzie góry, skały, piasek i brak wody... Gdzie raz po raz zrywają się wichry i burze... Tam tylko wielbłąd jest pewnym środkiem transportu. Maszyny psują się, piasek niszczy wszystko...

Dwaj nomadzi co pewien czas obracali barana, żeby piekł się równomiernie ze wszystkich stron. Odezwały się głośno bębny, ogień strzelił w górę, lecz tańczących dziewcząt nie było stąd widać. Ahmed podjął nową opowieść mrożącą krew w żyłach. O tym, jak musiał kiedyś odbyć podróż z In Salah do Taman-rasset — samolotem. W dwie godziny przebył odległość, którą karawana pokonuje w wiele dni.

— Ale to było straszne — mówił powoli, a Dżamał tłumaczył jego słowa. —

Lecieliśmy nad górami, nad chmurami, stalowy 111

ptak wył i świstał, parskał ogniem. Powierzylimy dusze Allahowi... Dziw, że wyszedłem z tego cało.

Baran dopiekał się nad czerwonym żarem. Bracia panny młodej przydźwigali kociołek z kus-kusem: kasza była tłusta, pełna kawałków serca, wątroby i nerek baranich. Ojciec Dżundii nakładał każdemu porcję do miseczki. Resztę chłopcy odnieśli kobietom i dzieciom.

Na koniec baran był gotów, cały rumiany, z chrupiącą skórką. Przyniesiono go na miejsce uczyty i ustawiono znowu na krzyżakach. Każdy z mężczyzn podchodził kolejno, odrywał ręką kawał mięsa, kładł na kromce chleba przywiezionego, przez Ahmeda i przyprawiał czosnkiem rozartym z oliwą. Zagryzano wąskimi, zielonymi

strąkami ostrej papryki. Tłuszcz ściekał po palcach i brodach, kapał na piasek. Mężczyźni nasyciwszy się dali znak, by mocno już obdartego z mięsa barana odniesiono kobietom, żeby i one posmakowały chociaż po kawalátku i obdzielily dzieci. Jeden tłusty baran dla całego koczowiska — to nie było znowu tak wiele! Obmyto dłonie w ciepłej wodzie i zabrano się do słodyczy, które popijano herbatą. Rozmowa toczyła się coraz sennie. Nie czekając, aż dorośli się rozejdą, chłopcy poszli spać. Dżamal przed snem jeszcze odmówił modlitwy, o których w ciągu dnia jakby zapomniał.

Nazajutrz odbyły się zaślubiny. W obecności rodziców Ahmed podszedł do dziewczynki zakutanej w białe/Szaty i na jej małą rączkę wsunął ślubny 'pierścionek, mamrocząc jakąś rytualną formułkę.

Stojący z boku Daniel zauważył, że ręce i stopy Dżundii pomalowane były henną na kolor pomarańczowy.

Ucztowano znowu do północy, z jeszcze większym apetytem i wesołością. Państwo młodzi po raz pierwszy mieli się znaleźć sam na sam.

Ahmed wcale nie był młody, skończył już czterdziestkę, pochował dwie żony, miał z nimi gromadkę dzieci. Od następnego dnia Dżundia miała przejść pod władzę teściowej, która niepodzielnie rządziła gospodarstwem syna, jego dziećmi i służącymi. Tylko starsi chłopcy znajdowali się już pod opieką ojca. 112 Obie kobiety wyruszyły na wielbłądach pod małymi namio-

tami. Wielbłąd Dżundii dźwigał także całą jej wyprawę i upominki ślubne. Nie było tego wiele. Towarzysze Ahmeda otoczyli kobiety ukryte w cieniu namiotów.

Daniel odprowadzał wzrokiem ten orszak, myśląc znowu o małej tancerce, o Blance, o zmiennych kolejach losu. Dżamal zaczął się niecierpliwić. Wreszcie powiedział: — Teraz już można by porozmawiać z Abdelazizem o podróży do Algieru!

ROZDZIAŁ 14

W rozmowie z Abdelazizem okazało się, że Dżamal nie wiadomo jak i kiedy uzyskał od Ahmeda dokładne informacje o sposobach najszybszego dotarcia do stolicy.

Wiedział nawet, ile kosztuje bilet autobusowy z Ghardai, bo przez Ghardaię należało jechać, to była najkrótsza droga.

Trudno powiedzieć, że Daniel żałował teraz pochopnej propozycji zawiezienia Dżamala na leczenie, lecz jeden bilet z Ghardai do Algieru kosztował mniej więcej tyle, na ile opiewały czeki wręczone przez Szymona, czeki, które można było zrealizować w Biskrze czy innym większym ośrodku turystycznym, a które tutaj, na pustyni, nie miały praktycznie żadnej wartości. Ostatnią deską ratunku pozostawał więc autostop, lecz Abdelaziz odnosił się do tej możliwości nader sceptycznie.

— Za darmo nikt cię nie zabierze. Musisz choć trochę zapłacić.

— To znaczy ile?

Abdelaziz uniósł dłonie w górę i stwierdził:

— Allah raczy wiedzieć.

Mówili tylko o sposobach dotarcia do Algieru, jakby sprawą całkiem zrozumiałą była sama konieczność wyjazdu. Najwyraźniej nomadzi chcieli się pozbyć Dżamala, który trafił do nich tylko dzięki jakimś niejasnym okolicznościom i nie zdradzał zamiłowania do pasienia kóz. Był zarazem kimś lepszym i gorszym od swoich rówieśników. Ciągłe podkreślał, ile to się nauczył w szkole, z drugiej strony jednak

brakło mu doświadczenia i hartu chłopców, którzy od urodzenia żyli w koczowniczej gromadzie. Jednym słowem — stanowił obcy element w tym bardzo jednolitym, bardzo zgranym i zwartym środowisku. Daniel nie mógł dociec, jakiego rodzaju więzy pokrewieństwa łączyły Dżamala z Abdelazizem, jakieś więzy krwi istniały na pewno, były jednak na tyle dalekie, że i chłopak pragnął wyrwać się spod opieki starca, i sam starzec nie poczuwał się do zbyt wielkich obowiązków wobec sieroty.

Wprawdzie po kuracji w Algierze chłopak miał niby powrócić do nomadów, ale chyba nikt w to nie wierzył. Tak więc rzecz sprowadzała się jedynie do tego, kiedy i jak wyruszyć w podróż.

Ahmed zapewniał, że w najbliższym czasie powinna przejeżdżać tędy niewielka karawana jego stryja, mogliby się z nią zabrać. Trudno było wszakże określić termin tego przejazdu oraz jego trasę, Beduini bowiem równie dobrze mogli ciągnąć szosę, co szlakiem pustynnym o kilka kilometrów od niej. Zresztą i oni nie zabraliby chłopców na piękne oczy, domagaliby się jakiejś zapłaty, przy czym obietnica uiszczenia jej po zrealizowaniu czeków w Ghardai nie przemówi nikomu do przekonania.

Daniel wreszcie zdecydował, że wyjdą na szosę i postarają się złapać jakąś okazję do Ghardai. Przedtem jednak prosił, by za różne drobiazgi, które wyszukał w podróźnej torbie, a nawet za mniej potrzebne części garderoby, dano im trochę prowiantów na drogę. Dżamal pośredniczył w tej transakcji, zawzięcie targując się o każdy przedmiot z osobna; trwało parę godzin, zanim uzyskali zapas daktyli i podpłomyków. Był najwyższy czas wyruszyć w podróż, bo koczownicy zwijali obozowisko i szli dalej w poszukiwaniu trawy i wody dla owiec i kóz.

Rozstano się z obustronnym zadowoleniem, bez zbytej wylewności, wszystkim nagle zaczęło się spieszyć, chłopcy nie kryli uciechy z przygotowań do wyjazdu, starszyzna nie tała, że lżej będzie bez Dżamala.

Tak więc w południe Daniel z towarzyszem siadł na poboczu szosy, przekonany o realności swoich planów. Miał przecież jeszcze papierosy, niezły środek płatniczy dla Europejczyków i mniej prawowiernych muzułmanów.

Dzień był trochę przymglony, niezbyt ciepły, w sam raz na podróż, ale i na czekanie, można było mniej pić, oszczędzało się zapasy. Zerwał się słaby wiaterek, zacierając ślady obozowiska. Choć Daniel miał wrażenie, że nomadzi odchodzą bardzo wolno, po godzinie stracił ich całkiem z oczu. Pozostali tylko we dwóch na bezmiernym obszarze pustyni.

115

Ani jeden samochód nie przejechał w stronę Ghardai. Do El Golea natomiast przemknęło kilkanaście aut i ciężarówek, utwierdzając Daniela w przekonaniu, że jednak jest ruch na szosie, że prędzej czy później nadarzy się oczekiwana okazja.

Czas mijał, wiatr przybierał na sile, piasek zgrzytał w zębach, drażnił powieki.

Dżamal otulił twarz zawojem. Daniel wyciągnął z torby lnianą ścierkę w bardzo barwny kwiatowy deseń i też osłonił się od wiatru, choć zdawał sobie sprawę, że wygląda nieco śmiesznie. Słońce świeciło wprawdzie, lecz jakby przez muślinową zasłonę, w powietrzu bowiem unosiły się ziarenka piasku, zasnuwając powoli widnokrąg, tworząc na asfalcie maleńkie, ruchliwe smugi.

Chłopcy sięgnęli po zapasy jedzenia, oszukali głód, popili odrobiną herbaty. Zdawało

się, że nikt już późnym popołudniem nie będzie jechał z El Golea, kiedy nagle ukazała się ciężarówka załadowana kopiato, sunąca ostrożnie i wolno. Zatrzymała się na znak Daniela. Kierowca wychylił się z szoferki.

— Jadę niedaleko, do najbliższej oazy, sto kilometrów stąd. Daniel podniósł w dłoni carmeny.

— Może być — powiedział kierowca. — Siadajcie.

Dżamał wdał się z nim w rozmowę i powiedział Danielowi, że oaza znajduje się bok od szosy, więc lepiej będzie wysiąść w miejscu, gdzie boczna droga odchodzi od autostrady. Kierowca jednak zachęcał, żeby pojechali do oazy, bo wiatr się wzmaga, trudno w takich warunkach nocować na pustyni.

— Przecież nas nie zawieje! — zażartował Daniel. — Pamiętasz, co opowiadał Ahmed o zasypanej karawanie?

— Oby Allah miał nas w swej opiece.

— Jeśli nawet będziemy musieli przespać się przy szosie, z samego rana łatwiej będzie o okazję. Mało kto wyrusza w drogę po południu.

— I to prawda.

Wysiedli więc, lecz zaraz pożałowali i jęli machać na odjeżdżającego kierowcę, który albo tego nie zauważył, albo nie chciał się już zatrzymać. Wiatr dał teraz z całą siłą, na asfalcie tworzyły się niewielkie zasy, ale nie wszędzie, miejscami powierzchnia była wydmuchana do czysta. Daniel zrozumiał już, 16 dlaczego kierowca jechał tak ostrożnie.

Zrobiło się chłodno, wiatr przenikał do szpiku kości, piasek coraz bardziej kłuł w oczy, noc nadchodziła wcześniej niż zwykle, bo słońce nikło za piaszczystą mgłą.

— Musimy przeczekać do rana — westchnął Dżamał. — Ale miłe to nie będzie.

Siądź przy mnie. Owiniemy się moim burnusem. Osłonimy się trochę twoją torbą i moją sakwą. Słyszysz, jak skowycze?

— Kto? — przestraszył się Daniel. — Jakieś zwierzę?

— Wiatr i piasek.

Godziny wlokły się powoli. Chłopcy trochę przysypiali, lecz budził ich chłód, dokuczająca niewygodna pozycja.

— Może byśmy się położyli? — zaproponował Daniel. — Nogi mi już ścierpły.

— To przejdź się trochę. Leżeć nie wolno.

— Dlaczego?

— Zaśniesz mocno, piasek cię przysypie.

— Co ty pleciesz! Poczuję, obudzę się, odgarnę go i cześć!

— Tak ci się tylko zdaje. Zobacz, nasze torby już są w piachu. Zasypane do połowy.

— Nic nie widzę. Ciemno choć oko wykol.

— Dotknij.

— Rzeczywiście!

Strach nie pozwalał mu już zasnąć. Drzemał tylko chwilami, lecz budził się niespokojny, otrząsał z piasku, dygotał z zimna i wzdychał, żeby się wreszcie rozwidniło. Dziwna rzecz, w ciągu tej długiej nocy nie myślał właściwie o niczym, pragnął jedynie, by znowu nastał dzień.

O świcie wiatr nagle zacichł, spadło parę kropel deszczu. Od strony El Golea doszedł szum silnika. Chłopcy zerwali się, strzepnęli z siebie piasek. Warkot wzmagał się

powoli, jakby pojazd zbliżał się w żółwym tempie.

Wreszcie go spostrzegli. Był to zamiatacz piasku. Zgarniał go z jezdni jak śnieg.

— Hej, chłopcy, przesiedzieliście tu całą noc? — zapytał kierowca, gdy znalazł się o kilka metrów od nich. — Nie zawiąło was?

— Jak widać — odparł Dżamal. — Niech Allah ma nas w swej opiece.

117

— „r” Mogę was podwieźć do wioski. Ze dwadzieścia kilometrów Ta* n zawracam do bazy w El~Golea.

— /— Dobrze i to.

— Wsiąfcejcie. Zapaliłbym, ale pewno nie macie papierosów.

pżamal przetłumaczył jego pytanie.

v— Znajdą się — odparł Daniel wyciągając paczkę carmenów- — Nie, my nie palimy — dorzucił po francusku, kiedy kierowca poczęstował go z uśmiechem.

w— Obcy? Z jakiego kraju? — szofer zwrócił się po arabsku do Dżamala. Chłopak coś mu tam paplał po swojemu. W ciepłe szoferki Daniel poczuł taką senność, że omal nie usnął. Ale czas ju# było wysiadać.

Wioska składała się z kilkunastu budynków i kilkudziesięciu pałm skupionych wokół studni i niewielkiego zagłębienia terenu- Na dnie zgromadziło się nieco mętnej wody, nad którą drgała w słońcu chmura drobnych muszek.

po lewej stronie, obwiedzony murem, stał odrapany zajazd dl# podróżnych.

/— Niegdyś był tu piękny karawanseraj — opowiadał kierowca Dżamalowi, który to pokrótce tłumaczył. — Ale teraz nie ma dla kogo prowadzić. Karawan coraz mniej, zresztą chodzą raczej szlakiem pustynnym, nie szosą. Ciężarówki robią długie kursy, zatrzymują się w większych oazach. Tutaj mało kto zagląda, a jeżeli już, to dla Meliki.

— Do tej Meliki, która po śmierci ojca sama prowadzi zajazd? — zapytał Dżamal.

— Opowiadał o niej Ahmed. Podobno chodzi w spodniach i umie prowadzić samochód.

— Takie to i prowadzenie! Własnego wozu nie ma, tyle że czasem jakiś kierowca pozowli jej sięść za kółkiem, kiedy jadą sobie na małą przejażdżkę do szałasu. Bo w domu siedzi matka, która trochę tej Meliki pilnuje, żeby ludzie za bardzo sobie nie strzępili języków. Ale kto im gębę zamknie? Za życia ojca Melika była u krewnych w Tuggurcie, chodziła do szkoły razem z chłopcami, nie nosiła haiku, nie zasłaniała twarzy. Miała zostać pielęgniarką. Widzicie ją? Już nas zaprasza do siebie.

W bramie, z której miejscami odpadała pobielona glina, stała kobieta lat około dwudziestu, z włosami swobodnie spuszczone-

mi na ramiona, z twarzą o wystających kościach policzkowych, nieco spłaszczonym nosie i ogromnych; czarnych oczach. Miała na sobie kwiecistą, jaskrawą sukienkę, podkreślającą krągłość bioder i smukłość talii. Uśmiechała się błyskając białymi zębami, kiwała wesoło ręką na powitanie.

— Chodźmy! — kierowca zatrzasnął drzwi szoferki. — Moglibyście zostać tutaj do jutra. Dziś już mała nadzieja, żeby ktoś przyjechał, bo ludzie boją się piasku, ale jutro targ po sąsiedzku, powinien przyjść autobus. Witaj, Meliko! Przywiozłem ci gości.

— Rada jestem każdemu. A najbardziej tobie. Dawno tu nie zaglądałeś.

— Piasku nie nawiało, szef mnie nie wysyłał. Dopiero dzisiaj w nocy trochę sypnęło.

- Wejdźcie, zrobię wam kawy lub herbaty.
- Nie, daj piwa. Jeśli masz jeszcze ze starego zapasu...
- Dla ciebie zawsze się znajdzie, Jusufie. A co dać chłopcom?

119

Dżamal poprosił o herbatę. Zapytał, czy mogliby się trochę obmyć.

— Na podwórzu jest kran. Macie czas, zanim woda się zagotuje. Przejdźcie tędy, obok izb gościnnych.

Podwórze było obszerne, czworoboczne, niegdyś przeznaczone na postój karawan. Pod szopą, krytą liśćmi palmowymi, mogło pomieścić się kilkadziesiąt koni i wielbłądów. Teraz w wyschniętym nawozie grzebały kury. Po prawej stronie dziedzińca znajdowała się letnia kuchnia z rusztem na węgiel drzewny i paleniskiem, nad którym zardzewiał już wielki rożen. Niegdyś pieczono na nim całe barany. Kran z wodą, ręcznie pompowaną ze studni, mieścił się opodal kuchni, na betonowym brodziku, połączonym żelazną rurą z bajorkiem przed zajazdem. Nie marnowała się nawet kropla wilgoci, wszystko wypijały palmy osłaniające zajazd. Daniel po raz pierwszy od wielu dni umył się porządnie, włożył czystą bieliznę i przeparał brudną. Rozwiesił ją na sznurze między dwoma palikami, pozostawionymi ku wygodzie podróżnych. Wrócili do obszernej izby, której jedyną ozdobę stanowiły fajansowe płytki, białe w niebieski deseń, tworzące szeroki szlak w połowie ścian i nad małymi okienkami w grubym na pół metra murze.

Jusuf siedział przy stoliku, popijał piwo i przekomarzał się z Meliką, która na widok chłopców zerwała się, by podać herbatę.

Wyciągnęli zapasy jedzenia. Z rozkoszą pili gorący, pachnący miętą, słodkawy napar.

— Skąd jesteś? — zagadnęła Melika patrząc na Daniela.

— Z Polski.

— Poznałam kilku Polaków. Mechaników. Pracowali w El Golea, w In Salah. Mili, hojni goście. A ty masz pieniądze? Jeśli masz, to ugotuję wam wspaniały obiad.

— Pieniądzy wiele nie mam — odparł również po francusku Daniel. — Ale może zgodzisz się nas nakarmić i przenocować za coś, co właściwie jest znacznie więcej warte i czego pozbywam się tylko z konieczności. — Mimo woli naśladował styl Dżamala. — Spójrz, jakie piękne bursztyny. — Wyjął z torby

120 jeszcze jeden „upominek na wszelką okazję”.

— Pokaż! — Melika chwyciła bursztyny i przyglądała im się uważnie. —

Wprawdzie co pieniądz to pieniądz, a korale i paciorki nie są do życia niezbędne...

— Oczywiście. Tylko zamożne kobiety mogą sobie pozwolić na ozdoby w tej cenie. Albo takie niewiasty, których uroda budzi zachwyt mężczyzn i rozwiązuje im sakiewki — dorzucił Dżamal. — Włóż na szyję i przejrzyj się w lustrze. Wyglądasz cudownie.

Melika podeszła do lustra wiszącego we wnęce okiennej. Na krągłej, smagłej szyi młodej kobiety żółte bursztyny jakby nabrały blasku, prezentowały się wspaniale.

— Nikt nie ma tutaj takiego naszyjnika. Prawdziwa ambra z dalekiej północy.

Rzadki klejnot.

- Jak ci się podobam? — Melika zwróciła się do Jusufa.
- Mnie się zawsze podobasz.
- Ale ja pytam, czy ten naszyjnik wart porządnego obiadu?
- Z pewnością — potaknął Jusuf. — Obiadu dla nas trzech. I tak dobrze na tym wyjdiesz, choćbyś go miała nie nosić. Odsprzedasz z zyskiem. Ale nie rób tego, bo bardzo ci w nim ładnie. Ambra podkreśla twoją urodę.
- I zapewnia powodzenie w miłości — dorzucił Dżamal z powagą.
- Dużo się na tym znasz! Szczeniak jesteś.
- Wiem od babki z gór Tassili. Nazywan 5 ją kahiną. Wiedziała, jaki kamień komu szczęście przynosi, знаła tajemnice metali, koralu i ambry. Kiedy byłem mały, pomagałem jej zbierać i suszyć zioła.
- Ejże, pewno zmyślasz.
- Jak pragnę być zdrowy, Meliko. Moja matka urodziła się wśród Tuaregów, wiodła żywot kobiety wolnej, nigdy nie zasłaniała twarzy, potrafiła strzelać z fuzji, polowała, gdy nam głód dokuczył...
- Weź naszyjnik i zrób nam obiad — poparł Dżamala kierowca. — Nie musisz z tym tak zwlekać. Wszyscy zjedlibyśmy coś smakowitego.
- Niech stracę! — westchnęła Melika. — Zgadzam się tylko ze względu na ciebie. Zęby nie sprawić ci przykrości, żeby do- 121
godzić gościom, których mi przywiozłeś. Obiad będzie niebawem, bo, prawdę mówiąc, ugotowałam go wczoraj. Miałam przecucie, że przyjedziesz. Śnił mi się wielki kogut...
- Przyznaj się, że głos serca ci to podszeptał — uśmiechnął się Jusuf. — Chłopcy, macie tam jeszcze papierosa? — całkiem zapomniał, że Daniel dał mu w drodze paczkę carmenów.
- Tym razem Dżamal przejął papierosy z rąk Daniela i poczęstował kierowcę tylko jednym. Arab zaśmiał się i powiedział coś, czego chłopak już nie przetłumaczył. Melika nie spieszyła się do kuchni. Spoglądała zalotnie na Jusufa.
- Przejedziemy się po obiedzie?
- No pewno! — dmuchnął dymem na pół sali. — Cóż wart obiad bez przejażdżki?
- Pozwolisz mi poprowadzić?
- Jak zwykle. Chociaż nie wiem, co ci z tego przyjdzie. Sąsiadki obgadają cię, że jeździsz z mężczyzną...
- Nie powiedzą nic gorszego, niż mówią dotąd. A będą mi zazdrościć. Tyle przynajmniej będę miała uciechy. Bo nie rozmawiają ze mną. Odwracają się na mój widok.
- Mało na tym tracisz.
- Tak ci się tylko zdaje. Tu, na tym odludziu...
- Przenieś się do El Golea...
- Ba, żeby znaleźć kupca na ten zajazd! Ale nikt go nie kupi...
- O interesach pogadamy później. Daj nam coś zjeść...
- Za chwileczkę.

Ta chwileczka trwała dobrą godzinę. Daniel stracił rachubę czasu, bo zegarek jego raz po raz stawał mimo nakręcania. Pewno piasek dostał się w tryby. Chłopak był tak znużony i niewyspany, że momentami drzemał przy stoliku wsparłszy głowę

na dłoni.

Dżamal natomiast ochoczo podtrzymywał pogawędkę z Jusu-fem, wychodząc jak zwykle z założenia, że każda rozmowa może dostarczyć pożytecznych wiadomości. Wreszcie Melika podała misę jarzyn duszonych z kawałeczkami kury, a do tego puszysty kus-kus. Wręczyła po łyżce każde-122 mu z gości.

— Wspaniale gotujesz —: stwierdził Jusuf. — Szkoda, żebyś marnowała się w tej dziurze.

— Zabierz mnie do El Golea — poprosiła stojąc wsparta o ścianę.

— Pomyślimy o tym...

— Czy nie moglibyśmy się tu przespać po obiedzie? — wtrącił Dżamal. — Wygodnie, na łóżku.

— Izba gościnną jest wolna. Możecie się położyć. My z Ju-sufem przejedziemy się samochodem.

Pokój wskazany przez Melikę był ciemny, pachniał stęchlizną i za całe umeblowanie miał wielkie, małżeńskie łóże, lecz chłopcy, najadłszy się do syta, po prostu marzyli o spaniu. Daniel nie przejął się nawet brakiem pościeli ani tym, że na brudnym materacu leżała niezbyt czysta derka. Rzucił torbę na podłogę i wyciągnął się z rozkoszą na miękkim posłaniu.

W pewnej chwili poczuł przez sen jakby łaskotanie. Podrapał się w łydkę, lecz łaskotało go coś na udzie. Rozbudzony siadł i spostrzegł dorodnego prusaka, który maszerował w kierunku biodra. Strząsnął go z obrzydzeniem, lecz w tym samym momencie ujrzał na podłodze rojowisko koło swojej torby. Porwał ją i w okamgnieniu wybiegł przed zajazd, by oczyścić z robactwa zawinięte w ścierkę prowianty.

Uporawszy się z tym niemiłym zajęciem usiadł pod palmami i przytomniejszym wzrokiem objął całe otoczenie. Przy bramie zajazdu, wsparta o biały mur, siedziała kobieta o ciemnej skórze, odcinającej się ostro od białego zawoju. Brunatnymi palcami przędła kądziel. Oprócz tej kobiety ani żywego ducha. Cisza i bezruch, świat zanurzony w złocistym świetle, które nawet śmieciom przydawało piękna. Daniel pomyślał, że już dawno, w londyńskim muzeum, przed obrazami wielkich mistrzów odkrył to, co zapewne dobrze było wiadome specjalistom, iż magia obrazu tkwiła w takim doborze i sposobie kładzenia farb, aby portret, pejzaż czy fragment domowego wnętrza tchnął owym intensywnym, czarodziejskim światłem, które zniewalało widza i pospolitym przedmiotom nadawało piętno niezwykłości.

— Nie śpisz? — zapytała Melika zachodząc Daniela od tyłu i zasłaniając mu rękami oczy. Poczł zapach jej ciała, jej wło-

123
sów i miał ochotę przyciągnąć ją ku sobie, lecz już usiadła nieco dalej, podkurczyła nogi, obciągnęła na kolanach kwiecistą sukienkę.

— Jak widzisz. W izbie pełno jest... — chciał powiedzieć „prusaków”, lecz zabrakło mu francuskiej ich nazwy, więc powiedział: insektów.

— Przychodzą z kuchni — stwierdziła obojętnie. — Ale nie kłują. Pluskwy są znacznie gorsze. Nie mówiąc już o pchłach. Zresztą nie powinieneś spać blisko Dżamala. Już lepiej na dworze. Bo on jest chory na oczy, chyba zauważyłeś. To zaraźliwe. Moja matka też zaraziła się od siostry i straciła wzrok. Widzisz ją? Siedzi tam pod bramą. Po śmierci ojca najstarszy brat chciał nas zabrać do Hassi Mesaud.

Tam pracuje, ma piękne mieszkanie w nowym domu, z łazienką i wszystkimi wygodami. Ale przeląkł się opieki nad ślepą matką. W końcu zostawił nas na łasce losu. Co prawda przysłała trochę pieniędzy. Ale życie w Hassi Mesaud to całkiem co innego. Tam na pewno wyszłabym za męża. Tutaj nikt się ze mną nie ożeni. Nawet Jusuf.

Wyglądała teraz ładniej niż rano, może dlatego, że nie wdzięczyła się, nie udawała wesołości, była jakby ściszona, bardziej naturalna, bardziej swobodna.

— Nigdy nie nosisz haiku, nie zasłaniasz twarzy? — zapytał.

— Moi rodzice urodzili się w górach. Tuaregowie mają inne zwyczaje. Kobiety ich są bardziej wykształcone. Matka uczyła mnie od dziecka śpiewać, opowiadać ciekawe historie, wyszywać. Wychowywała nie tylko córki, lecz i synów do szesnastego roku życia. Ojciec odchodził z owcami, matka rządziła domem, dziećmi. Chciała nam dać prawdziwe wykształcenie. Płaciła krewnym w Tuggurcie, żeby mnie posyłali do szkoły. Na nieszczęście, ojciec dostał w spadku ten zajazd, skończyło się swobodne życie. Chyba źle go prowadził, zaczął pić... Taki zawsze był zdrow na pustyni, a tu, w oazie, ledwo parę lat pożył. Mnie także nosi jakieś lichy, nie mogę usiedzieć w miejscu, przeklinam swój los.

— Jesteś młoda, mogłabyś skończyć -ezkołę pielęgniarstwa.

— A kto by się zajął matką? Sama się tym trapi, mówi czasem, żebym nie zważała na nią, że ślepej ludzie pomogą... Nie wierz w to. Tylko fałszywi ślepcy chwalą sobie żebracze życie. Prawdziwe nieszczęście przygniata człowieka do samej ziemi.

— Gdyby brat zaopiekował się matką do czasu skończenia przez ciebie szkoły, mogłabyś później wziąć matkę do siebie.

— O ile nie wyszłabym za męża... Żaden mąż nie zechce ślepej teściowej. A z pielęgniarstwa pensji nie zarobiłabym na mieszkanie, meble, utrzymanie nas dwóch. Chyba że sprzedałabym ten zajazd. Ale nikt go nie kupi. Jesteśmy skazane na życie tutaj aż do śmierci... Przynajmniej do jej śmierci — wskazała głową starą kobietę pod bramą.

Zabrzmiało to tak okrutnie, że Daniel spojrzał na Melikę z pewnym lękiem.

Zmitygował się jednak: stwierdziła po prostu fakt, nie żywiła żadnych złych uczuć, przeciwnie, gotowa była do poświęceń. A może jednak w głębi serca pragnęła pozbyć się ciężaru, tęskniła do swobody, do zameścia, do ułożenia sobie innej egzystencji? Wydatne wargi dziewczyny miały gorzki wyraz, w oczach malowała się pełna rezygnacji zawziętość.

Porównał Melikę z Blanką, która także żyła na odludziu — ale z ukochanym mężczyzną — ona świadomie wybrała swój los. Czy naprawdę świadomie? Czy nie była to tylko młodzieńcza egzaltacja, przekora wobec środowiska? Przypomniał sobie jej twarz na chwilę przed pożegnaniem. Smutne, zamyślane oczy, które zdawały się widzieć więcej niż inni. Czy poświęcenie dla bliźnich może być naprawdę celem życia? Czy on, Daniel, potrafiłby podporządkować temu swoją przyszłość?

Słońce zachodziło z całym pustynnym przepychem, z zachwycającą różnorodnością barw, której towarzyszyła niczym nie zmacona cisza.

Żyć dla innych. Wyzbyć się wszelkich pragnień osobistych. Wszelkich ambicji. Żyć

zgodnie z rytmem natury, wedle jej pierwotnych praw. Może w tym właśnie jest szczęście, ukojenie?

— O czym myślisz? — zapytała Melika przysuwając się bliżej. — Jeszcze nie wiesz, jakie to szczęście, że urodziłeś się mężczyzną. Jesteś wolny jak ptak. Możesz robić, co ci się podoba. Nawet Koran wiele wybacza mężczyznom, a kobietami pomiata... Lekko dotknęła dłoni Daniela.

— Masz taką gładką skórę...

Głos jej brzmiał nisko, ciepło. Twarz nikła w gęstniejącym zmierzchu. Ciemne włosy pachniały migdałami. Daniel objął jej plecy ramieniem. Przytuliła się do niego wcale nie jak siostra. Dookoła nie widać było żywego ducha. Noc zapadła tak prędko, jakby chciała tych dwoje osłonić przed światem.

\

ROZDZIAŁ 15

Autobus z Guerrary przybył dość wcześnie, by zabrać gromadkę podróżnych wybierających się na targ do tej oazy, która choć pozostaje nieco na uboczu, należy już do M'zabu. Daniel z Dżamalem pomogli Melice znieść do piwnicy piwo i żywność przywieziona przez uprzejmego kierowcę. Gdy tylko uregulowała z nim rachunki, otworzył drzwi wozu. Ludzie rzucili się hurmem, najpierw, oczywiście, mężczyźni, później kobiety w bieli, w długich, fałdzistych sukniach, z twarzami zasłoniętymi tak dokładnie, że tylko "wąska szczelina między fałdami pozwalała im widzieć nieco świata. Strój taki, wymagający podtrzymywania zasłony jedną ręką, utrudniał wejście do autobusu, tym bardziej że pasażerki wiozły ze sobą torby, niektóre nawet z drobiem. Kierowca, sprzedający również bilety, stanowczo sprzeciwiał się przewożeniu żywego towaru.

— Z kurami nie wezmę! — grzmiał srogo. — Nie wolno! Taki przepis.

Kobiety, przyzwyczajone zapewne do podobnych scen, zrećnie chowały drób między fałdami sukien. Godnie rozsiadły się na krzesłach autobusu, demonstracyjnie pokazując puste wnętrza toreb z plecionki kokosowej. Spętana kura zagdakała nagle spod białej szaty swej właścicielki.

— A jednak wiesziesz kurę! — oburzył się kierowca.

— Nic podobnego! — odparła pasażerka.

— Więc co to gdacze?

— Bo ja wiem? Może dzinny...

— Żeby cię pokrećły! — mruknął wściekły, bo przecież nie mógł uchylić nawet rąbka kobiecej szaty nie wzbudzając powszechnego oburzenia. Siadł za kierownicą, zatrąbił; Melika pomachała im na pożegnanie, ruszyli w drogę.

Dżamal nie próbował nawet skrywać swej radości. Jechał oto autobusem, co było dlań wydarzeniem niezwykłym, spotykał

127

nowych ludzi, wdawał się z nimi w rozmowę, poznawał ich losy czy choćby chwilowe kłopoty, ubarwiające egzystencję, śmiał się z facecji opowiadanych ze śmiertelną powagą przez starego Araba, wzruszał niemal do łez piosenką śpiewaną przez chłopców. Piosenka mówiła o dziewczynie z gór Auresu, której narzeczony zginął w walce z Francuzami i którego śmierć ona pragnęła pomścić. Wszystkie niewygody, noc spędzona wśród piasków pustyni, robactwo w zajeździe, brak pieniędzy, niepewność jutra — były dla Dżamala zwykłą rzeczywistością, nie

poniejszającą wcale najwspanialszej przygody jego życia: wyprawy do Algieru. Przybysz z dalekiego kraju wydawał mu się bohaterem z baśni tysiąca i jednej nocy, a jego torba — czarodziejskim źródłem obfitości.

Daniel natomiast coraz gorzej znosił brak wygod i oddalenie od świata, w którym żył dotąd. Inwazję robactwa czy konieczność jedzenia ze wspólnej miski odczuwał nie tyle jako dokuczliwość fizyczną, ile upokorzenie, zepchnięcie na sam dół drabiny społecznej. Nadrabiał miną, udawał, że wszystko jest w porządku. Nikt nie domyślał się nawet, ile go to kosztowało wysiłku; tu takie właśnie warunki życia uważano za normalne! Zaczęła go w dodatku dręczyć obawa, że zarazi się chorobą oczu od swojego towarzysza, bo choć od pierwszej chwili wiedział, iż jest to jakaś niebezpieczna infekcja, lekceważył niebezpieczeństwo, dopóki nie ujrzał niewidomej kobiety przed bramą, nie usłyszał zwierzeń Meliki. Już w górach Kabylii poczuł zagrożenie, jakie niesie zejście na niższy stopień cywilizacji: przy łóżku śmiertelnie chorej położnicy uświadomił sobie po raz pierwszy, jakim dobrem była przyjęta od dziecka wiara we wszechobecność lekarza, w skuteczność leków. Wystarczyło zatelefonować, żeby przyszedł ktoś, kto mógł zażegnać ból, odpędzić widmo śmierci. Oczywiście — i ta wiara była tylko złudną: istniały choroby nieuleczalne, ludzie umierali także w Warszawie i Edynburgu. Ale nie w obecności Daniela, który nigdy dotąd nie spotkał się z bezsilnością medycyny. Ilekroć chorował — a zdarzało się to nader rzadko — lek przynosił ulgę, wizyta lekarza przywracała spokój i dobre samopoczucie. Ufał, że jeśli będzie przestrzegał zasad higieny, odżywiał się racjonalnie, jadał razowy chleb i witaminy, zachowa niespożyte zdrowie. Jeszcze podczas rozmowy z doktor Wapieńską postanawiał dostosować się do jej wskazań, by „nie połknąć ameby”, nie zarazić się jakąś tropikalną chorobą. Jakże utopijne były to postanowienia w warunkach obecnego życia, które zawdzięczał własnej lekkomyślności i brakowi wyobraźni! Jego umysł, uformowany przez cywilizację zachodnią, nie mógł zrazu pojąć, że istnieje świat tak pod każdym względem odmienny, choć Daniel naczytał się przecież i o Algierii, i o Afryce niemało. Dopiero stąpając po piasku pustyni włączył wiedzę książkową do własnych doświadczeń, bogatszych z każdym dniem i pobudzających do refleksji ogólniejszej natury. Każdy z ludzi, jakich tutaj poznał, miał własną koncepcję życia, własną postawę wobec otoczenia. Wapieński i Olafson, Szymon i Van Horch, Amerykanie i budowniczości osiedla na Saharze Mehmed i Blanka, Jusuf i Melika, wszyscy o coś zabiegali, nieraz z ogromnym wysiłkiem. Co w tym było najważniejsze, niepodważalne?

Przeżycia minionej nocy zamknęły szczeniący okres nieodpowiedzialności. Należało wiedzieć, czego się chce naprawdę, i dążyć do wytkniętego sobie celu. Ale choć powtarzał to w myślach z całym przekonaniem, pulsowała w nim tylko radość życia i upajająca lekkomyślność. Nie było na ziemi nikogo, z kim mógłby się podzielić tym uczuciem, lecz wcale go to nie martwiło, przeciwnie, oswajał się już z tym, że musi mieć swój własny, wewnętrzny świat, do którego nikt nie będzie miał dostępu. W autobusie wszczął się ruch. Dojeżdżano do oazy bardzo rozległej jak na tutejsze stosunki, zasobnej w wodę. Ciemna zieleń palm słała się u podnóża miasta, górującego nad nią jak wielki biały stożek. Pobielane domki wznosiły się coraz wyżej, aż do szczytu, na którym dźwigała się wysoka, graniasta wieża meczetu.

Miasto obwiedzione było solidnym, jakby obronnym murem. Nad wąskimi bramami wznosiły się wieżyczki.

Autobus zatrzymał się przed zajazdem, na zewnątrz murów, opodal rozległego targowiska. Część jego przeznaczono na handel zwierzętami. Wielbłądy, osły, owce chodziły tam luzem albo stały nieruchomo, choć nikt ich nie spętał, nie przywiązał do palika. Ludzie oglądali je z daleka. Ruch był niewielki, ospały, 129

9 — Daniel na Saharze

mogłoby się zdawać, że zabrakło nabywców, że zniknęli właściciele zwierząt. Pasażerowie całą gromadką ruszyli w bok, tam gdzie sprzedawano jarzyny i owoce, przedmioty domowego użytku, suknie, tkaniny, ozdoby, naczynia gliniane. Chłopcy poszli za nimi.

Na ręcznie malowanym afiszu Dżamal wyczytał, że po południu w budynku przy zajęździe wyświetlony zostanie film fabularny o Abd el-Kadirze. Organizatorzy zapraszają też wszystkich na krótką pogadankę o reformie rolnej. Wstęp bezpłatny.

— Pójdziemy? — zapytał Dżamal patrząc błagalnie na Daniela.— Pomyśl: prawdziwe kino i w dodatku za darmo!

— Powinniśmy jak najprędzej pojechać do Ghardai.

— To tylko sto kilometrów stąd.

— Ale i tak nie stać nas na zapłacenie dwóch biletów autobusowych. Zostało nam bardzo mało pieniędzy.

— Mam pewien pomysł...

— Jaki?

— Tajemnica. Sam zobaczysz. Ale na film chciałbym pójść koniecznie!

— Będziemy musieli znowu przenocować w zajęździe.

— Za to z samego rana złapiemy jakąś ciężarówkę.

— Mówię ci, że mam ledwie kilka dinarów. — Postaram się o więcej...

— Jakim cudem?

— Chodźmy do miasta.

Musieli jednak precyzyjnie się przemieszczać przez tłum zgromadzony przed bramą i zawzięcie broniący wstępu do drzwi biura. Dżamal dowiedział się, że to Front Wyzwolenia Narodowego zorganizował dzisiaj wielką imprezę, na którą prócz pokazu filmowego złożyć się miały zawody jeździeckie i porady lekarskie. Przywieziono skądś aż pięciu lekarzy. Właśnie bezpłatnie badają chorych i rozdają lekarstwa. Kilkuset pacjentów czeka na swoją kolejkę.

W tłumie przeważały kobiety z małymi dziećmi, było też sporo chorych obnażających rany i ropiejące wrzody, aby tym prędzej dostać się przed oblicze lekarza. Wychudzeni starcy błagali o przyznanie im pierwszeństwa. Kilku nieszczęśników 130 leżało na ziemi. Danielowi wydało się, że są bliscy śmierci.

Tylko oni milczeli. Natomiast cały tłum gadał, krzyczał, jęczał, złorzeczył i przeklinał. Tak można wyobrazić sobie dzień Sądu Ostatecznego, kiedy ma być płacz i zgrzytanie zębów.

Daniel przeciskał się ostrożnie, żeby nikogo nie urazić, nie potrącić leżącego, żeby samemu nie ocierać się o spocone, chore ciała. Dżamal torował mu drogę nie

przejmując się niczym, bynajmniej nie wzruszony widokiem tyłu cierpień, tyłu nieszczęść.

— Mamy mało lekarzy — powiedział, gdy znaleźli się już na cichej uliczce miasteczka. — Do domu wezwać nie można. W szpitalu też godzinami czeka się na wizytę.

Francuski napis głosił, że w miasteczku nie wolno palić papierosów. Chłopcy nie spotkali zresztą ani jednego Europejczyka. Spowite w biel kobiety milcząco przemykały pod murami niemal zupełnie pozbawionymi okien. Sporo dzieci o różnych odcieniach skóry i włosów bawiło się na niewielkim placu, w pobliżu studzienek ozdobionych ceramicznymi płytkami. Na widok Daniela przerwały zabawę i przypatrywały mu się natarczywie, jak egzotycznemu zwierzęciu. ^=-
Dokąd mnie prowadzisz? — zapytał Dżamala.

/ — Do meczetu. Pewno nigdy nie byłeś w meczecie

j — Nigdy.

\ — Najwyższy czas, abyś to uczynił.

Przez wąską bramę weszli na niewielki dziedziniec z fontanną pośrodku baseniku wyłożonego mozaiką. Tu można było się obmyć. Z dwóch stron dziedzińca, w cienistych podcieniach, siedziało kilkunastu mężczyzn. Chłopcy zżuli obuwie przed wejściem do meczetu, wstąpili do wnętrza wysłanego matami.

Jedyną ozdobą ścian były żółto-niebieskie kafelki biegnące wąskim pasem dokoła świątyni. Nawet mihrab, nisza, w której podczas nabożeństwa stoi duchowny zwrócony w stronę Mekki, pozbawiona była wszelkiej dekoracji.

Daniel wyszedł nieco rozczerowany, choć z opowiadań Olaf-sona pamiętał, że Mozabici są niezwykle surowi zarówno w życiu religijnym, jak i w służącej religii sztuce. Żałował trochę, że uległ Dżamalowi. Nie należało tracić czasu ani na zwiedzanie meczetu, ani na oglądanie filmu, trzeba było starać się dotrzeć czym prędzej do Ghardai.

131

Za bramą podwórca, przed świątynią, Dżamal przystanął, rozejrzał się uważnie. Z dołu podążała gromadka wiernych. Chłopak wyciągnął z sakwy lśniąca puszkę po konserwie i siadł pod ścianą.

— Co ty robisz? — zagadnął Daniel.

— Będę zebrał. Odejdź stąd i nie przeszkadzaj. Daniel cofnął się zakłopotany.

Gromadka wiernych zbliżała

się szybkim krokiem. Dżamal jął zawodzić śpiewnym głosem.

— Wspomóżcie brata w nieszczęściu! Dajcie jałmużnę chłopcu, który musi wędrować daleko, aby ocalić światło swoich źrenic. Spełnijcie święty obowiązek muzułmanina, dajcie zakat, jałmużnę... Uratujcie wzrok chłopca, którego oczy przebiegły

po stokroć cały Koran...

Kilku mężczyzn wrzuciło drobne monety do puszkę. Dżamal głośno i kwiecicie wychwalał ich pobożny uczynek. Wierni weszli do meczetu, na ulicze znów zrobiło się pusto^ Daniel skorzystał z tego, by szepnąć błagalnie:

— Dżamal, nie wygłupiaj się! Chodźmy na dół!

— Zaczekaj na mnie przed zajazdem. Teraz wielu z tych, co byli u lekarza, przyjdzie

się pomodlić. Użebrzę na autobus do Ghardai. No, idź już! Nie powinni nas tu razem widzieć.

Daniel był tego samego zdania, choć z całkiem innego powodu. Oto znalazł się na dnie upadku: będzie korzystał z żebraniny. Wyobraził sobie, co by powiedział profesor Skinner, Szymon albo ojciec. Oto Daniel przyjmuje pieniądze z ręki arabskiego żebraka, który wymusza współczucie dla swojej odrażającej choroby! Zbiegł niemal w dół ulicy, by nie słyszeć zawodzeń Dżamala. Co za wstyd! Co za upokorzenie! Zapragnął uciec stąd gdzie pieprz rośnie, zostawić chłopca jego własnemu losowi, odciąć się od niego, zapomnieć! Czuł jednak, że nigdy nie potrafiłby wymazać z pamięci tej sceny, że dręczyłaby go ona znacznie bardziej, gdyby stchórzył i opuścił Dżamala. Nie pozostawało nic innego niż czekać przed zajazdem w cieniu palm, które wyrastały jakby z niewielkich sadzawek otoczonych wałem ziemnym, aby woda pozostawała w nich jak najdłużej. Brudna, żółta, lecz przecież życiodajna woda. 132 Usiadł na grobli myśląc w kółko o tym samym. Ale im dłużej

roztrząsał tę sprawę, tym spokojniej na nią patrzył. Czyż Europejczyk nie żebrze, zwracając się o zasiłek do opieki społecznej lub o stypendium jakiejś instytucji? Różnica polega na formie pomocy, jaką społeczność okazuje potrzebującemu. W wysoko zorganizowanych społeczeństwach urząd wyręcza swoich podatników i przymusza ich, by spełniali obowiązek chrześcijański, muzułmański czy obywatelski, udzielając wsparcia chorym, niesprawnym, bezsilnym, lecz nie obiecuje w zamian zbawienia wiecznego. A zatem ci, którzy wrzucą pieniążek do puszek Dżamala, będą mieli więcej satysfakcji...

Mimo wszystko nie opuszczało go poczucie niesmaku. Był wściekły na siebie, że dał się wrobić w tę całą przygodę. Co go właściwie skłoniło do takiego postępowania? Współczucie? Miłość bliźniego? Przeświadczenie, że trzeba ludziom pomagać nawet kosztem własnej wygody? Czy tylko zwykły odruch solidarności z cierpiącym chłopcem? I w świadczeniu dobrych uczynków musi istnieć jakaś granica, której rozsądny człowiek nie przekracza, żeby samemu nie znaleźć się w opałach. Stwierdzał to wszystko nie pierwszy raz w życiu, bo gdy tylko sytuacja się powtarzała, reagował tak samo, bez zastanowienia, jakby go pchała ku temu niewidzialna siła. Skinner nazywał te odruchy polskim romantyzmem, lecz ich nie pochwalał; matka dla nich właśnie wiele wybaczała Danielowi; ojciec mówił, że dowodzą niedojrzałości, że przejdą z wiekiem, kiedy chłopak okrzepnie i uzbroi się w zdrowy egoizm. Na tym tle dochodziło do sporów między rodzicami, kiedyś nawet matka miała łzy w oczach, ojciec przeprosił ją za zbyt ostre słowa i cały problem zawisł znowu w próżni.

Dżamal nadszedł prędzej, niż można się było spodziewać. Patnicy go zawiedli; niewielu ich przyszło do meczetu, byli głusi na prośby chłopca. Garść drobniaków nie mogła pokryć kosztu biletów do Ghardai.

— Staralem się, jak mogłem — stwierdził ponuro. — Ludzie mają twarde serca i mało pieniędzy. Zjedzmy coś i pójdźmy obejrzeć film. Nie masz pojęcia, jak się na to cieszę! — twarz mu się rozjaśniła, już nie myślał o tym, co było, wybiegał marzeniem w przyszłość.

— A gdzie spędzimy noc? — zapytał Daniel.

— W zajeździe. Tylko nie w żadnym tam gościnnym pokoju, ale na macie lub wiązce palmowych liści, pod daszkiem. Wystarczy nam na to tych drobniaków, a może właściciel nic nie weźmie, jeśli mu powiemy, że przybyłem do lekarza.

— Nie licz na to.

— Pewno masz jeszcze trochę papierosów...

— Dwie ostatnie paczki zachowuję dla kierowcy, który nas zabierze do Ghardai.

— No, ale w najgorszym razie-.. Gdyby gospodarz się napierał...

- ^-----'

Dżamal, jak zwykle, chciał zażegnać najbliższe niebezpieczeństwo, pocieszając się, że potem jakoś tam będzie... Że wszystko się ułoży...

— Chodźmy go zapytać.

Na dziedzińcu zajazdu kręciło się mnóstwo ludzi, pod daszkiem stały konie i wielbłądy. Dżamal wypatrzył rówieśnika, który siedział pod ścianą pilnując tobołów. Przysiadł się do niego i wszczął pogawędkę. Daniel odszedł na bok i czekał, aż chłopak zbierze garść użytecznych informacji. Miał do tego niewątpliwy talent.

— Szczęście nam sprzyja — oświadczył po dobrej godzinie. — Wiesz, czyja to karawana? Nigdy byś nie zgadł! Stryja Ahmeda.

— I co z tego?

— Jak to co? Zaraz pójde go poszukać, obgadam wszystko, niech nas odstawią do Ghardai.

— Sto kilometrów na wielbłądach?

— Najwyżej dwa dni drogi. Ale za darmo.

— Za darmo się nie zgodzą.

— Powiem, że Ahmed rozliczy się ze stryjem.

— Akurat stary da się na to nabrać.

— Wcale go nie nabieram. Mają między sobą jakieś rozrachunki. Zresztą wiozą mało towarów, zabiorą nas z pewnością.

— Spróbuj. Przyznam jednak,, że wolałbym jechać stopem.

— Stop niepewny, a karawana czeka.

— Jasne, nie może bez nas wyruszyć...

— Nie kpij ze mnie. Przekonasz się, że tym razem... - Idź, nie gadaj — Daniel był już znużony pomysłami swo-

jego towarzysza i marzył skrycie, że stryj Ahmeda nie zgodzi się ich zabrać.

Dżamal odszedł do restauracji, długo tam bawił, wreszcie wrócił z wiadomością, że stary poszedł na popisy jeździeckie, w których biorą udział dwaj jego synowie.

— Pomówimy z nim wieczorem, po filmie. Czas już iść, żeby zająć miejsca.

Zobaczysz, ile ludzi się napcha. Salka pewno mała, miejsca niewiele...

— Wolałbym obejrzeć pokazy jazdy.

— Wielka rzecz! Nie widziałeś Ahmeda z towarzyszami? Będą jeździć w kółko po wygonie i strzelać w górę z fuzji. Nuda, mówię ci, nie to, co film.

— No to chodźmy! — westchnął Daniel.

V

ROZDZIAŁ 16

Postać Abd el-Kadira, czy raczej jak go z dawien dawna w polskim piśmiennictwie nazywano Abd el-Kadera, dziwnym trafem wiązała się z rodzinną tradycją Daniela. Krewniak jego matki, Soter Rohatyński, wyjechał za granicę po powstaniu listopadowym i wstąpił do armii francuskiej nie przypuszczając, że wraz z setkami emigrantów polskich będzie zdobywać Algierię dla Francuzów. Zmuszony do opuszczenia ojczyzny dlatego, że walczył o jej wolność, sprzyjając Arabom, którzy również bronili swojej niepodległości, młody porucznik przeżywał ciężkie rozterki. Dawał im wyraz w listach do pozostałej w kraju narzeczonej. Podobne uczucia do Arabów żywili jego koledzy, a jeden z dowódców twierdził nawet, że „obyczaje i charakter Arabów wielce są zbliżone do naszych przodków. Ledwie wiek temu dziadowie nasi walczyli jak ich jazda. Bogatsi stają do boju w pierwszym szeregu, jak nasi towarzysze”.

Żołnierska służba nakazywała jednak spełniać rozkazy francuskich dowódców, a nawet płacić życiem za polityczne nadzieje pokładane we Francji. Pułkownik Tadeusz Horain poległ w 1839 roku jako szef batalionu przy zdobywaniu fortu Dżidzeli, jego nazwiskiem oznaczono blokhauz twierdzy. O wielu innych poległych — niższych rangą — zapomniano.

Szczególną życzliwością otaczał polskich legionistów generał Desmichels, żonaty z poznanianką, panną Wolińską. Bieglejszy w rzemiośle wojennym aniżeli w dyplomacji, zaufał bezkrytycznie talentom Aleksandra Colonna Walewskiego, kapitana drugiego pułku strzelców afrykańskich. Dwudziestoparoletni oficer, syn hrabiny Walewskiej i Napoleona, uczestnik powstania listopadowego, wysłany przez rząd narodowy do Londynu dla uzyskania poparcia w wojnie z Rosją, przyjął obywatelstwo francuskie i przybył do Algieru głównie po to, by doprowadzić do 136 układu z Abd el-Kaderem. Podobno sam przygotował francuski tekst traktatu, nazwanego później „traité de Desmichels”, niezbyt korzystnego dla Francji. Walewski bowiem uważał, że celem Francji nie powinien być podbój, lecz niesienie cywilizacji „dumnemu i odważnemu narodowi”, że zatem trzeba dążyć do nawiązania szczerych, przyjaznych i pokojowych stosunków z Arabami.

Tak więc syn Napoleona podjął układy z Abd el-Kaderem, którego ojciec, uważany za świętego (wywodził się od Proroka), był opiekunem klasztoru i szkoły koło miasta Mascara. Abd el-Kader, o dwa lata starszy od Walewskiego, skończył wyższe studia koraniczne w Oranie, odbył z ojcem pielgrzymkę do Mekki, Medyny i Bagdadu, a później zatrzymał się w Egipcie, by poznać nowe formy rządów Mehmeta Alego. Po powrocie do ojczyzny został sułtanem, osiadł w Mascarze i z każdym rokiem zyskiwał nowych zwolenników. Traktat podpisany przez Desmichelsa umocnił pozycję arabskiego przywódcy, gdyż uznawał w nim przedstawiciela i rzecznika wszystkich arabskich plemion. Stary generał dał się wywieść w pole młodemu teologowi: francuski tekst traktatu nie odpowiadał bowiem arabskiemu. Wbrew intencjom Paryża sułtan uzyskał władzę prawie nad całym Algierem, oprócz miast nadbrzeżnych, zajmowanych przez Francuzów, oraz okręgu Tlemsen.

Abd el-Kader nie traci teraz czasu: podbija plemiona saharyjskie, zdobywa Tlemsen, tworzy armię, organizuje państwo, dzieli je na osiem kalifatów, które obsadza zaufanymi ludźmi. Armia jego składa się z jeźdźców wspomaganych przez pospolite

ruszenie plemion — bitne, fanatyczne, nieznane w walce partyzanckiej, ślepo oddane swemu wodzowi, który doprawdy jest postacią niezwykłą.

Porucznik Rohatyński przyrównuje go w listach do świętych chrześcijańskich:

„Twarz blada, ascetyczna, oczy błękitne, broda czarna, rysy delikatne. Przy tym wielki wdzięk osobisty i roztropność w rozmowie, powściągliwość wielka w życiu codziennym, niemal ubóstwo ubioru i stołu...”

W kilka lat później Rohatyński pisze, że przybył do Algieru na czas dłuższy major Ludwik Bystrzonowski, przydzielony do sztabu francuskiego jako obserwator. Z polecenia polskich władz emigracyjnych miał zapoznać się z taktyką wojenną Abd el- 137

-Kadera i zdecydować, czy można by ją wykorzystać dla przyszłych walk powstańczych w Polsce, gdyż „walka tubylców z mocarstwem ze wszech miar od nich potężniej szem zasługuje na pilną uwagę Polaka”.

W innym z listów porucznik znowu przytacza opinię Bystrzonowskiego: „Zawsze Arabowie w Algierze pozostaną wzorem, jak należy walczyć w obronie swej niepodległości, Abd el-Ka-der zaś wzorem, jak z drobnymi powstańcami niewyrobionymi siłami długo i skutecznie opierać się można wojsku szeregowemu, wyrobionemu, bitnemu, daleko liczniejszemu, opartemu na ludności trzydziestu pięciu milionów i na budżecie półtora miliarda franków wynoszącym. Szczęśliwy kraj, który w takim położeniu znajdzie w swoim naczelniku równie nadzwyczajnego męża, jak przewodzący dzisiaj Arabom. Cześć temu rycerzowi wiary i niepodległości narodowej...”

Kiedy jednak generalnym gubernatorem Algieru mianowany został generał Bugeaud, sytuacja zaczęła się zmieniać na niekorzyść emira. Rohatyński pisze o generale z niechęcią, że to prostak i brutal, który nie chce żadnych układów z Abd el-Ka-derem, dąży bowiem do podbicia i skolonizowania Afryki. „Wprawdzie urodził się szlachcicem — pisze o nim — ale jako czternasty z rzędu potomek wiejskiej rodziny zrzuconej przez rewolucję pędził na wsi żywot niemal chłopski. Wstąpił do armii Napoleona, walczył pod Austerlitz, ciężką ranę odniósł w bitwie pod Pułtuskim, doszedł do stopnia pułkownika, lecz za czasów restauracji znowu siedział w swoim folwarczku, chamiejac coraz bardziej. Dopiero dzięki rewolucji lipcowej wrócił do służby w wojsku. A teraz objął komendę nad ogromną armią, w której dowódcami są ludzie o wielkich zasługach i wielkich nazwiskach. Nic dziwnego, że sarkają na taką nominację”.

Bugeaud spełnił pokładane w nim nadzieje. Dostosował armię do warunków afrykańskich, zmienił jej umundurowanie, uzbrojenie, taktykę walki. Prowadził jednocześnie akcję kolonizacyjną na zdobytych terenach. Budował forty i drogi. Wygrał wreszcie wojnę z Abd el-Kaderem, który w 1847 r. poniósł ostateczną klęskę. Przez kilka lat więziono go we Francji. Od-138 zyskał wolność dopiero z łaski Napoleona, III. Osiadł w Azji

Mniejszej, później kilkanaście miesięcy spędził na rozmyślaniach w pustelni.

Podczas pogromu chrześcijan, jaki miał miejsce w Damaszku w 1860 r., wystąpił w ich obronie. Na wieść o tym Norwid napisał wiersz „Do Emira Abd el Kadera w Damaszku”:

Współczesnym zacnym oddać cześć,
To jakby cześć Bożej prawicy; I sercem dobrą przyjąć wieść,
To jakby duch — łonem Dziewicy.

2

Więc hołd, Emirze, przyjm daleki,
Któryś jak puklerz Boży jest; Niech łyzy sieroty, łyzy kaleki,
Zabłysną Tobie, jakby chrzest.

3

Bóg jeden rządzi z wieków w wieki,
Nikt nie pomierzył Jego łask: Chce? — to wyrzuci z ran swych ćwieki,
A gwiazdy w ostróg zmieni blask.

4

I nogą w tęczy wstąpi strzemię,
Na walny sądów jadąc dzień; Bo kto Mu niebo dał? — kto ziemię? —
Kto Jemu światłość dał? — lub cień?

5

A jeśli w łzach gnębionych ludzi,
A jeśli z dziewic krwi niewinnej, A jeśli w dziecku, co się budzi,
Ten sam jest Bóg — nie żaden inny —

139

6

To — namiot Twój niech będzie szerszy
Niż Dawidowych cedrów las; Bo, z Królów-Magów trzech, Tyś pierwszy,
Co konia swego dosiadł w czas!

Porucznik Rohatyński nigdy do Polski nie wrócił. Listy jego przechowywała w safianowym pudełku babka Daniela, ta właśnie, która żyła jakby tylko po to, aby wszystkim dogadzać, przyrządzać smakołyki, kłaść na miejsce rzeczy rozrzucone po całym mieszkaniu, łątać, cerować, usuwać plamy, cudownie sklejać rozbite naczynia, łagodzić nastroje, zażegnawać nieporozumienia, z własnych niewielkich oszczędności ratować domowy budżet pożyczką „do pierwszego”. Babka mieszkała wprawdzie z rodziną w Warszawie, lecz miała w Gostyninie dom z ogródkiem, który odstąpiła znajomym, zastrzegając sobie, że będzie spędzać tam lato. Zabierała Daniela ze sobą. Ganiał wtedy z chłopakami nad jezioro i do lasu, budował wigwam wśród starych krzaków porzeczek i objadał się agrestem. Po południu dochodził z kuchni zapach smażonych konfitur, sygnalizujący, że trzeba iść po spodeczek szumowin, zebranych z malin „dochodzący eh” już w miedzianej miednicy. Na podwieczorek zawsze było ciasto domowe z kruszonką, na kolację młode kartofle z koperkiem. A przez całe lato — cudowna swoboda, poczucie bezpieczeństwa, nieustanna radość.

Tak się to przynajmniej wydawało Danielowi po latach, kiedy z dwumiesięcznym opóźnieniem doszła go w Edynburgu wieść o śmierci babki. Zabrano z Gostynina „rodzinne szpargały” i schowano je do pustej na razie szafki Daniela. Schowano — i zapomniano o nich dokumentnie, wszyscy tak bardzo byli zajęci własnymi sprawami, że uporządkowanie papierów odkładano do jakiegoś urlopu czy wakacji. Daniel natknął się na nie po powrocie i poczuł jeszcze większy żal do rodziny za to, że nie wezwała go na pogrzeb babki.

Nie była to już dawna rodzina. Szymek wyjechał do Algieru, Gosia wyszła za mąż i przeniosła się na wybrzeże, ojciec późnym wieczorem wracał z Instytutu Matematyki, mama 140 starała się prowadzić dom sposobem uproszczonym, bo odkąd zrobiła specjalizację, przybyło jej obowiązków w szpitalu i poradni. Nie jadano już wspólnych kolacji, jak za życia babci, każdy brał sobie coś z lodówki i przelykał pośpiesznie w kuchni lub przy telewizorze, powtarzano aż do znudzenia, że „żyje się nie po to, żeby jeść, lecz je się po to, żeby żyć”. Na pogawędki y rodzinne brakowało czasu, niekiedy tylko, w niedzielę, przy popołudniowej herbacie, mówiło się o sprawach, które koniecznie trzeba załatwić.

Depozytariuszem „szpargałów rodzinnych” stał się więc Daniel. Pozostawiony sam sobie, trochę z tęsknoty za babką, trochę z nudów, zaczął przeglądać stare fotografie, panięskie sztambuchy sprzed pierwszej wojny światowej, pamiętniki, z których wyrwano po kilka kartek, zawierających pewno naj-intymniejsze zwierzenia, wreszcie listy. Paczka listów porucznika Rohatyńskiego przewiązana była wstążką o barwach francuskich i opatrzona mottem skreślonym inną ręką: „Wartość człowieka leży w jego zbliżaniu się do prawdy” (Abd el-Kader). Kto i kiedy na listach polskiego powstańca umieścił słowa emira, kto dołączył kaligraficznym pismem przepisany wiersz Norwida?

Któregoś niedzielnego popołudnia Daniel zagadnął o to ro-' dziców. Wyjątkowo nikt się nie spieszył. Któż mógł przypuścić, że niewinne pytanie roznieci zadawniony spór i zburzy doszczętnie spokój niedzielnego popołudnia?

— Narzeczona Rohatyńskiego miała bzika na punkcie emira — stwierdził z przekąsem ojciec. — Można powiedzieć, że przeniosła na niego swoją miłość. Potrafiła tym uwielbieniem zarazić całą rodzinę. Ileż to dyrdymalek musiałem się nasłuchać, kiedy starałem się o rękę twojej matki! W domu jej panowała taka romantyczna atmosfera...

— Pielęgnowano u nas tradycje historyczne.

— Raczej poetyckie mity, nader szkodliwe dla następnych pokoleń. Powtarzano cudze poglądy, nie próbując nawet zastanowić się, czy są słuszne.

— Nie zaprzeczysz chyba, że Abd el-Kader był człowiekiem niezwykłym!

— Zgoda. Lecz z całkiem innych powodów niż te, dzięki któ- 141

— ■ —
rym uwielbiała go twoja rodzina. Wszystkie siły poświęcił walce o prawa Arabów, walce z Europejczykami. Ale wasze uznanie i nimb poetycki zdobył dzięki temu, że bronił mordowanych chrześcijan. Norwid nie poświęcił ani jednego słowa przywódcy afrykańskich plemion. Napisał emfatyczny wiersz na cześć obrońcy chrześcijan. Nie wzruszało go, że dumny i bitny emir przesiedział we francuskich więzieniach tyle lat; ludzki odruch współczucia z jego strony sprawił, że polski poeta nazwał go „puklerzem Bożym” i pierwszym z Trzech Króli, „co konia swego dosiadł w czas”.

— W jego epoce było to całkiem zrozumiałe.

— Ale w naszej? Dlaczego mam wspominać z rozrzewnieniem porucznika Rohatyńskiego i wielu jemu podobnych za to, że walczyli z Arabami albo z Hiszpanami, albo na San Domingo?

— Pokładali nadzieję we Francji. Wierzyli, że dopomoże nam w odzyskaniu

niepodległości.

— Czy chociaż raz w ciągu dziejów naprawdę nam pomogła? Czy oprócz wielkich słów i żalonych datków otrzymaliśmy od niej coś więcej? A zresztą niepodległość nie tylko trzeba zdobywać własnymi siłami, ale ją budować z dnia na dzień, wytrwale, przyziemnie, poczynając od gospodarki kraju, porządku i oświaty prawdziwej, nie powierzchownej, od cnót obywatelskich, rzetelności, pracowitości, liczenia się z wartością każdej rzeczy, każdej złotówki uczciwie zarobionej, a nie uzyskanej dzięki łapówkom czy machlojkom.

— Nie sprzyjały temu nigdy nasze warunki geopolityczne,

— Daj spokój! Może Holendrzy mieli lepsze położenie, większe bogactwa naturalne, może nie napadali na nich nieprzyjaciele, nie dziesiątkowały ich prześladowania religijne?

— Mało mnie obchodzą Holendrzy. Nasi powstańcy nie mieli innego wyboru: musieli iść na obczyznę.

— Jeśli nawet musieli, to powinni byli szukać dla siebie innego rzemiosła niż wojenne.

— To jedynie znali. Trudno, żeby porucznik Rohatyński został we Francji szewcem, krawcem, cyrulikiem.

— Trudno. Ale wolałbym, aby taką sobie obrał karierę. 142 — Byłaby niegodna jego stanu.

— Rzemiosło wojenne, udział w legii cudzoziemskiej, branie żołdu za uśmiercanie Bogu ducha winnych Arabów wydają ci się bardziej godne uznania?

— Zrozum, że nie robił tego dla własnych interesów czy korzyści. Spodziewał się wdzięczności Francji.

— Może z początku... Kiedy był młody i niedoświadczony.

— Później nie miał już odwrotu.

— Myślisz, że lepiej brnąć aż do śmierci w głupstwie i nie-godziwościach?

— Bywają sytuacje bez wyjścia.

— Ja bym sobie raczej w łeb palnął.

— Tak się tylko mówi. Każdy idzie w końcu na kompromis. Instynkt samozachowawczy zwycięża.

— Być może. Ale to nie powód, żeby mu hołd składać. Spierali się jeszcze długo, zapalczywie, jak studenci. Odżyły

w nich zadawnione urazy, nie Ghodziło już o emira czy porucznika Rohatyńskiego, lecz o sprawy całkiem bliskie, aktualne. Daniel nie mógł tego słuchać, raniły go właśnie rodzinne, sam nie wiedział, komu przyznać słuszność, może racje były podzielone, może nigdy nie wyjaśniono sobie rzeczy do końca, tak by obnażyć prawdę, istotne motywy postępowania, myślenia i emocji. Frazesy, utarte słowa zagłuszały wszystko jak chwasty w ogrodzie nie plewionym. Wymknął się obolały do swego pokoju i schował safianowe pudełko na sam dół szafy, aby nigdy więcej do niego nie zaglądać.

I oto teraz emir zjawił się sam, nie przyzywany, tyle że całkiem niepodobny do tego z rodzinnej legendy, wytwornego uczonego, rycerskiego wodza i obrońcy uciśnionych chrześcijan. Emir z algierskiego filmu przypominał raczej Ahmeda, cudownie jeździł konno i siekł bez pardonu niewiernych. Spahisi spadali śmiesznie z koni, byli

odrażający. Ludność Tlemsen przyjmowała emira jak następcę Proroka, oddając mu cześć niemal boską. Tłumy szły za nim skandując po arabsku hasło całkiem współczesne: „Algieria jest naszą ojczyzną, arabski jest naszym językiem, islam jest naszą religią”.

Nikt nie mógłby przypuścić, że ten piękny wojownik był przede wszystkim teologiem i myślicielem, autorem dzieła filozoficznego, które jakiś francuski orientalista przetłumaczył i wy-

143
dał w Paryżu. Że właśnie dzięki filozofii znalazł emir tyle wewnętrznej siły zarówno w okresach największego powodzenia, jak w czasie niewoli i wygnania. Prawda o nim była więc podzielona, obraz jego niepełny po obu stronach Morza Śródziemnego. „A może — pomyślał Daniel — prawda jest ideałem, do którego się dąży, lecz którego osiągnąć nie można, zwłaszcza że ludzie ją naginają do swoich doraźnych potrzeb czy przekonań?”

Dżamal był zachwycony filmem. Wierzył święcie, że wszystko zdarzyło się dokładnie tak, jak to widział na ekranie. Czuł się podniesiony męstwem, urodą, mądrością emira. Zwycięstwa nad Francuzami budziły w nim dumę narodową. Nawet na Daniela patrzył jakby z góry, był przecież obcym, niewiernym, nie mógł oczekiwać zbawienia.

ROZDZIAŁ 17

Po filmie zdążyli jeszcze na popisy jeździeckie, a raczej na ich zakończenie, uświetnione występami najlepszych. Wśród widzów prym wodził Ali, stryj Ahmeda; obaj jego synowie zaszczytnie się wyróżnili i mieli podobno reprezentować Algierię na Ogólnoafrykańskim Festiwalu Kultury. Co prawda wyposażenie mieli niezwykłe. Stary dał im, piękne, świetnie ułożone konie, siwki o delikatnych pęcinach, zwinne, szybkie, niepłochliwe, czujne na każdy znak jeźdźcy, do tego zaś broń starą, z dziada pradziada przechowywaną wśród rodzinnych skarbów i budzącą tutaj powszechną zazdrość.

— Za te konie — mówił Dżamal — mógłby kupić sobie dom z ogrodem w Biskrze czy Tuggurcie. Ale na co mu taki dom, skoro całe życie spędził na pustyni, pod dachem spać nie lubi, ciasno mu, ciasno i smrodliwie. Co innego wstąpić czasem do zajazdu, nie po to, żeby w nim nocować, lecz bawić się przez całą noc, uraczyć swoich i obcych, bo gest ma szeroki, potrafi całego barana «zamówić i kapelę nająć tylko dla siebie.

Z tego, co Dżamal opowiadał, widać było, że nasłuchiwał się od Ahmeda opowieści o starym, że go podziwiał, choć stryj majątku się nie dorobił, przeciwnie, z roku na rok mniej wielbłądów wiązał w karawanę, mniej towarów przewoził na południe, mniej potrzebował ludzi, ale zaklinał się głośno, że zwyczajów nie zmieni, że do śmierci będzie przemierzał pustynne szlaki.

Otoczony tłumem, zwycięski wracał do zajazdu, gdzie witano go uniżenie, jak szejka. Dżamal z trudem się do niego docisnął. Ali, w wybornym humorze, mile go powitał, że zaś sam nieźle władał francuskim, wdał się w pogawędkę z Danielem, którego zaprosił do stołu i posadził koło siebie, żeby się popisać przed cudzoziemcem i gościnnością, i sukcesami synów, i własną swadą. Zamówił jedzenie dla całej kompanii. Nie bacząc na zakazy Proroka pił sporo, co zwiększyło jeszcze jego elokwencję i ży-

czliwość dla bliźnich. Chętnie przystał na to, by dowieźć chłopców do Ghardai, zwłaszcza gdy Daniel wyjaśnił, po co jadą do Algieru. O zapłacie nie chciał nawet mówić, twierdził, że to honor dla niego zabrać ze sobą cudzoziemca z dalekiej północy, prosił tylko, żeby ucztował z nim aż do rana, gdyż doprawdy kłaść się nie warto, skoro nazajutrz przed świtem wyruszą w drogę; dość czasu zmitrężyli dzisiaj z racji tych popisów, kupcy czekają na nich w Ghardai, trzeba będzie te sto kilometrów zrobić w niespełna dwa dni, tak by przed zachodem słońca oddać towar i pozwolić sobie wreszcie na zasłużony odpoczynek.

Daniel przyglądał się Alemu z zachwytem, był to bowiem mimo podeszłego wieku mężczyzna postawny, wysoki, szczupły, o pociągłej twarzy, rysach grubych, lecz wyrazistych, o przenikliwym spojrzeniu zmrużonych oczu, człowiek, jak się zdawało, twardy i przebiegły, dumny i uparty, zdolny do wariackich czynów. Głos miał dźwięczny, donośny, śmiech trochę dziki, bez miejskiej powściągliwości i umiaru. Żył, jak chciał, robił, co mu się podobało.

Chłopak zdawał sobie sprawę, że jego podziw trochę Alego bawi, trochę mu pochlebia, w każdym razie ubarwia jeszcze i tak miły wieczór. Stary pozwolił Dżamalowi najeść się do syta, lecz później odesłał go zaraz na podwórze, kazał spać, potraktował jak niedorostka; Daniel odniósł jednak wrażenie, iż Ali po prostu nie znosi przy sobie chorych, kalek, starców. Cenił krzepę, jurność, męstwo i zaradność, na pewno nie gardził fortelem, bez którego kupiectwo jest jak potrawa bez soli. Prowadził nieraz interesy z Europejczykami, ale ich młodzieży nie znał, a był jej ciekaw. Wypytywał, jakim cudem Daniel się tutaj znalazł, czego naprawdę szukał; próbował przy tym dociec, czy dobroczynność chłopca wynika z potrzeby serca, czy z innych, utajonych i niejasnych pobudek. Obserwował go zarazem bacznie i życzliwie, krytycznie i z sympatią, jak rasowego źrebca, zastanawiając się, co z niego wyrośnie.

Mile ujęty tym zainteresowaniem Daniel nie odczuwał zmęczenia, gawędził z ożywieniem, opowiadał o swoich podróżach 146 do Anglii i Szkocji, ciesząc się, ilekroć zdołał rozchmurzyć pomarszczone czoło starego, pobudzić go do śmiechu, w którym odsłaniał mocne, żółtawe zęby.

Synowie Alego, Ibrahim i Hassan, siedzieli po drugiej stronie stołu wśród swoich rówieśników, ale choć byli bohaterami dnia, choć zdobyli uznanie na popisach jeździeckich, tutaj musieli milczeć i przysłuchiwać się tylko gawędzeniu ojca z przygodnie poznanym chłopakiem. Parokrotnie próbowali podjąć głośnie rozmowę po arabsku, lecz stary przywołał ich do porządku, walnął pięścią w stół i burknął coś groźnie. Popsuło im to wieczór, Daniel zdawał sobie z tego sprawę, nie potrafił jednak zmienić sytuacji.

Przesiedzieli całą noc przy stole i dopiero o brzasku Ali odszedł z synami na modlitwę, Daniel zaś wybiegł na podwórze, by ochłodzić pod kranem zacządziała od niewyspania głowę,

Dżamal, który wywczasował się na wiązce daktylowych liści, współczuł mu szczerze, dawno już gotów do drogi. Beduini szybko powiązali wielbłądy i, nim słońce weszło, wyruszone na pustynię.

Ali jechał konno, tak samo jak jego synowie, i to na czele karawany. W pewnej odległości za nim szły w potrójnym szyku wielbłądy. Danielowi zdawało się początkowo, że podróż w siodle będzie całkiem wygodna, lecz po kilku godzinach miał jej serdecznie dosyć. Dżamalowi wypadło jechać gdzieś na szarym końcu. Daniel między dwoma Beduinami, którzy nie znali francuskiego, czuł się jakby pod strażą. Byli niewyspani, opryskliwi, jeśli nawet rozumieli jego proste pytania, zbywali je półsłówkami.

Podczas pierwszego postoju chłopcy usiedli razem i wyciągnęli zapasy jedzenia. Podszedł do nich starszy z synów Alego, Ibrahim, i zapytał obcesowo, kiedy mu wręczą zapłatę za podróż. Daniel powołał się na rozmowę z jego ojcem, który przecież obiecał zawieźć ich za darmo. Beduin pokręcił głową z niedowierzaniem i stwierdził, że chłopiec na pewno źle zrozumiał słowa Alego. Za podróż należy się zapłata. Wymienił niebotyczną sumę. Dżamal z oburzenia przeszedł na arabski, miotał się, gestykulował, wykrzykiwał, powoływał Allacha na świadka, domagał się rozmowy z Alim.

— Mój czcigodny ojciec zdrzemnął się teraz i nie będziemy mu przeszkadzać.

— No to pomówimy z nim, kiedy się wyśpi. — Daniel usiłował zachować spokój.

— Przecież nie uciekniemy wam. Jeśli będzie obstawał, żebyśmy zapłacili, to zrealizuję czek w Ghardai i zapłacę, ale godziwie, nie po lichwiarsku. Tyle, ile się płaci za bilet autobusowy.

— Co? — wykrzyknął Ibrahim, — Podróżujecie na wspaniałych' wielbłądach jak amerykańscy turyści i chcecie płacić jak za smrodliwy autobus?

— Nie umawialiśmy się na więcej. Zresztą nie mamy tyle pieniędzy.

Nastój wyraźnie się pogorszył, stał się nawet nieprzyjazny. Nie zaproszono chłopców ani do wspólnego posiłku, ani na wspólną siestę. Ali skrył się w namiocie, który rozbito, by mógł należycie odpocząć podczas krótkiego postoju. Daniel wydobył z torby radio i nastawił jakiś europejski program. Poczł się nieco różnie, jakby nawiązał kontakt z własnym światem. Dwaj Beduini przysiedli się bliżej i słuchali muzyki. Wkrótce jednak wyruszono w dalszą drogę.

Karawana szła nie szosą, lecz szlakiem pustynnym, może krótszym, może uświęconym zwyczajami, może wygodniejszym dlatego, że w paru miejscach natrafili na płytkie studzienki. W każdym razie chłopcy nie mogli teraz odłączyć się od Be-duinów, byli całkowicie zdani na ich łaskę i niełaskę.

Ibrahim podjechał do Daniela i jął go rozpytywać o rodzinę, o Szymona, o jego zajęcie w Algierze; najwidoczniej pragnął ustalić poziom zamożności swoich podróżnych. Daniel odpowiadał coraz chłodniej, coraz opryskliwiej; przeklinał w duchu chwilę, w której dosiadł wielbłąda, bolały go wszystkie mięśnie. Beduin poczuł się obrażony. Powiedział ze złośliwym uśmiechem:

— Gdybyśmy was tutaj zostawili, nawet kości waszych nikt by nie odnalazł.

Czy była to pogrożka? Czy tylko kiepski żart? Niewyspani, udręczony wielogodziną jazdą chłopak poczuł się nieswojo wśród Beduinów. Nie rozumiał motywów ich postępowania,

148 przejścia od wylewnej serdeczności do wyraźnej niechęci, niczym właściwie nie usprawiedliwionej. Na szczęście Dżamal jechał teraz obok niego, mogli rozmawiać, lecz nie o tym, co było dla nich obu najistotniejsze, bo trzeci w

rozumiał nieco po francusku, choć do rozmowy się nie wtrącał, a na stawiane mu pytania odpowiadał z ociąganiem i niechętnie. Daniel wszakże pragnął pozyskać jego życzliwość, znaleźć w nim sojusznika, więc usiłował nawiązać jakiś kontakt.

— Gdzie zatrzymamy się na noc? — zapytał przyjaznym tonem, aby tamten odczuł to raczej jako potrzebę konwersacji niż zwykłą ciekawość.

— W starym karawanseraju. Opuszczonym od lat. Nikt tam nie mieszka. Została studnia i szopa.

— Daleko stamtąd do Ghardai?

— Niedaleko. Dojedziemy jutro przed południem. Rozmowa się urwała. Daniel szukał w myślach nowego tematu.

— Chodziłeś do szkoły? Mieszkałeś kiedyś w mieście?

— Nigdy.

;;

— A chciałbyś?

Młody Beduin wzruszył ramionami. Nie odpowiedział.

— Lepiej chyba mieszkać w domu z żoną, z dziećmi...

— Jednym lepiej, innym gorzej. Co ty możesz wiedzieć o naszym życiu?

Mur obcości wyrósł z tych słów. Bo istotnie, cóż wiedział Daniel o tym kraju, skoro ledwo się otarł o jego problemy i niewiele z nich pojmował? Trzeba by tu siedzieć latami, aby wniknąć w sposób myślenia tych ludzi. Kim są właściwie ci potomkowie starych kultur, które zniknęły jak zieleń Sahary?

Droga stawała się coraz bardziej uciążliwa wśród skalistych pagórków. Znikły wszelkie ślady życia, nawet suche kępki trawy. Ogromna płaszczyna wapienna wyglądała jak rozlewisko zastygłej lawy, pofalowane, martwe i śmiercionośne zarazem, bo nie było tu ani kropli wody, ani garstki ziemi, na której mogłoby cokolwiek wyrosnąć. Człowiek pozostawiony tutaj skazany był na zagładę.

>

Daniel zaczął się lękać niepojętego zachowania Beduinów, był to lęk niesprecyzowany i tym większe pole dający wyobraźni. Kto wie, co przeżyli w wojnie z Francuzami, może mieli dość powodów, aby szukać zemsty na Europejczykach, a tu nadarzała się doskonała sposobność. Nikt nie podniósłby ręki na 150 chłopców. Pustynia sama wymierzyłaby sprawiedliwość. Dżamała zresztą na pewno by oszczędzili. Od początku chciano ich rozdzielić. Zguba groziła tylko Danielowi.

Przetoczyły mu się w pamięci sceny z książek i filmów, począwszy od „W pustyni i w puszczy” aż po jakieś francuskie relacje z legii cudzoziemskiej. Daniel jednak znajdował się w całkiem odmiennym położeniu. Nie mógł uczynić nic, aby się ocalić. Przeciwnik dotąd się nie ujawnił. Groza wisiała nad głową jak miecz Damoklesa. Nie wiadomo czemu własna sytuacja skojarzyła mu się z tłumem czekających na placu po poradę lekarską. Oni także czuli się zagrożeni, chociaż w inny sposób, całą nadzieję ulokowali w biało ubranych ludziach obdarzonych wiedzą tajemną. Daniel widział ich, jak przed wieczorem wyszli z budynku i wsiedli do samochodu ze znakiem czerwonego półksiężyca. Wyglądali na bardzo zmęczonych. Jeden zwłaszcza, dość tęgi, co chwila ocierał pot z twarzy, choć już się ochłodziło na dworze. Usiadł na tylnym siedzeniu i wachlował się gazetą.

Co, oprócz zmęczenia, czuli ci lekarze? Czy mieli satysfakcję z dobrze spełnionego obowiązku? Czy też, jak doktor Wapień-ska, poznali gorycz takich doraźnych akcji, nieskuteczność porady udzielonej pośpiesznie, bez uprzednich badań pomocniczych, wspomóżonej tylko tymi lekami, które akurat są pod ręką... Czy doszli już do przekonania, że przede wszystkim trzeba ten świat naprawić, aby móc leczyć skutecznie?

Znowu pomyślał o Blance i Mehmedzie, o Romku, który w dniu poznania wydał mu się zbyt zapalony i naiwny. Może właśnie tacy ludzie trochę ten świat ulepszają? Jeśli on, Daniel, wyjdzie cało z tej przygody, jeśli wróci zdrowo do Warszawy, jaki sobie zawód wybierze? Czy zakopie się w teoretycznych spekulacjach, czy pójdzie do przemysłu, czy będzie doszukiwał się prawdy historycznej w starych dokumentach, czy też zostanie lekarzem, człowiekiem, który obdarza nadzieją?

Nagle sobie uświadomił, że te rozważania miały charakter magiczny, były namiastką ślubów, jakie składano niegdyś prosząc Boga o ratunek, o szczególną łaskę. Jeśli wyjdzie cało z tej przygody — zostanie lekarzem... To brzmiało jak zobowiązanie.

Ale — pomyślał — wynikało z potrzeby poczucia własnej użyteczności. Z chęci obdarzania nadzieją.

Lęk go jednak opuścił, sytuacja wydawała się mniej groźna. Dzień uchodził, kładąc na* pustyni fiołkowe cienie. Karawana zjeżdżała w dół, skałki ustąpiły miejsca piaskom niemal białym w tych miejscach, gdzie padały na nie ostatnie promienie słońca. W oddali jak fatamorgana zamajaczyło kilka palm.

— Tam przenocujemy — wskazał kierunek Beduin jadący obok Daniela. — W opuszczonym karawanseraju.

Daniel długo nie mógł dostrzec budynków, tak zlewały się z kolorem pustyni, z kształtem skałek. Dopiero gdy podjechali całkiem blisko, dojrzał rozwalony mur i bramę stojącą otworem. Mizerne palmy rosły w zagłębieniu, gdzie zbierało się trochę wilgoci. Dookoła panoszyły się kolczaste opuncje.

Ali pierwszy zsiadł z konia i gromkim głosem wydawał polecenia. Wprowadzono wielbłądy do stajni, nacerpano wody ze studzienki, rozniecono wąty, oszczędny ogień z suchych traw i palmowych liści, zaledwie wystarczający dla zagotowania wody na herbatę.

Chłopcy trzymali się na uboczu, lecz stary przywołał ich do siebie. Nie wyglądał na zmęczonego, był znowu w świetnym humorze.

— No, jak tam ci się jechało? — zapytał Daniela. — Miałeś cudownego wielbłąda. Kobiety mogą na nim podróżować.

— Chciałbym wiedzieć, ile mamy za tę przyjemność zapłacić. Ibrahim mówił...

■— Nie przejmuj się jego mową. Pieniądzy od was nie wezmę. Tak powiedziałem i słowa dotrzymam.

— Niech Allah obdarzy cię wszystkimi radościami świata! — wtrącił Dżamal.

— Czy nie przesadzasz, chłopcze, w swoich dobrych życzeniach? — zaśmiał się Ali.

— Nie pragnę aż tak wiele. No, siądźcie przy ogniu. Trzeba się pożywić. Nie sięgajcie do swoich zapasów. Wzięliśmy trochę z gospody. Starczy dla wszystkich. Jutro będziemy w Ghardai, nie zabraknie nam jadła ni napoju.

Beduini otoczyli kręgiem ognisko. Synowie Alego siedli przy nim, zajmując należne

sobie miejsca. Daniel zwrócił się do Ibra-152 hima:

— Twój czcigodny ojciec potwierdził, że nie chce od nas zapłaty.

— Powiedział, że nie chce od was pieniędzy — sprecyzował Beduin.

— No właśnie.

— Możesz spać spokojnie.

— Mam zaległości w spaniu — stwierdził Daniel całkiem już odprężony.

— Jedz i pij — zachęcał go Ali podsuwając mu daktylowy placek i dając znak Hassanowi, by nalał chłopcu naparu z mięty.

— Podziwiam was, jak orientujecie się w pustyni, jak wśród tych wydm i skałek nie gubicie szlaku.

— Szliśmy tędy setki razy. Znamy każdy kamień.

— Do Ghardai, na przykład, idzie się stąd całkiem prosto — wtrącił Beduin, który jechał obok Daniela. — Najpierw trzeba mieć przed oczyma brunatną skałę, podobną do głowy lwa. Później trzymać się rozpadliny, iść jej lewą stroną...

— Czas na modlitwę — przerwał Ali. — Dobranoc, Danielu. Dżamal pójdzie z nami. Ty, połóż się w szopie, bo noc będzie chłodna.

Daniel skorzystał z samotności, aby trochę się umyć. Chłód rzeczywiście dawał się już we znaki. Chłopiec włożył więc na siebie i sweter, i piżamę. Wyciągnął się w kącie szopy, gdzie było najzaciszej. Pod głowę wsunął torbę zamiast poduszki. Prawie zasypiał, gdy nadeszli Beduini, wypełniając gwarem na pół rozwalony budynek. Krząłali się jeszcze dość długo, tak że Daniel, choć zmęczony, nie mógł zasnąć.

— Zimno ci? — spytał go Dżamal. — Położę się bliżej ciebie i obaj przykryjemy się burnusem.

— Okryj się nim sam. Mnie i tak dobrze.

— Zmarzniesz.

— Do świtu niedaleko.

Niedaleko było również do Ghardai, skąd autostopem łatwo już dostać się do Algieru. Myślał o tym z przyjemnością, cieszył się na spotkanie z Szymkiem. Ale niepokój, dręczący go w ciągu całego dnia, powrócił znowu i odbierał sen. ' Daniel zbeształ się w myślach. Cóż mogło grozić mu teraz, kiedy nawet z Alim doszedł do porozumienia, Beduini zaś okazali się przy wieczerzy naprawdę życzliwi? Nawet Ibrahim stał się grzeczny. Nie wolno poddawać się nastrojom, wynikającym zapewne ze zmęczenia. Dżamal oddychał równo, spokojnie. Beduini także spali. Ale nie wszyscy. W przeciwległym kącie szopy dwóch rozmawiało szeptem. Zdawało się Danielowi, że jednym z nich jest Ibrahim.

Nie miało to przecież znaczenia. Daniel zacisnął powieki, aby przywołać sen. Szept to nasilał się, to zacichał. O czym mogli mówić w ciemnościach, po dniu męczącej jazdy?

„Może umawiają się, jak spędzić w Ghardai następny wieczór?” — pomyślał. Ale szept ten nie miał nic z radości oczekiwania, nie kojarzył się z zabawą ani z miłą schadzka. Czyżby mówili o interesach? Te niepodzielnie należały do Ale-go. Więc o czym?

Coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że zmawiali się przeciwko niemu, że czekali tylko, aż zaśnie. Postanowił więc czuwać, póki nie zacichną szepty, póki sen

ich nie zmorzy.

Jak na złość oczy zaczynały mu się kleić, zdrzemnął się nawet, lecz zaraz przebudził, dreszcz go przejął. Było chłodno, to prawda, lecz ów dreszcz miał swe źródło w strachu, mrok sprzyjał zbrojeckim czynom, należało mieć się na baczności.

Zaszeleściły palmowe liście, ktoś stąpał po nich boso. Nie zbliżył się jednak do Daniela, wyszedł na dwór. Przez wylom

154 w zrujnowanej ścianie widać było niebo usiane gwiazdami.

W sąsiedniej stajni czuło się obecność zwierząt. Nie były to nawet wyraźne odgłosy, a właśnie takie nieokreślone poczucie obecności. Tak samo nieokreślone jak lęk, który nie pozwalał zasnąć Danielowi. Lęk irracjonalny, nieuzasadniony.

Beduin wrócił z podwórza. Szedł tak cicho, że Daniel nie umiałby powiedzieć, czy nie podszedł na chwilę do niego, nie przystanął, by sprawdzić, czy śpi.

Nastąpiła wielka cisza. Nawet oddech Dżamala przycichł, rozpląnął się w mroku.

Samotność Daniela stała się zupełna. Poczucie zagrożenia rosło.

Czytał przecież, że na wschodzie uśmierca się człowieka przykrywając mu głowę poduszką lub opończą. Wystarczy chwila, by udusić ofiarę, a później zostawić ją niby pograżoną we śnie i odjechać.

Komu jednak mogłoby zależeć na śmierci Daniela? Toć to oczywista bzdura, trzeba wziąć się w garść i zasnąć.

A jeśli wtedy?...

Obrócił się nerwowo na drugi bok.

Nie. Lepiej czuwać aż do brzasku.

Z tym postanowieniem zapadł nagle w sen głęboki, bezdenny, o którym się mówi, że jest bratem śmierci, bo pograża człowieka w zupełnym odrętwieniu i całkowicie wyłącza jego świadomość.

ROZDZIAŁ 18

Daniel zbudził się późno, ale niewyspany, zgrabiwały z zimna, choć wieczorem włożył na siebie wszystko, oprócz zapasowej bielizny znajdującej się wraz z przyborami do mycia w torbie podróżnej, którą przed snem wsunął sobie pod głowę zamiast poduszki. Torba wszakże znikła. Leżał na gołej ziemi. Towarzysze noclegu cichaczem opuścili szopę z palmowych liści. Tylko Dżamal spał jeszcze skulony pod dziurawym burnusem.

Daniel wszczął gorączkowe poszukiwania. Nie pojmował, jakim cudem wyciągnięto mu torbę spod głowy nie budząc go ze snu. Może jednak położył ją gdzie indziej?

Ale szopą była puściuteńka. Wyszedł na dwór, na słońce. Ani śladu ludzi i wielbłądów. Jak okiem sięgnąć piaszczyste wydmy. Jedyne w otoczeniu szopy rosło kilka palm ocieniających skarb nad skarby: studzienkę.

Zaczerpnął wody. Było jej w naczynku nie więcej niż litr. Zwilżył chustkę, przetarł twarz i ręce. Resztę wody zachował do picia. Dżamal miał pewno jeszcze trochę suszonej mięty, zaparzą więc sobie herbaty, o ile uda się rozniecić ogień z patyków i suchych palmowych liści. Starał się nie dramatyzować sytuacji, lecz gniew i rozgoryczenie mąciły mu jasność myśli. Czyż nie ustalono wczoraj, że razem z karawaną pojedą do Ghardai? Czemuż ci ludzie, na pozór tak przyjaźni, nie dotrzymali słowa, ba, okradli go podczas snu? Co prawda, we Włoszech okrada się

turystów na każdym kroku, a i w Madrycie młodzi chłopcy wyrywają cudzoziemkom torebki z pieniędzmi, ale tutaj, w sercu Sahary, chyba innych należało się spodziewać obyczajów, zwłaszcza że Dżamal powiedział rodakom, dokąd i po co jadą. W przeliczeniu na pieniądze strata nie była wielka. W torbie 156 znajdowało się trochę drobnych i małe, tranzystorowe radio.

Jednakże brak mydła, ręcznika i bielizny na zmianę był nader dotkliwy w tej i tak uciążliwej wędrówce, a utrata radia całkiem odcinała Daniela od jego świata.

Wprawdzie słuchanie muzyki czy wiadomości podawanych w zrozumiałym języku nie miało wpływu na los chłopca, podtrzymywało w nim jednak poczucie łączności z ludźmi, którzy podobnie myślą i postępują, stwarzało złudę bezpieczeństwa. Dopiero teraz, sam przy skąpym źródleku, w blasku pustynnego słońca, w nieokreślonej odległości od Ghardai, zrozumiał, jakim szaleństwem była ich wspólna wyprawa z Dżamalem.

Na szczęście w kieszeni wiatrówki miał paszport i czeki zostawione mu przez Szymona. W Ghardai będzie je można wymienić na gotówkę, tak by starczyło na wyżywienie i podróż autostopem do Algieru. A tam już spotka się z bratem i wszystko, mu wytłumaczy, Szymek z pewnością go nie pochwali, lecz głowy mu przecież nie urwie.

Wrócił do szopy, żeby zbudzić. Dżamala. Zdawało mu się — choć pewno było to tylko złudzenie — że chłopak od dawna nie śpi, odwleka tylko chwilę nieuniknionych wyjaśnień. Daniel poczuł do niego żal, nawet urazę, mimo woli obwiniając go o tę niefortunną przygodę, o utratę podróźnej torby. Wyleciały mu z pamięci wszystkie dobre chwile, wrażenia, które miały pozostać na całe życie; niepowodzenie obudziło w nim głuchą niechęć.

Dżamal jakby się tego domyślił. Ze świętym gniewem jął wyrzekać na Beduinów i biadać nad zniknięciem torby. Czynił to tak przesadnie, że Daniel machnął ręką, ponaglając go do wstania. Skoro zawiodła nadzieja przebycia drogi na wielbłądach, trzeba było przemierzyć ją pieszo. Dżamal wszakże nie martwił się wcale. Gotując wodę przekonywał Daniela, że najdalej jutro dotrą do Ghardai, że mają całkiem obfite zapasy jedzenia, bo w jego sakwie zostało z pół podpłomyka i ze dwie garście daktyli.

Zazwyczaj jadał mało, zdumiewająco mało jak na potrzeby Europejczyków, choć przy nadarzającej się sposobności potrafił spałaszować miche kus-kusu okraszonego tłustą baraniną, której Daniel nie mógł przełknąć. Pił tylko rano i wieczorem po kubku miętowej herbaty, w południe zaś, gdy słońce mocno 157

przygrzewało i Daniel wypiłby morze coca-coli, Dżamal nawet nie zwilżał ust.

Zdawało się, że nie odczuwa pragnienia, południowego skwaru ani nocnego chłodu, że nigdy nie jest zmęczony. Ale też nigdy zbyt nie spieszył, nie wyrywał do niczego. Ożywiał się dopiero przy opowiadaniu, gestykulował, twarz jego mieniła się od wrażeń, ponosiła go fantazja. Nie to, żeby kłamał: ubarwiał tylko rzeczywistość, nie miał też żadnej miary czasu, przestrzeni, nasilenia uczuć. „Niedługo”, „wkrótce” — mogło równie dobrze oznaczać godzinę jak i tydzień. W porównaniu z obszarami Sahary „blisko” mogło znaczyć sto i dwieście kilometrów. Dlatego Daniel nie dowierzał, że następną noc spędzą w Ghardai.

Nie było jednak innej rady — należało wyruszyć pustynnym szlakiem karawan do

jednego z najświetniejszych miast Sahary. Początek lutego nie jest, na szczęście, zbyt upalny. Wiatr ucichł, a powietrze czystsze niż na szczytach Tatr rozkosznie syciło płuca. Oddychanie sprawiało przyjemność, z którą Daniel nie mógł się oswoić. Był jednak diabelnie głodny: dzienna racja Dżamala stanowczo mu nie wystarczała. Nie chciał nawet myśleć o solidnym posiłku, bo nagle zwątpił, czy kiedykolwiek dojdą do Ghardai. Powracały w pamięci opowiadania o piaskowych burzach, o zagładzie karawan wyczerpanych głodem i (pragnieniem, o szkieletach ludzi i wielbłądów odnalezionych wśród wydmy.

Podczas kilkudniowej podróży samochodem przez Saharę krajobraz zmieniał się wprawdzie powoli, ale przecież zmieniał. Piaszczyste wydmy ustępowały kamienistej równinie porosłej kępami suchej trawy, czasami pojawiały się dziwnego kształtu czerwone skałki.

Teraz, kiedy wolno i mozolnie przemierzali monotony płaskowyż, zdawało się Danielowi, że nic nie zmienia się na przestrzeni dziesiątków kilometrów — aż po odległy[^] horyzont. Siły ludzkie były śmiesznie węższe w porównaniu z tym ogromem pustyni. Ogarniało go poczucie beznadziejności.

Tym bardziej drażniło zachowanie Dżamala, który ochoczo brnął przez bezkresne pustkowia i snuł najwspanialsze plany spędzenia następnego wieczoru w Ghardai. Twierdził, że ma tam

158 dalekiego krewnego, który naucza w koranicznej szkole Moza-bitów, a więc z pewnością zapewni obu chłopcom nocleg i nakarmi ich do syta.

Dżamal wprawdzie nie widział go nigdy w życiu, lecz uczony, chluba rodu, znany mu był z rodzinnych opowieści. Nie troszczył się, jak odnajdą czcigodnego krewniaka, ani też o to, czy zechce im przyjść z pomocą, był pewien spełnienia swoich marzeń. Jak zwykle — pragnienia brał za rzeczywistość.

Po paru godzinach marszu zatrzymali się na krótki odpoczynek. Bez zegarka nie mogli nawet określić godziny. Zjedli resztę zapasów. Daniel wypił odrobinę zabranej ze śniadania herbaty. Długo trzymał w ustach każdy łyk, aby pozbyć się nieznosnego uczucia suchości w gardle. Miał wrażenie, że spłukuje w ten sposób drapiące ziarenka piasku.

I znów szli przed siebie, teraz już w milczeniu, coraz bardziej znużeni. Ghardai nadal nie było widać. Teren stawał się skalisty, znikaly na nim ślady życia, ziemia wydawała się coraz twardsza, niebo bezlitosne w swej niezmienności. Była to szeroka, ogromna płaszczyzna wapienna, rozryta głębokimi rozpadlinami, jakby korytami wyschniętych rzek. Pustynia zupełna, bez żdźbła trawy, bez kępki porostu. Wieczór nieomal ich zaskoczył, i to w miejscu całkiem nie-sposobnym na nocleg. Ściemniło się raptownie, tak że ledwie zdołali wyszukać skałkę, pod którą mogliby się położyć w złudnym poczuciu bezpieczeństwa lub tylko osłony przed chłodem. Daniel raz jeszcze przeszukał kieszenie wiatrówki. Choć mógł przysiąc, że nie ma w nich nic do zjedzenia, znalazł zapomniany kawałek czekolady i całą paczkę gumy do żucia. Dżamal nie posiadał się z radości. Zrewanżował się też zaraz dobywając z sakwy butelkę, którą Daniel otrzymał od Bena i po wypiciu wody mineralnej — wyrzucił. Arab napelił ją przezornie naparem mięty i doniósł aż tutaj. Ta jego zapobiegliwość zamiast ucieszyć Daniela, znowu wzbudziła w nim złe uczucia. Z trudem powstrzymał się od robienia chłopakowi wyrzutów. Dżamal odgadł jego

myśli i zapytał:

— Dlaczego twoi amerykańscy przyjaciele zostawili cię samego na drodze?

-r— To nie byli moi przyjaciele. Poznałem ich przed kilkoma 159 dniami. Zresztą wcale mnie nie zostawili, chcieli mnie odwieźć do Uargli.

— Czemu nie skorzystałeś z tego? Z Uargli byłoby ci łatwiej dotrzeć do Algieru.

— Miałem dosyć ich towarzystwa.

— Pokłóciliście się? O co?

— O nic.

— Ludzie nie rozstają się bez powodu.

— Ejże! Więc czemu Ali porzucił nas w środku pustyni?

— Bo naraziłeś się jego synom. Byli na ciebie źli i obrażeni.

— Skąd wiesz?

— Każdy to widział.

— Ale to jeszcze nie powód, żeby...

— Owszem. Całkiem wystarczający. Ciesz się, że nie potraktowali cię gorzej. Oszczędzili cię tylko przez wzgląd na mnie.

— Przechwalasz się, Dżamalu.

Arab wzruszył ramionami. Otulił się szczerlnie burnusem i ostentacyjnie odsunął trochę od Daniela. •

O pierwszym brzasku, zaraz po modlitwie porannej, ruszyli w dalszą drogę. Guma do żucia okazała się rzeczywiście wspaniałą rzeczą, oszukiwała głód i pragnienie.

Wprawdzie butelka Dżamala zawierała jeszcze ze dwie szklanki wody, lecz chłopak schował ją na później, a Daniel, zły i milczący, nie chciał go prosić bodaj o parę łyków. Coraz bardziej bolały go nogi, drobne ziarenka piasku dotkliwie ocierały skórę. Nie pomagało zdejmowanie butów i wytrząsanie zwilgotniałych od potu skarpetek. Całe stopy poczerwieniały, w wielu miejscach potworzyły się pęcherze i krwawiące otarcia. Daniel przyglądał się im z niepokojem. W utraconej torbie miał trochę środków opatrunkowych. Jak uda mu się bez nich dobrnąć do Ghardai? Jego buty były dobre na podróż samochodem, ale nie na pieszą wędrówkę przez pustynię. Z zazdrością patrzył na Dżamala, który szedł lekko, nie czując żadnych dolegliwości. W południe przysiedli, żeby trochę odpocząć. Nic już nie mieli do jedzenia. Dżamal podał Danielowi butelkę z naparem 160 mięty, ale sam nie pił mimo nalegań towarzysza.

— Jeszcze nie czuję pragnienia — oświadczył suchymi wargami. Patrzył jednak uważnie, ile łyków Daniel pociągnie. Och, wypiłby wszystko^ do ostatniej kropli, gdyby nie ten czujny, chłodny wzrok Araba.

Wyciągnęli się na piasku. Słońce mocno przygrzewało. Niebo nad pustynią wydawało się tak ogromne, horyzont tak odległy. Daniel pomyślał, jak zareaguje Szymon na wieść o jego zaginięciu, jak je przeżyje matka. Był teraz pewien jej miłości, pragnął z całego serca znaleźć się znowu przy niej. Wiedział doskonale, że jeśli mu skapła swego czasu, to dlatego, iż oddawała go innym, którzy bardziej go potrzebowali. Wiedział o tym zawsze, lecz nie godził się na to, nie przyjmował do wiadomości, pacjenci matki byli obcymi ludźmi, nie stawali mu przed oczyma, jak ci chorzy z Guerrary, czekający na przyjezdnych lekarzy. Całe jej postępowanie, w

którym tylekroć dopatrywał się oschłości Iud zniecierpliwienia, jawiło mu się teraz w innym świetle. Wyrzucał sobie, że chciał być dla niej najważniejszy, pierwszoplanowy, że domagał się uwagi dla najdrobniejszych swoich przeżyć; podczas gdy ona dźwigała ciężar tylu trosk i odpowiedzialności. Może gdyby nie wyjeżdżał z domu, potrafiłaby go stopniowo wprowadzić w swój własny świat, wtajemniczyć w ludzkie cierpienie. Lecz ona chciała mu tego widoku oszczędzić, chciała, by jego życie układało się lżej i barwniej. Czy mógł jej o to czynić wyrzuty? W tej chwili zdawało mu się, że powinien być mieć większy udział w jej kłopotach, w jej problemach. Dopiero tutaj pojmował sens jej pracy. I tym bardziej żałował, że nigdy chyba nie będzie mógł z nią o tym porozmawiać. Gorycz rzeczy niedopełnionych przeważała nad lękiem o siebie, nie potrafił jeszcze wyobrazić sobie własnej zagłady, wciąż żywił podświadomą nadzieję, że przecież wyjdzie cało z opresji, że wszystko dobrze się skończy, jak w przygodowym filmie. Ból nóg sprowadzał go do rzeczywistości. Pierwsze kroki po odpoczynku były udawką nie do zniesienia. Miał ochotę usiąść i nie wstawać więcej. Dżamał patrzył na niego zatroskanym wzrokiem.

— Wieczorem będziemy w Ghardai. Napijemy się, wyśpimy — powtórzył po raz nie wiadomo który.

— Bajaj, bajaj, będziesz w raju — szepnął po polsku.

11 — Daniel na Saharze

— Co to znaczy?

— Nic właściwie.

— Zakłęcie?

— Uhm.

Męczyła go rozmowa, konieczność nadrabiania miną. Skupił wszystkie siły na mozolnym marszu, nie chciał nawet przystawać na odpoczynek. Postanowił iść, iść — póki nie padnie z wyczerpania.

Czas się dłużył, drogi nie ubywało, krajobraz nie zmieniał się wcale, jakby dreptali w miejscu. Tylko słońce pochyliło się trochę niżej.

— Napij się — Dżamał podsunął butelkę Danielowi.

— A ty?

— Ja mogę się obejść. Jak wielbłąd.

— Wypijmy po połowie.

— Nie. Zostaw na później.

— Od rana nie miałeś wody w ustach.

— Obejdę się — powtórzył Dżamał bez uśmiechu.

Daniel pociągnął kilka łyków. Całym wysiłkiem woli oderwał butelkę od spierzchniętych warg.

— Reszta twoja.

Szli w milczeniu po spękanej płaszczyźnie między coraz głębszymi rozpadlinami.

Jedna z nich zaczęła się stopniowo rozszerzać, aż wreszcie utworzyła rozległe koryto M'zabu, którym, niestety, nie płynęła ani strużka wody. Ale ponad nim, w niezmiernym oddaleniu, pojawiły się szczyty gór.

— W dole jest Ghardaia! — oznajmił radośnie Dżamał. Przyspieszyli kroku, prawie biegli. Daniel nie czuł zmęczenia

ani bólu, zapatrzony w różowiejące pasmo skał. Gdy jednak znikły, przesłonięte krawędzią rozpadliny, osłabł nagle, jakby to, co widział poprzednio, było tylko złudzeniem.

— Nie mam już sił — powiedział z rozpaczą. — Idź dalej sam. Zostaw mnie tutaj.

— Za godzinę ujrzysz oazę. Za półtorej będziemy w mieście — obiecywał Dżamal.

— Wypij resztę herbaty. Do ostatniej kropli.

Odwrócił się, żeby nie patrzeć, jak Daniel powoli sączy zie-

162 lonkawy płyn.

— Chodźmy. Nie trzeba się spieszyć. Zdążymy przed zmrokiem.

Mówił z wysiłkiem, bo gardło miał wysuszone, ściśnięte. Danielowi zrobiło się wstyd, że nie oparł się pokusie, że wypił wszystko. Wyprostował plecy, zmusił się do uśmiechu. Arab pokiwał głową. Ruchem dłoni wskazał, żeby Daniel szedł pierwszy i nadawał tempo.

Wlekli się do zachodu słońca. Płaskowyż nagle się urwał. W dole, jak na dnie czary, widniała oaza.

— Ghardaia! -*- szepnął Daniel.

Obaj rzucili się biegiem ku drodze, wiodącej do miasta. Pędzili bez tchu, w uniesieniu, w gorączce niemal, jakby chcieli sprawdzić, że to nie złuda, dotknąć ręką domu, zagadać do ludzi. Byli ocaleni!

Miasto składało się jakby z dwóch części: podegrodzia, wzdłuż geometrycznie wyznaczonych ulic, i właściwej siedziby Moza-bitów, tej białej góry domów podnoszącej się amfiteatralnie ku wieży minaretu. Na dole gwarно, brudno, smrodliwie. Dużo sklepików, kawiarenek, mnóstwo ludzi o różnych kolorach skóry, rozmaicie ubranych, mówiących wszelkimi możliwymi dialektami. Ale gdy tylko chłopcy przekroczyli bramę murów otaczających białe miasto, ogarnęła ich niesamowita cisza. Ciasne uliczki puste, ani żywego ducha. Wprawdzie miało się już ku wieczorowi, ale o tej porze nikt chyba jeszcze nie spał. Cienie kładły się na białych murach, domy wydawały się wyższe, bardziej tajemnicze. Minęli parę kobiet tak dokładnie spowitych w białe szaty, że tylko przez wąską szparę zerkwały na ziemię pod stopami.

Dżamal pewnym krokiem szedł ku górze, choć uliczki stawały się coraz węższe i bardziej kręte, tak że do klasztoru trudno było trafić. Dotarli tam jednak. Składał się on z zespołu budynków o surowym wyglądzie; jedyną ich ozdobę stanowiły toporne kolumny i arkady. Pośrodku podwórze, obok sala modlitwy, dalej izby szkolne, biblioteka teologiczna. Dżamal zostawił Daniela na zewnątrz, sam zaś wszedł do budynku, aby odszukać krewniaka. Po jakimś czasie wrócił w towarzystwie sędziwego starca w białej szacie, który przemówił do Daniela 163

piękną francuszczyzną. Wyraził radość z poznania młodego Polaka, gotów był mu nawet pokazać nazajutrz zabudowania klasztorne i zbiory biblioteczne, lecz nie mógł zaofiarować noclegu. Reguła zakonna zabraniała goszczenia cudzoziemców.

— Idźcie na dół, do hotelu. Tam odpoczniecie w prawdziwie wygodnych warunkach. Traficie bez trudu, zaraz za murami hotel ukaże się waszym oczom.

Rad nierad Daniel podziękował za wskazanie drogi, chociaż był pewien, że nie stać go będzie na wynajęcie pokoju. Dżamal ze zwykłą sobie bez troską czy nieświadomością wcale o tym nie pomyślał i dreptał ochoczo u jego boku.

Hotel wyglądał imponująco. Widok zaparkowanych u jego podnóża samochodów upewnił Daniela, że nie ma tu czego szukać. Postanowił wymienić przynajmniej czek na gotówkę, żeby móc zapłacić za nocleg w jakimś zajeździe na dole. Przecież w takim hotelu, przeznaczonym dla bogatych zagranicznych turystów, musi być kantor wymiany.

I był rzeczywiście, lecz zamknięty. Tak więc chłopcy znaleźli się bez grosza przy duszy, bez noclegu i bez wymarzonego posiłku.

— A niech to diabli! — zaklął głośno Daniel odwracając się od zasłoniętego firaneczką okienka z napisem „Change”.

— Co cię tak rozgniewało? — zapytał również po polsku blondyn pijący drinka w hotelowym holu.

Daniel spojrział zdziwiony. Mężczyzna przywołał go skinieniem ręki.

— Siądź przy mnie, pogadamy. Skąd się tutaj wzięłeś?

— To ja raczej mógłbym pana zapytać...

— Pracuję na polach naftowych w Hassi Mesaud. Jako inżynier. W takiej tam międzynarodowej spółce akcyjnej. Ale ty?

— Przyjechałem do Algierii na kurację. Byłem w Biskrze... Później wyruszyłem na południe... Stamtąd tutaj... W drodze do Algieru... Do brata, który wykłada na uniwersytecie.

— A ten Arab?

— Cierpi na jakąś chorobę oczu. Chciałbym go pokazać naszym lekarzom.

— Choroby oczu bywają tu na ogół bardzo zaraźliwe. No i gdzie zanocujesz?

— Zamierzałem wymienić czek... — bąknął Daniel czerwieniąc się po uszy, bo to, co miał dorzucić, bywa ulubionym argumentem naciągaczy. — Ukradziono mi w nocy torbę podróżną i gotówkę.

— Hm... To przykre. Napijesz się czegoś? — Nie czekając na odpowiedź przywołał gestem kelnera. Udawał nadal, że nie dostrzega Dżamala.

— Chętnie! — odparł chłopak również jakby zapominając o obecności towarzysza. Kiedy jednak zerknął ukradkiem w jego stronę, stwierdził, że Arab odszedł na drugi koniec holu.

— Co ci podać? Piwo? Colę? Whisky? Kelner czekał na zamówienie.

— Jeśli można to piwo i... herbatę.

— I parę sandwiczów, co? Wyglądasz na dobrze, zmęczonego.

— Ostatni kawałek drogi zrobiliśmy pieszo.

— Doprawdy? Ależ to szaleństwo!

— Od chwili wyjazdu z Biskry popełniam same szaleństwa. Ale obejrzałem kawał Afryki.

— Ile ty masz lat?

— Szesnaście.

— W twoim wieku akurat wyjechałem z Polski. W trzydziestym ósmym roku.

Później byłem we Francji, Anglii, w Stanach... Do Warszawy już nie wróciłem. Moja matka jest Francuzką — dodał jakby na usprawiedliwienie. — Włóczyłem się po całym świecie.

— Nadal mówi pan dobrze po polsku.

— Staram się... W naszym konsorcjum mamy jeszcze dwóch Polaków. Dostają

czasem pisma, książki. Pożyczają mi. Gadamy o kraju.

Daniel z rozkoszą sącył chłodne piwo, chociaż wyrzucał sobie, że nie przywołał Dżamala. Czuł jednak, że inżynier nie byłby tym zachwycony.

— No i gdzie zanocujesz? — powtórzył pytanie.

— Och, znajdę coś sobie — wzruszył ramionami Daniel. — Skoro daliśmy sobie radę do tej pory...

— Jak ci na imię?

— Daniel.

— Widzisz, Danielu, gdyby chodziło tylko o ciebie, mógłbyś spędzić noc w moim pokoju. Mam jedno łóżko wolne. Ale ten Arab...

— On ma tutaj krewnego u Mozabitów.

— Ach tak? — ucieszył się inżynier. — No, to sprawa załatwiona. Powiedz mu, niech tam idzie. A ty się tu wykąpiesz, odświeżysz, zjemy razem kolację, pogadamy...

Daniel wstał lekko oszołomiony po kuflu piwa. Idąc w stronę Dżamala czuł się bardzo głupio. Odkąd się poznali, zawsze byli razem. Co ten chłopak sobie pomyśli?

Ale Dżamal zniknął. Nie było go w holu ani na tarasie przed wejściem. Daremnie Daniel się rozglądał.

— Szuka pan kogoś? — zapytał usłużnie kelner, który przed chwilą podał mu sandwicze.

— Tak... Tego chłopca, który przyszedł ze mną... Dżamala.

— Prosił, żeby powiedzieć panu, że wraca do swojego stryja, do klasztoru.

— W porządku. Kelner lekko się skłonił.

Daniel wrócił do stolika, usiadł w niskim, czerwonym fotelu.

— Odprawileś chłopca? — uśmiechnął się inżynier grzech o-cząc lodem w wysokiej szklance pełnej złotawego płynu. — Lepiej ich trzymać na dystans. To ludzie innego pokroju.

— Jak dotąd miałem z nimi dobre doświadczenia — stwierdził Daniel nie całkiem tego pewien, pragnąc jednak w ten sposób wynagrodzić Dżamalowi krzywdę. Czuł się winny wobec niego, choć na swoje usprawiedliwienie przywoływał słowa starego Mozabity, który mu odmówił noclegu. Nie on, Daniel, będzie przełamywał zwyczaje, nie on będzie walczył z przesadami...

— Od jak dawna jesteś na Saharze?

— Od połowy grudnia.

— Ja spędziłem tutaj dwa lata. Mam trochę więcej doświadczenia. Zresztą jeszcze pogadamy. Chodź, zaprowadzę cię do pokoju. Kąpiel dobrze ci zrobi.

Po marmurowych schodach weszli na pierwsze piętro. Pokój

z klimatyzacją, z łazienką całą w kafelkach, śnieżna bielizna

166 pościelowa, koce z wielbłądziej wełny — wszystko to wydawało

się Danielowi cudem po dniach włóczęgi. Wszelako myjąc się pod natryskiem znowu robił sobie wyrzuty, że tak łatwo, tak odruchowo rozstał się ze swoim towarzyszem.

A. może Dżamal się obrazi? Nie zechce z nim jechać do Algieru i zrezygnuje z leczenia? Nie, to niemożliwe! Jutro z rana Daniel odnajdzie go w klasztorze i wyruszą razem w dalszą drogę.

Kiedy miękkim prześcieradłem kąpielowym wycierał do sucha zmęczone ciało, pomyślał jednak, że jeżeli Dżamal nie poczuł się dotknięty, jeśli uznał taki porządek

rzeczy za normalny, to tym gorzej, bo tkwi jeszcze po uszy w przesądach, dzielących ludzi wedle koloru skóry, wierzeń religijnych czy stanu zamożności. A przecież powinniśmy być braćmi — stwierdził w duchu trochę obłudnie, bo nie był już całkiem przekonany o możliwości zrealizowania tego hasła. <

Inżynier zapukał do drzwi łazienki.

— Gotów jesteś? Włóż moją koszulę. Będzie trochę za obszerna, lecz świeża...

Kiedy Daniel wszedł bosy do pokoju, inżynier ze zgrozą spojrział na jego stopy.

— Czemuś mi nic nie powiedział? Trzeba będzie zrobić opatrunek.

Wyjął z torby podróżnej jakąś zasypkę, gazę i dwie rolki bandaża, przyniósł skarpetki.

— Ale się urządziłeś! — sarknął. — Poczekaj, sam założę bandaż. Bardzo boli? Bolało, naturalnie, lecz był to już ból przyciszony, niegroźny, łatwiejszy do zniesienia.

W kwadrans później zeszli obaj do restauracji hotelowej. Od czasu wycieczek z profesorem Skinnerem po Szkocji Daniel nie był w tak eleganckim lokalu. Siedziało tu wielu cudzoziemców, którzy w pogoni za słońcem przybywali z północnych krajów Europy. Tylko przy kilku stolikach widać było Arabów, towarzyszących obcokrajowcom.

— Co cię najbardziej uderzyło podczas pobytu na Saharze? — zapytał inżynier rozkładając serwetkę na kolanach.

— Budowa wsi socjalistycznych... Nawet nie tyle wsie, ile nomadzi, czekający w namiotach, aż zostaną im oddane do użytku budynki bardzo wprawdzie prymitywne, ale w ich pojęciu 167

ил 51 s O

będące szczytem wygody. Nie wyobrażałem sobie, że może istnieć taka bieda... Że człowiek może tak nic nie mieć... I z taką pieczołowitością pielęgnować palmy w piasku pustyni. Odbierać jej to, co zagarnęła. Wie pan, każda rodzina dostaje skrawek ziemi po to, by pielęgnować kilkanaście palm... Póki są małe, sadi się między nimi trochę marchwi, czosnku. Nabożny stosunek do wody...

— ' Wzdłuż wyschłej rzeki Rirh rosną już dwa miliony daktylowców dzięki dobrodziejstwu pomp i sieci irygacyjnej. Sahara kryje w swym wnętrzu nie tylko złoża ropy i gazu ziemnego, lecz także słodkowodne morze. Podobno rozciąga się ono na obszarze tysięcy kilometrów kwadratowych. I to niezbyt głęboko. Na trzysta, tysiąc metrów pod powierzchnią piasku. Wykorzystanie tej wody mogłoby przeobrazić kraj w jedną z naj-żyźniejszych okolic świata... Dziś Algieria ciągle nie może się należycie wyżywić ani zniwelować kontrastów między miastami północy i pustynią, między warunkami w pasie śródziemnomorskim a oazami... \

— Zamierza pan tu zostać dłużej?

— Eksploatujemy bogate źródła ropy i gazu ziemnego. Roboty starczyłoby na wiele lat. Ale stosunki ulegają zmianie. Algierczycy zatrudniają coraz więcej własnych specjalistów i nie ufają cudzoziemcom. Nawet za cenę pewnego regresu cywilizacyjnego i kulturalnego nie chcą przejmować wzorów europejskich. Pragną zachować własną tożsamość, własną odrębność. Francuzi naiwnie wierzyli, że największym dobrodziejstwem dla Arabów jest asymilacja, upodobnienie się pod każdym względem do kolonizatorów. Część algierskiej burżuazji rzeczywiście

naśladowała ich, aby zdobyć szersze uprawnienia, majątki, zrobić karierę urzędniczą lub prowadzić wolny zawód. Nie zdawali sobie sprawy, ile na tym tracą. Zawsze pozostawali obywatelami gorszej kategorii, przedmiotem pogardy. Francuzi przeświadczeni o wyższości rozumu nad „barbarzyństwem”, nigdy nie potrafili wczuć się w psychikę Mozabitów, Tuaregów, Arabów, zrozumieć ich fantastycznego przywiązania do islamu nie tylko jako religii, ale i stylu życia.

— Chyba każdy uważa swój styl życia za najlepszy.

— Jasne. Rzecz w tym, by nie narzucać go innym.

— A pan... Za kogo p[^]n się uważa? Za Polaka, Francuza?... Nie chodzi mi o przynależność formalną, obywatelstwo...

— Jestem człowiekiem Zachodu. Technokratą. Moją ojczyzną jest Wielki Przemysł.

— Biznes.

— Nawet nie biznes. Budowa wielkich kompleksów, eksploatacja złóż na miarę światową to rzecz bardzo pasjonująca. Człowiek się w tym wyżywa. Ma wszystko, czego potrzeba mężczyźnie: ryzyko, wysiłek, niebezpieczeństwo i miraż sukcesu. Polaków chyba szczególnie kusi ten rodzaj pracy. Pomyśl, ilu naszych rodaków budowało przemysł w Ameryce Południowej, koleje, mosty, kanały _ na całym świecie. Potrzebny był im rozmach, swoboda działania, możliwość realizacji najśmielszych projektów... A ty? Co chcesz robić? Jaki obierzesz sobie zawód?

— Nie wiem jeszcze - _ odparł Daniel zmieszany, bo w tej chwili trochę rozmijał się z prawdą. Nie chciał mówić o swoich planach człowiekowi, który zapewne nie mógłby go zrozumieć. Daniel nie marzył bowiem o sukcesie ani o podjęciu prac na skalę światową, po prostu bardzo, z całego serca pragnął pomagać ludziom, przywracać im zdrowie, dodawać otuchy. Zostać lekarzem... Ale nie w- dużym mieście, nie w klinice u boku sławnego profesora, nie dla materialnych korzyści... Idealizował siebie, przeceniał satysfakcje płynące z poświęcenia się dla bliźnich, które go tak pociągało teraz, po dobrej kolacji w pierwszorzędnym hotelu, kiedy ściszone muzyka z najnowszych płyt angielskich towarzyszyła wspomnieniom inżyniera.

Mówił o latach szkolnych, młodzieńczych, o jakiejś pierwszej miłości. Po kilku kieliszkach alkoholu stracił sprężystość ruchów, postarzał się, rozkleił, był sentymentalny, odezwała się w nim tęsknota za czymś niespełnionym albo

utraconym, czego odzyskać nie można, bo lata lecą, nic dwa razy się nie zdarza...

Daniel słuchał go nieuważnie, czuł nad nim przewagę młodości, miał jeszcze wszystko pr?ed sobą. Byle umiejętnie wybrać, byle nie dać się ogłupić, byle samemu głupstw nie popełniać. Przejycia ostatnich dni, zmęczenie, jeszcze jedno piwo przy kolacji stępiły w nim krytycyzm. Był pewien, że właśnie jemu się powiedzie, że on zrealizuje siebie w pełni.

— Pytałeś, jak długo tu zostanę — powiedział zmatowiałym głosem inżynier. —

Otóż niedługo. Wróciłem właśnie z Francji, gdzie poddałem się badaniom.

Stwierdzono niezbitcie, że mam białaczkę, że muszę przerwać pracę, zacząć

intensywną kurację. I nawet nie miałem komu o tym powiedzieć. Z żoną dawno się

rozszedłem, córka moja jest w Stanach, piszemy do siebie dwa razy do roku. A

koledzy... Kiedy zobaczyłem ciebie, tak podobnego do mnie... Może to przywidzenie, ale zdaje mi się, że istniało nawet jakieś fizyczne podobieństwo... Więc kiedy cię

zobaczyłem, to tak, jakby powróciła przeszłość, jakby można było życie zacząć od nowa... Dziękuję ci za ten wieczór. Gdybyś chciał tutaj zostać parę dni, coś jeszcze zwiedzić...

— Niestety. Muszę jechać do Algieru, do Warszawy, do szkoły... Sam pan rozumie...

— No tak — zabębnił palcami po stole, przywołał kelnera, zapłacił. W milczeniu, powoli wstępowali po marmurowych schodach wiodących na ich piętro. Daniel gorączkowo szukał słów, które należałoby powiedzieć, żeby przynieść ulgę tamtemu człowiekowi, lecz nic nie przychodziło mu do głowy, słowa pocieszenia drażnią tylko i obrażają.

— Jutro jeden z moich techników jedzie ciężarówką do Algieru, mógłby was zabrać — powiedział inżynier otwierając drzwi. — Jeśli chcesz, to mu powiem, żeby o ósmej czekał przed hotelem.

— Doskonale!

— Musimy wstać dość wcześnie... Nastawię budzik. Na recepcję nie można liczyć. Już się opanował, mówił spokojnym głosem, może żałował, że zwierzył się chłopcu ze swej tajemnicy, a może właśnie przyniosło mu to ulgę.

Kiedy wczesnym rankiem Daniel wyszedł na taras przed hotelem, zastał tam Dżamala, który stał oparty o balustradę i wpatrywał się w położone na przeciwległym stoku doliny miasto Beni Isguen, zamknięte ściśle w obrębie murów, jaśniejące nad doliną mnóstwem białych, graniastych domów, ponad którymi sterczała wieża meczetu.

Oaza położona między bliźniaczymi miastami wydawała się niepokazna, jakby zszarzała. Niebo natomiast lśniło nieskalanym szafirem.

Dżamal odwrócił się. Zwinięty burnus i sakwa u boku świadczyły, że był gotów do drogi.

— Jedziemy? — zapytał, jakby to było całkiem naturalne.

— Tak. Ciężarówką. Do samego Algieru.

Dżamal uśmiechnął się. Z jego smagłej twarzy niewiele można było wyczytać. Miał na sobie tę samą, lecz wypraną odzież, był wypoczęty i — co zabawne, gdy chodzi o piętnastoletniego chłopca — pełen godności.

— Mohamed Ali przesyła ci pozdrowienia.

— Dziękuję — odparł ze stosowną powagą Daniel.

— Mohamed Ali dał mi list do ciotecznej brata mego ojca. Ten nasz krewny ma sklep w Algierze. Może zgodzi się, abym u niego zamieszkał. Może pójdę do szkoły. Może zdobędę wyższe wykształcenie. Może będę wielkim człowiekiem.

Znowu ponosiła go fantazja, roił cudowne plany. Ale Daniel nie burzył jego nadziei. Kto wie, czy wizyta u czcigodnego Mo-zabity nie była punktem zwrotnym w życiu tego chłopca.

O ósmej zjawił się technik z Hassi Mesaud, Algierczyk w kwiecie wieku, repatriant z Francji. Wsadził obu chłopców do szoferki, sam siadł za kierownicą.

— Musimy się trochę spieszyć. Mamy sześćset kilometrów przed sobą — powiedział po francusku. — Ale droga dobra, towarzystwo miłe — uśmiechnął się bardziej do Dżamala niż do Daniela. Prujemy najpierw do Laghuat. Tam wstąpimy na chwilę do kogoś — mrugnął porozumiewawczo — po daktyle i pomarańcze. Nie ma lepszych w całej Algierii. No i dostaniemy je za darmo. Łatwiej im tam cps

wyhodować niż tutaj, mają więcej wody. Pomyślcie tylko, w M'zabie całą wodę trzeba wyciągać z trzech tysięcy zwyczajnych, bardzo głębokich studni... Już mi obrzydło słuchać, jak skrzypią.

— A jednak hodują tu ćwierć miliona palm daktylowych — oburzył się Dżamal. — Tak mi powiedział mój czcigodny krewny Mohamed Ali z klasztoru w Ghardai.

— Skoro tak, to święta prawda — znowu uśmiechnął się Algierczyk. — Podobno Mozabici oszukują tylko w interesach. 171

Poza tym kłamstwo nigdy nie kala ich ust. A wątpię, aby twój czcigodny krewny Mohamed Ali z tutejszego klasztoru prowadził jakiegokolwiek interesy.

— Skądże. Jest uczonym. Teologiem.

— Oby Allah miał go w swej opiece.

Niepostrzeżenie przeszli na arabski — ku zadowoleniu Daniela, który siedząc przy oknie niby to oglądał krajobraz, lecz raczej błogo odpoczywał, nie myśląc właściwie o niczym. Wprawdzie ostatnią noc przespał snem kamiennym, ale był jeszcze bardzo zmęczony, a nadmiar wrażeń w ostatnich dniach jakby go ogłuszył. Tęsknił nawet nie za algierską przystanią Szymona, lecz za portem macierzystym, za domem w Warszawie, gdzie wszystko trwa po staremu i wiadomo, czego można się spodziewać. Jasne, że każdy okręt musi wyruszyć w nowy rejs, bliski czy daleki, morze jest jego żywiołem, ruch nieodzowną potrzebą, lecz jakże słodka jest myśl o powrocie, kiedy czas na kilka dni się zatrzymuje, znajome sprzęty są pod ręką, bezpieczeństwo wydaje się zupełne, rodzina pełni rolę falochronu, a burze — jeśli szaleją — to w należytej odległości.

Wracał zatem do punktu wyjścia, chociaż inną drogą, w innej porze roku.

Bliżej oazy Laghuat, położonej na wysokości 750 m nad Uedem Mzi, było widać szybkie postępy wiosny. Brunatne łożyska strumieni rozkwitły gąszczem oleandrów. Plantacje fig, granatów i palm daktylowych ożyły, winnice pokryły się młodą zielenią.

— W marcu odbędzie się tu święto — oznajmił kierowca. — Zawody jeździeckie na koniach i dromaderach. To najpiękniejsza pora. Jeszcze nie ma upałów, a wszystko już kwitnie. Może zostaniesz, poczekaasz? — zwrócił się żartem do Daniela.

— Chętnie bym to zrobił.

— A ja nie! — wtrącił Dżamal. — Bardzo mi pilno do Algieru!

— Ciekaw jesteś miasta?

— Nie. Odmiany losu.

Znowu powiedział to zbyt poważnym, jakby napuszczonym tonem, mimo woli naśladować pewnie jakiegoś nauczyciela, który wbijał mu w głowę wersety Koranu. Ale wyraził jasno istotę 172 swoich myśli: cały był oczekiwaniem.

W Laghuat zabawili krótko, kierowca wrzucił do ciężarówki kilka worków z owocami, parę skrzynek, i znowu siadł za kółkiem, pogwizdując z satysfakcją.

Pędzili teraz jeszcze szybciej, mimo że droga pięła się w górę przez masyw Atlasu Saharyjskiego. W pewnej chwili technik wskazał Danielowi wyniosłe szczyty.

— To Ued Nail. Stąd schodzą tancerki, żeby uezierać sobie posag. Widziałeś może ich tańce?

— Widziałem.

— Powiadają, że jeśli dziewczyna z Ued Nail da chłopcu kwiatek, będzie miał

szczęście w miłości przez całe życie.

Za zakrętem ujrzeni wierzchołek Senalba, wysoki na półtora tysiąca metrów. W szoferce zrobiło się zimno. Od pobliskich lasów ciągnął jeszcze zimowy zamróz.

— Na wschód od miasta Dżelfa, niedaleko stąd, odkryto wśród skał prehistoryczne rysunki zwierząt: muflona, antylopy, lwa — popisywał się wiedzą kierowca. —

Gdybym miał więcej czasu, tobym cię tam zawiózł. Nie chce się wierzyć, że rysowano je przed tysiącami lat. Ja bym tak nie potrafił. No i zwierzęta te dawno wyginęły. Szkoda. Piękna musiała kiedyś być Sahara.

— I dziś jest piękna — stwierdził Daniel.

— E tam! Wielka kupa piachu i kamieni!

— A jednak ludzie ją kochają.

— Zdaje ci się. Każdy, gdyby mógł, przeniósłby się na żyzne, nadmorskie tereny, gdzie i klimat łagodniejszy, i jedzenia w bród. Algieria wciąż nie może wyżywić swej ludności. Pomyśl: taki wielki kraj, a brakuje wszystkiego. Ten wąski skrawek nadmorski nie równoważy jałowych obszarów pustyni. Co prawda sadzi się lasy, zakłada plantacje trawy alfa na płaskowyżu, buduje wsie socjalistyczne, ale kiedy to wszystko da wyniki...

— Macie jeszcze naftę i gaz ziemny.

— Tym się nie można najeść. Tutaj trzeba pracy całych pokoleń...

Zagadał po arabsku do Dżamala, roześmieli się obaj swobodnie, pewni, że Daniel ich nie rozumie, że chociaż siedzi obok, oddziela go od nich mur obcości, za którym chronili się z nie-

V

jakim poczuciem przewagi. Może zresztą tylko tak mu się wydawało, może był przeczulony, może tęsknota za krajem wyostrzyła jego reakcje. Czuł, że bardzo się zmienił podczas pobytu w Algierii, ale jeszcze nie ogarniał myślą istoty owych przemian. Wiedział lepiej, kim pragnie być w przyszłości, zajmował zdecydowaną postawę wobec życia. I to był chyba najważniejszy rezultat saharyjskiej kuracji, zgoła nie przewidziany przez Szymona.